CENA Zł 50

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

ROK II MARZEC 1946 Nr 3 (6)

Zawiera:

WARSZAWA — KRAKÓW — JELENIA GÓRA

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki
oraz Ministerstwa Oświaty

Wydawca: zespół „Nauka i Sztuka"
Redaktorzy: Julian Krzyżanowski i Stefan Kuczyński
Redakcja: Warszawa, Krak. Przedmieście 26, Uniwersytet
Wydawnictwo: Jelenia Góra, Norwida 9
Skład główny w księgarni Sp. Wyd. „Czytelnik", Wrocław, Krupnicza 1

NAUKA i SZTUKA
MIESIĘCZNIK
TOM II MARZEC 1946 NR 3 (6)

Jan St. Bystroń

WARSZAWA
1815—1831

I.

„Kiedyż — pisał w pierwszej swej odezwie namiestnik książę Zajączek — na waszym tronie tyle cnót i wielkości jaśniało? Nie utraciliśmy żadnej swobody, dawnymi statutami nadanej. Swobody te rozszerzone zostały. Religia ojców waszych kwitnąć będzie pod opieką prawa; legalna wolność druku, obustronna odpowiedzialność ministrów i urzędników, powaga narodowa, niepodległość sądownictwa, zapewnienie dochodów duchownym, pomnożenie i ustalenie funduszów instrukcji publicznej, rozszerzenie swobód miast, ulepszenie stanu włościan, — oto jest dzieło Aleksandra, oto rękojmia naszego szczęścia i źródło przyszłej wdzięczności, którą żadne zmiany świata nie zachwieją."

P o w i t a n i e A l e k s a n d r a I. Wspaniale witała Warszawa cara Aleksandra, który jako król polski wjeżdżał w r. 1815 do stolicy. Na placu Trzech Krzyży wystawiono triumfalną bramę wedle planów Kubickiego, wzorowaną na łukach rzymskich, wyższą od kolumny Zygmunta (70 stóp), ozdobioną mnóstwem figur alegorycznych i napisów. Dookoła tej bramy rozpościerał się amfiteatr, ozdobiony zielenią. Otóż bramą tą wjeżdżał cesarz, witany entuzjastycznie przez publiczność; zwiastował on przecież koniec dwudziestoletniego okresu ciężkich przejść i zapowiadał szczęśliwy rozwój kraju w formach konstytucyjnego Królestwa Polskiego. Miasto było odświętnie przybrane, domy ozdobione makatami i kwieciem. W kilku miejscach zbudowano w tym celu „świątynie wdzięczności" czy „chwały", poza tym pełno było symbolów i napisów. Cechy wzniosły transparenty ze swoimi godłami. Żydzi wystawili (na ul Miodowej) Arkę Noego z gołębiem, trzyma-

jącym w dzióbku gałązkę oliwną i stosowny napis tam umieścili. Słowem, odświętnie, uroczyście, wspaniale witała Warszawa swego króla, dla którego miano dużo szczerego entuzjazmu i z którym łączono najlepsze nadzieje.

Na pamiątkę tego uroczystego przyjęcia uchwalono ze składek narodowych wystawić na placu Trzech Krzyży kościół pod wezwaniem św. Aleksandra; kamień węgielny położono w czerwcu 1818 r. Plany wygotował Piotr Aigner, zamiłowany w sztuce klasycznej, projektując budowlę centralną na kształt świątyni rzymskiej, podobną do świątyni Sybilli w Puławach; miała ona w guście epoki mieć charakter religijno-patriotyczny, niby jakiś Panteon sławy polskiej. Reakcja religijna późniejszych lat Królestwa Kongresowego nie dopuściła jednak do włączenia elementu świeckiej chwały do świątyni i ostatecznie kościół św. Aleksandra został jednym z kościołów parafialnych, zbyt szczupłym jednak dla potrzeb szybko rosnącej parafii.

S t a n m i a s t a. Miasto, które w ostatnich dwudziestukilku latach tyle przeżyło zmian i klęsk, zaczyna swobodniej oddychać; uzyskano przecież znów wolność i pokój, który dawał możność twórczej pracy. A pracy było istotnie nadzwyczajnie dużo; należało odrobić zaległości długich lat zastoju. Obraz Warszawy, tak jak ona nam się przedstawia w r. 1815, jest bardzo smutny: nędza, zaniedbanie, ruina. F. S. Dmochowski, który pamięta te czasy ze swoich lat dziecinnych, opisuje miasto w swoim pamiętniku jako prowincjonalną zrujnowaną osadę. Większość pałaców stała pustkami. Ludność spadła na sześćdziesiąt kilka tysięcy, i cała skupiła się do murów Starego i Nowego Miasta, do ulicy Długiej, Miodowej, Senatorskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Nalewki, Leszno, Nowy Świat pełne były domków drewnianych, na wpół w ziemię wrosłych, a przy ulicach głównych także ich było niemało. Dzisiejszy ratusz po wyprowadzeniu lazaretu z jego sal stał otworem każdemu; studenci grywali tam w piłkę i gonili się z pokojów do pokojów. W pobliżu był ponury Marywil i na wpół walące się klitki, zwane Starym Pociejowem. Bramy Krakowska i Nowomiejska stały jeszcze wśród murów Starego Miasta.

Otóż stan ten ulega bardzo szybkiej zmianie.

R o z b u d o w a m i a s t a. Warszawa jest znowu stolicą i to nie Księstwa, które było właściwie lennem czy też kolonią francuską, ale Królestwa, które przynajmniej w początkowych latach ma istotnie wygląd samodzielnego państwa,

jedynie osobą panującego i polityką zagraniczną związanego z ogromnym imperium rosyjskim. Państwo to jest nowoczesne, ma szeroko rozbudowany aparat administracyjny, organizuje życie w różnorodnych zakresach, daje możność rozwoju gospodarczego i kulturalnego, nie dziw więc, że stolica ma coraz to większe znaczenie, że rośnie, że się rozbudowuje.

Ale rozbudowa miast wymaga przed tym czyszczenia terenu, tak przypadkowo i samowolnie dotychczas wyzyskiwanego; dawne ramy życia miejskiego są za szczupłe, niedostosowane do nowych potrzeb, krępujące, należy je więc przezwyciężyć. Muszą zginąć dawne mury fortyfikacyjne Starego Miasta, ciasnym pierścieniem opasujące gęsto zaludnioną dzielnicę, musi paść ofiarą wiele kościołów, zbyt licznych i zbyt szeroko rozbudowanych, muszą wreszcie zginąć stare ratusze, skoro miasto ma już jednolitą administrację.

Ożywienie to widać już od pierwszych czasów istnienia Królestwa. Już wczesną wiosną 1918 r. mówi Niemcewicz, który właśnie wrócił do stolicy: „Nie poznałem Warszawy, tak się powznosiły gmachy, tak stosy gruzów budynków dawnych zawaliły ulice. Wszędzie ruch niezmierny" ... W tymże roku felietonista, Gerard Witowski („Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia") pisze w ten sam sposób: „Ktokolwiek przed dwoma laty opuścił Warszawę i teraz do niej powraca, mile zadziwiony będzie nagłym jej wzrostem. Zdaje się, że jakiś opiekuńczy jeniusz panuje nad miastem i swoim dobroczynnym wpływem zapalił umysły. Wszędzie wznoszą się nowe gmachy, wszędzie odnawiają stare. Rząd ze swej strony rozprzestrzenia place, upiększa ogrody, rozmnaża aleje, stwarza rzeczy dotąd w Polsce niewidziane, buduje drogi."

Znoszenie kościołów. Nie szczędzono więc przede wszystkim kościołów i klasztorów. Pierwsze lata Królestwa są liberalne; znać tu jeszcze ślady epoki napoleońskiej z jej religijną obojętnością i niechęcią do kleru. Kościołów zresztą było dużo, zajmowały one sporo miejsca, były dogodnie położone; kasata zakonów, którą równocześnie przeprowadzają władze duchowne odebrała wielu kościołom rację bytu. A więc burzono stare kościoły, względnie przeznaczano budowle kościelne czy klasztorne na inne cele.

Zamknięto więc w r. 1818 kościół św. Jerzego (przy ul. Świętojerskiej) i znajdujący się obok klasztor kanoników lateraneńskich; puste budynki wydzierżawiono na komorę celną, a potem oddano w r. 1823 pod zarząd Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, która je tytułem wieczystej dzierżawy oddała

braciom Evans, „a to w celu dania tymże przedsiębiorcom możności szerzenia znanego ze swej użyteczności zakładu odlewów żelaznych i mosiężnych". Budynek kościelny służył więc od tego czasu celom fabrycznym; mniej więcej po trzydziestu latach został on zburzony i tak najdawniejszy kościół w Warszawie przestał istnieć. Wraz z zamknięciem kościoła przestano również grzebać zmarłych na cmentarzu świętojerskim.

Zburzono (1816) kościół Dominikanów Obserwantów na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu, „czyli to dla zatarcia pamiątki, że tam złożone były ciała wziętych przez Żółkiewskiego carów Szujskich, czyli też że Wielki Książę uważał, że nie dość wygodnie było mu kariolką jeździć tamtędy, nie dość przestronno rozwijać się pułkom" pisze Niemcewicz. Zburzono (1818) drewniany kościółek parafialny w Ujazdowie. Kościół i klasztor PP. Bernardynek na Krakowskim Przedmieściu został przeznaczony na konserwatorium muzyczne, kościół i klasztor Karmelitek przerobiony wedle planów Corazziego dla Towarzystwa Dobroczynności.

F o r t y f i k a c j e. Ale nie tylko budynki kościelne padają ofiarą przebudowy; ginie także niejeden zabytek świecki, w pierwszym zaś rzędzie mury obronne, opasujące Stare Miasto, obecnie już bezużyteczne. Zburzono więc w r. 1817 Bramę Krakowską, która wraz z kompleksem sąsiednich budynków zajmowała cały plac przed zamkiem; była ona tak solidnie budowana, że murarze dużo musieli włożyć pracy, by te wiekowe mury rozrzucić. „Zniesione już domy w koło zamku — pisze z początkiem r. 1818 Niemcewicz — i roboty koło równanie, brukowania, malowania okien na fałszywych facjatach naprzeciw skrzydła zamkowego od zegaru trwają nieprzestannie. Kilkuset ludzi i koni pracuje ciągle, nie święcąc nawet niedzieli. We wszystkim, co się okazałości i powierzchowności tyczy nie jesteśmy skąpi w pieniądzach. W wykonaniu despotyczny przymus i pośpiech ... Wywalamy, budujemy, malujemy wszystko dla oka i czczej chełpliwości ..." Po zburzeniu tych budynków powstaje Plac Zamkowy. Zburzono jednocześnie także i Bramę Nowomiejską; część barbakanu i murów obronych została włączona w budynki mieszkalne.

B u r z e n i e r a t u s z y e t c.

Zburzono (1818) ratusz Starego Miasta, który już nie wystarczał na pomieszczenie licznych biur urzędu Municypal-

nego; wraz z nim zginęły także i liczne sklepy, otaczające dookoła stary budynek. Na miejscu zburzonego gmachu powstał ozdobny plac, otoczony ogrodzeniem i rzędem włoskich topoli. Zniesiono także ratusz Nowego Miasta, przez co znacznie rozszerzono Rynek Nowomiejski. W kilka lat później zniesiono też ratusz na Grzybowie, przez co rozszerzył się znacznie plac, na którym odbywały się targi na zboże.

Zburzono dalej budynki Pociejowa i rozszerzono w ten sposób ulicę Senatorską. „Zburzenie Pociejowskich klitek — pisze w pamiętniku Niemcewicz — prawdziwym stało się dobrodziejstwem; waliły się, były stare i niezdrowe; otworzył się przez to Marywil i plac wielki."

Nowe budowy. Burzy się więc stare kościoły i ratusze, znosi się obwarowania i bramy miejskie, ginie także niejeden dom prywatny. Ale z drugiej strony buduje się dużo, i to z planem, rozmachem, ambicją stworzenia czegoś w wielkim stylu. Ginie stara Warszawa, ciasno zabudowana, otoczona średniowiecznym murem, z szeregiem starych kościołów, powstaje nowa, stołeczne miasto, z mnóstwem wielkich budynków publicznych, przeznaczonych na pomieszczenie władz i instytucyj. Warszawa saska czy stanisławowska była także miastem wspaniałych pałaców, ale służyły one przede wszystkim wygodzie i próżności magnatów, podczas gdy Warszawa Królestwa Kongresowego jest wielką stolicą, której nowe pałace służą potrzebom państwowym i społecznym. Wszystkie te nowe budowle utrzymane są w jednolitym stylu klasycystycznym, spokojnym i dostojnym, czasem może nieco surowym, stanowiąc wyraźny kontrast z barokowymi czy rokokowymi gmachami ubiegłego stulecia.

Wymieniamy parę ważniejszych pozycyj.

Na terenie, uzyskanym po zburzeniu kościółka ujazdowskiego buduje Kubicki Belweder, rezydencję Wielkiego Księcia Konstantego, w stylu większego dworu wiejskiego; równocześnie przebudowuje się wedle planów Aignera pałac Radziwiłłowski, przeznaczony na mieszkanie namiestnika, stąd też i namiestnikowskim zwany; buduje się nowy gmach dla nowopowstałego uniwersytetu na miejscu spalonych pawilonów pałacu Kazimierzowskiego; przebudowuje się pałac mennicy przy ul. Bielańskiej. Wszystko to są pozycje z r. 1818; w roku następnym zaczęto budować obserwatorium astronomiczne przy alei Ujazdowskiej wedle planów Aignera, w r. 1820 wielki gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na terenie

po zburzonym kościele dominikanów-obserwantów ze szlachetnie skomponowaną fasadą i charakterystyczną płaską kopułą wznosi Corazzi, równocześnie prowadzi się przebudowę pałacu Mostowskich przy ul. Przejazd dla Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji, a pałacu prymasowskiego przy Senatorskiej dla Komisji Wojny. W r. 1825 zaczęto budowę wielkiego pałacu dla Komisji Skarbu przy ul. Rymarskiej wraz z pałacem ministra skarbu, a w następnym roku w najbliższym sąsiedztwie powstaje wielki budynek Banku Polskiego, które to gmachy razem dają wspaniałe obramienie Placu Bankowego. W tym też czasie, nieco później, zaczyna się budować wielki gmach teatralny na terenach dawnego Marywilu; tutaj powstaje nowy plac Teatralny, otoczony z jednej strony gmachem Corazziego, z drugiej przebudowanym kościołem kanoniczek i również przebudowanym na ratusz pałacem Jabłonowskich.

Ale ruch budowlany nie dotyczy wyłącznie wielkich konstrukcyj rządowych; wzrastająca ludność miasta, wielki ruch gospodarczy i okres pomyślności stwarza dogodne warunki do powstawania nowych domów, czasami całych nowych ulic, czy dzielnic. Rząd prowadzi rozsądną politykę budowlaną, obliczoną na długie lata i stwarza dogodne warunki kredytowe, pilnując zarazem administracyjnie określonego planu zabudowy.

Postanowienie namiestnika z 3 lutego 1816 przewiduje, że Warszawa w obrębie okopów, a więc w szerokich bardzo granicach, ma się zabudowywać wyłącznie murowanymi domami, a to „dla zapewnienia bezpieczeństwa, porządku i ozdoby miasta". Nowo wybudowane większe domy zwolniono od kwaterunku i podatków na okres ośmiu lat. Równocześnie także przyznano znaczne zapomogi tym, którzy na gruncie miejskim stawiali większe cegielnie. Szeroko zakreślona pomoc kredytowa, przeznaczona wyłącznie dla budowli murowanych nisko oprocentowana, o dogodnych warunkach spłaty umożliwiała szybką rozbudowę miasta.

Na posiedzeniu Rady Administracyjnej z końca 1816 r. włożono na urząd municypalny obowiązek udzielania pożyczek mieszkańcom, „aby w miejsce drewnianych budynków tudzież na placach pustych wystawiać mogli domy murowane ku własnej wygodzie i ku ozdobie miasta służące"; na ten cel przeznaczano rocznie 300.000 zł. Pożyczki te były nadzwyczaj dogodne; oprocentowanie (1 %) było śmiesznie niskie, a spłaty zaczynano dopiero po 23 latach, nie dziw więc, że korzystano

z tych pożyczek bardzo chętnie (czasem zbyt chętnie bez ochoty do budowania).

P u s t e p o s e s j e. Specjalną uwagę zwrócono na opustoszałe posesje, których było bardzo dużo; zwłaszcza wielkie pałace, których utrzymywanie było bardzo kosztowne, stały pustką od czasu ostatniego rozbioru. Władze wzywają więc w r. 1816 właścicieli takich posesyj, aby domy „wyreperowali i uczynili mieszkalnymi" grożąc sprzedaniem nieruchomości na publicznej licytacji, a to dlatego, że w Warszawie znajduje się wiele opuszczonych domów murowanych, które szpecąc tylko ulice, służyły za schronienie włóczęgom".

Oto przykład, jeden z licznych.

„W ruinach pałacu Dynasowskiego — pisze jeden z pamiętnikarzy — mieszkali biedni ludzi ... Cała przestrzeń dookoła nie była ogrodzona, a przystęp do niej główny stanowiła ulica Aleksandria. Rosła tu trawa i zielsko gdzieniegdzie na wpół uschłe drzewko; pasły się krowy i kozy; na sporym stawie latem pływały gęsi i kaczki, a w zimie była ślizgawka." W podziemiach pałacu miały się odbywać potajemne schadzki, podobno masońskie (po zniesieniu urzędowym masonerii); poza tym prócz mętów, znajdujących tu zazwyczaj bezpieczne schronienie, grasowali tu uczniowie, którzy zbiegłszy ze szkoły, zabawiali się tu w różne gry. Na wzgórzu operowali piaskarze, czerpiący piasek na sprzedaż, słowem, obraz zupełnego zaniedbania i prymitywu.

Rezultaty polityki budowlanej władz były znakomite. Do dziś dnia możemy w środkowych i północnych dzielnicach miasta wyróżnić bez trudu domy, w tych czasach powstałe, odznaczające się zawsze poprawnie skomponowaną fasadą proporcjonalnym układem i spokojną klasyczną ornamentacją, nieraz z kolumnami, wyróżniające się umiarem, często także i wytwornym wyglądem spośród otaczającej je bezdusznej i krzykliwej architektury późniejszych czasów. W każdym razie czasy Królestwa Kongresowego zaznaczyły się wyraźnie w wyglądzie dawnej warszawskiej ulicy.

N o w y Ś w i a t. Weźmy kilka przykładów. Bardzo szybko rozbudował się Nowy Świat. Jeszcze w początku bieżącego stulecia do lichych przedmieść Warszawy liczący się — pisze Sobieszczański — gdzie zaledwie po obu stronach trzydzieści murowanych domów stało i nie obejmował innych gmachów tylko wszystko drobne dworki drewniane przez nie-

zamożnych obywateli zamieszkałe, od r. 1815 szybko jak żadna z ulic Warszawy powstał i nowymi nader pięknymi murowanymi gmachami zapełnił się, rozszerzył i ozdobił; niegdyś wąski, smutny i wiejską mający postać, dziś najpiękniejszą część miasta stanowi."

N a l e w k i. Nalewki przestają być w tych czasach przedmieściem odległym, sielankowym, jakim były dotychczas.

„Nalewki, jak zasięgam pamięcią — pisze Wójcicki — z rzadka gdzie drewnianymi dworkami zabudowane były; ulica niebrukowana, pełna na wiosnę i w jesieni błota i kałuży, ale za to pierś oddychała tu świeżym wiejskim powietrzem, bo każdy dworek otaczał mniejszy lub większy ogród owocowy i warzywny; nie brakło w nich bzu i kwiatów . . ." Ale i tu również sięga nowoczesny rozwój miasta." — „Kto przed rokiem 1821 — pisze Sobieszczański — przez półtora roku tylko nie był na ulicy Nalewki w tyle arsenału, ten nie poznawał miejsca. Stary mur ogrodu Krasińskich zastąpiła wspaniała żelazna krata z pozłacanymi kolcami; zamiast magazynu karowego wzniosły się piękne koszary przeznaczone dla jazdy. W miejscu kilku niepoczesnych dworków i lepianek stanęły lub kończyły się ozdobne kamienice; środek ulicy wysadzono drzewami, a obok arsenału dano wystawę murom kościoła niegdyś Brygidek." Całą tę dzielnicę na północ od arsenału i placu Krasińskich przeznaczono dla ludności żydowskiej; od r. 1825 następuje to przesiedlenie, w związku z czym całe ulice zabudowują się w szybkim tempie, „Kto znowu przez trzy lata przed rokiem 1825 nie był na Nalewkach i ulicy Franciszkańskiej, ten poznać nie mógł tej strony miasta" — pisze wciąż Sobieszczański. „Na miejsce drewnianych klitek wznosiły się o dwóch piętrach i kilkunastu, niektóre o kilkudziesiąt oknach, domy murowane pięknej architektury. Ludzi przez cały dzień pełno, w nowych mieszkaniach ciż kupcy żydzi nierównie staranniej i ozdobniej urządzili swe nowe sklepy. Przyległe uliczki, mało przedtem znano i ledwo przez kilka rodzin zamieszkałe, stały się ludnymi, a piękne domy, godne w niejednej stolicy mieścić się nagle wznosiły się." Ulica Wałowa będąca niedawno wąskim przesmykiem, czy ulica Nowiniarska, niegdyś tylko dla pieszych dostępna, zostały równomiernie zabudowane murowanymi kamienicami.

F a w o r y. Fawory, w północnej stronie miasta (na terenie zajętym potem przez cytadelę rozwijają się coraz bardziej w piękną dzielnicę willową. Na pierwszym planie jest tu wielki ogród generała Rautenstraucha, dostępny publiczności;

była tu kawiarnia, huśtawki i karuzele; dalej mamy pałace, czy dworki arystokracji czy plutokracji warszawskiej na ulicach Bitnej, Czujnej, Dominikańskiej, Fawory, Fraszki, Głębokiej, Gwardii itd., dalej wielkie koszary, niegdyś gwardyjskie, przemianowane obecnie na Aleksandryjskie, stary kościół „Świętego Krzyża w polu", zwany najczęściej Gwardiackim, wraz z cmentarzem, na którym grzebano od kilku wieków zmarłych na „morowe powietrze", wreszcie ogromny zakład wychowawczy pijarów „Joli bord", od czego i nazwa Żoliborza powstała. Był to istotnie „piękny brzeg", zabudowany wytwornie wśród gęstej zieleni. A. Wejnert, archiwista i historyk Warszawy, wspomina tę dzielnicę, która miała niedługo ulec zupełnej zagładzie, aby ustąpić miejsca ponurej cytadeli: „przebiegając ogrody najpiękniejsze, niegdyś posiadane przez bankierów Kabryta, Blanka, Łyszkiewicza, Rafałowicza, przy ulicach Fawory, Żytniej, Śmiałej, Bitnej, widziałem jeszcze wówczas w ich obrębie kilkuwiekowe dęby, sosny, modrzewie, i tym podobne drzewa wysokopienne".

Słowem, miasto jest żywe, buduje się szybko, zajmuje coraz to nowe przestrzenie, imponuje rozmachem.

P l a n o w a n i e m i a s t a. Jeżeli chodzi o planowanie miasta, to tu większych koncepcyj nie widzimy. Realizuje się przede wszystkim plany stanisławowskie, a więc dzielnicę północną wraz z Faworami, tudzież dzielnicę południową, a więc Aleje Ujazdowskie i ich sąsiedztwo. Koncepcje te, z wielkim rozmachem pomyślane, na długie lata jeszcze wystarczają; nowością urbanistyczną jest jedynie szeroka arteria, zwana później Alejami Jerozolimskimi, prowadząca zrazu na pustych terenach od ulicy Brackiej do rogatek t. zw. Jerozolimskich na zachodzie, później przedłużona do Nowego Światu, a wreszcie do Powiśla. Na północ od tej arterii zaczynała się zwarta zabudowa miasta od ulicy Chmielnej (jeszcze na ul. Widok były podówczas ogrody i cegielnie); na południe była już zwarta grupa domów, zwana popularnie „nowym grodem", przy ulicach Nowogrodzkiej, Żórawiej, Wspólnej, Hożej i Wilczej, pomiędzy Mokotowską i Marszałkowską. Otóż w r. 1820 wyznaczono na niezabudowanych polach pomiędzy właściwym miastem a tym przedmieściem szeroką drogę wysadzoną z każdej strony dwoma rzędami topoli, którą nazwano, zrazu zwyczajowo, drogą jerozolimską, gdyż u jej końca była niegdyś, w latach 1775—1785 osada żydowska, zwana Nową Jerozolimą. Droga ta jest przez lata niezabudowana i nieuży-

wana, ale jest niewątpliwym dowodem inteligentnej i świadomej polityki rozbudowy miasta, obliczonej na długie lata naprzód; dopiero z chwilą powstania dworca kolei wiedeńskiej w dwadzieścia lat z górą później zaczyna się rozwój alei, której znaczenie na wielką skalę datować należy od przerzucenia u jej wylotu mostu przez Wisłę.

O g r o d y. Jeżeli chodzi o upiększenie stolicy, to także i tu zrobiono niejedno; poza uporządkowaniem ulic zasadzono tu i ówdzie nieco zieleni, doprowadzono do lepszego wyglądu zaniedbane ogrody, a więc ogród Krasińskich, który był podówczas miejscem spacerów wytwornej publiczności (zwłaszcza w niedziele po mszy u pijarów).

Przekształcono zupełnie ogród Saski, zmieniając go na sposób angielski wedle planów Sauvage'a słynnego architekta ogrodów ż Puław. Ogród sam otoczono żelazną kratą. Zmniejszył się nieco jego obszar, gdyż zniesiono dawną „Żelazną Bramę" i przyległe oficyny, rozszerzając w ten sposób plac handlowy „za Żelazną Bramą": zabudowano połać ogrodową od ul. Granicznej i Żabiej, wybudowano nową ujeżdżalnię wedle planów Kubickiego.

P o m n i k i. Na placu Krasińskich, na którym zawsze odbywają się wielkie uroczystości, postawiono dwie studnie w klasycznym stylu, zaprojektowane przez Aignera.

Wielką uroczystością, było odsłonięcie pomnika Kopernika. Posąg ten spokojny i wytworny, niemal kameralny, świetnie dostosowany do fasady pałacu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wykonał w Rzymie Thorwaldsen, najsłynniejszy rzeźbiarz epoki; ustawienie go, na wiosnę 1828, było sensacją nielada. „Pospólstwo w mnogiej się zgromadza ilości około posągu, dziwaczne objawia zdania i wnioski, co to być może" — notuje Lipiński. — „Jedni utrzymują, i to największa liczba, że to św. Stanisław, inni, że jakiś sławny doktór, że uczony, który odkrył jedną część świata, że Staszic, dosyć, że co głowa, to rozum." Nieco później notuje jeszcze Lipiński, że ludziska nadal gubią się w domysłach: „jedni utrzymują, że to jest jakiś zasłużony k u m o r n i k, inni, że to kanonik pobożny; niektórzy biorą go za świętego, za patrona Warszawy, ale najwięcej jest takich, którzy przypatrzywszy się pomnikowi, odchodzą, mówiąc: Bóg wie, co to za jeden". Inauguracja odbyła się 11 maja; mowę miał prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Niemcewicz, który zwyczajem swoim patetycznie

deklamował i płakał. Na obiedzie, który się potem odbył, senator Nowosilcow wzniósł toast na zdrowie Niemcewicza, a Osiński odczytał swoją odę ku czci Kopernika.

Drugim pomnikiem, który Thorwaldsen stworzył dla miasta, miał być posąg księcia Józefa Poniatowskiego. Dużo na ten temat mówiono i zabiegano; najpierw należało uzyskać pozwolenie cesarskie, potem sam twórca pomnika zjechał do Warszawy, aby obrać najodpowiedniejsze miejsce; wreszcie wystawiono model na widok publiczny w jednej z sal teatru. Wystawa ta stała się sensacją całego miasta. Sąd większości był zdecydowanie nieprzychylny; ci, którzy pamiętali księcia Józefa, a takich było przecież bardzo dużo, nie mogli się zgodzić na klasyczne ujęcie pomnika, który „ni rysami oblicza, ni charakterem, ni wyrazem, ni szatą, słowem, najmniejszą nawet drobnostką" nie przypominał księcia. „Był to poprostu piękny młodzieniec, jakiś wojownik scytyjski" — pisze Morawski. — Mógł stać zarówno w Grecji jak w Rzymie; w Warszawie nie miał żadnego znaczenia". Esteci bronili Thorwaldsena, podkreślając, że rzeźba winna dawać wartości wieczne, nie związane z akcesoriami chwili. „Rzeźba nagie postaci wyobrażać powinna — pisze Mochnacki. — Gdzie od nagości odstąpić musi, obiera najstosowniejsze, najnaturalniejsze szaty, a takimi są greckie lub rzymskie ... Posąg nie jest portretem, snycerz pracuje dla wieków". Powstanie wstrzymało prace nad ustawieniem pomnika, a potem car Mikołaj cofnął swe pozwolenie, tak że dopiero po dziewięćdziesięciu z górą latach klasyczny pomnik Thorwaldsena stanął w Warszawie.

Miasto wróciło więc do świetności, jaką miało za czasów stanisławowskich. Należy jednak uświadomić sobie, że poza zewnętrznym podobieństwem w rozmachu budowlanym mamy tu bardzo istotną różnicę, która jest w oczywistym związku z odmiennością struktury społecznej miasta. Warszawa stanisławowska, to rezydencja króla i magnatów. Warszawa z czasów Królestwa Kongresowego jest stolicą nowoczesnego państwa o rozbudowanym szeroko aparacie administracyjnym, na pierwszy więc plan wysuwają się tutaj budynki rządowe i nowe dzielnice mieszkalne tworzącej się burżuazji.

R o z m i e s z c z e n i e w ł a d z. Przypatrzmy się więc rozmieszczeniu władz i urzędów w mieście.

Wielki książę Konstanty mieszka przeważnie w Belwederze, urzęduje jednak w pałacu Brühlowskim; tu znajdują się też apartamenty służbowe generałów Kuruty, Rożnieckiego, Gendre'a i Lewickiego; tutaj także urzęduje Nowosilcow. Stąd wyjeżdża Konstanty na rewie, tu odbywają się śledztwa i posłuchania.

Książę-namiestnik rezyduje w pałacu Radziwiłłowskim, senator Nowosilcow zajmuje pałacyk we Frascati. Ministerstwo wojny mieści się w pałacu prymasowskim, przy Senatorskiej; ministerstwo sprawiedliwości w pałacu Raczyńskich przy Długiej, wyznań religijnych i oświecenia publicznego w pałacu Kazimierzowskim (tamże i uniwersytet), spraw wewnętrznych w pałacu Mostowskich (przy ulicy Przejazd), skarbu w nowowybudowanym pałacu przy ulicy Rymarskiej. Sądy najwyższej instancji urzędują w pałacu Krasińskich. Ratusz znajduje się w pałacu Jabłonowskich, Bank Polski otrzymał własny budynek przy placu Bankowym. Politechnika została umieszczona w pałacu Krasińskich przy Krakowskim Przedmieściu, Szkoła podchorążych w pałacu Radziwiłłów przy Pięknej.

Tak więc znaczna większość urzędów mieści się w pałacach, które niegdyś były rezydencjami arystokratów; dwory ich ustąpiły miejsca sztabowi urzędników, którzy nadają obecnie ton miastu stołecznemu. Urzędników jest wielu, bardzo wielu; skarżono się, że młodzież najchętniej obiera karierę biurokratyczną.

U r z ą d m u n i c y p a l n y. Dnia 10 lutego 1816 wydaje namiestnik książę Zajączek „postanowienie urządzające w mieście stołecznym Warszawie skład urzędu municypalnego etc." Otóż urząd municypalny składa się z prezydenta, (którym aż do powstania był Karol Woyda, dobry ale niepopularny administrator), z czterech radnych z głosem decydującym i czterech ławników z głosem doradczym; urząd ten podlega bezpośrednio Komisji Spraw Wewnętrznych. Urząd municypalny decyduje kolegialnie, przy czym jednak prezydent ma faktycznie przewagę, czy to przez możność rozstrzygania w razie równości głosów, czy to przez prawo zawieszenia niedogodnej dlań uchwały i odwołania się do Komisji Spraw Wewnętrznych, czy też wreszcie przez zawieszenie w urzędowaniu samych nawet radców. Poza tym jeszcze miał prezydent zastrzeżone do swej decyzji sprawy policyjne i wojskowe, które zresztą szybko objął wiceprezydent, jeden z najmniej popularnych w Warszawie dygnitarzy, Mateusz Lubowidzki

(ten to z wybuchem powstania musiał uciekać z miasta przed gniewem pospólstwa). Ale i urzędnicy miejscy nie bardzo byli lubiani; mówiono, że w magistracie dużo można zrobić przy pomocy łapówki, zwłaszcza, w wydziale kwaterunkowym (ostatecznie naczelnik tego wydziału skończył śmiercią samobójczą, tuż przed wybuchem powstania, gdy władze śledcze zaczęły badać tę gospodarkę). Rzeczą znamienną jest, że władze miejskie pochodzą z nominacji króla czy komisji spraw wewnętrznych, że nie ma tu żadnego czynnika obywatelskiego, chociażby tylko dla celów kontroli, że nie ma w ogóle rady miejskiej; władze miasta są z góry narzucone, ludność nie ma na wybór dygnitarzy miejskich żadnego wpływu, nie dziw więc, że są oni mało popularni.

Sprawy kościelne. W zakresie kościelnym mamy do zanotowania kreowanie w r. 1817 arcybiskupstwa warszawskiego i poddanie w następnym roku arcybiskupowi jako metropolicie siedmiu diecezyj. Pierwszym arcybiskupem jest Franciszek Skarbek Malczewski, który w ciągu niedługich rządów zdołał znieść szereg klasztorów, podobno pod wplywem ministra St. Potockiego; potem został metropolitą Szczepan Hołowczyc, dalej Wojciech Leszczyc Skarszewski, twardy i konsekwentny reakcjonista, wreszcie Jan Paweł Woronicz, znany i ceniony powszechnie poeta i kaznodzieja.

Modnym kaznodzieją jest ks. Hipolit Maryański, którego kazania w kościele karmelitów ściągają tłumy słuchaczy. „Głośno o nim mówią w mieście — notuje Lipiński — osobliwie u płci pięknej ma wielkich zwolenników; prawda, że do niej często czułe a nawet i pochlebne miewa apostrofy. Oskarżono go do arcybiskupa przez zazdroszczących mu wziętości pod pozorem, że jest kaznodzieją modnym, światowym, że wdaje się w materie mu niewłaściwe ... dał mu napomnienie arcybiskup, słychać nawet było, że ma być w inne miejsce przeniesiony.“

Uniwersytet. W listopadzie 1816 cesarz Aleksander powołuje do życia „Królewski Uniwersytet“ z pięciu wydziałami: teologii, prawa i nauk administracyjnych, nauk lekarskich, umiejętności fizycznych i matematycznych, wreszcie nauk i sztuk pięknych. Wydziały prawa i medycyny zostały włączone w ramy uniwersyteckie z dawnych samoistnych szkół, od 1808 roku czynnych. Car zapewnił uniwersytetowi „szczególną królewską opiekę“ i nadał, „za przykładem chwalebnej pamięci króla Zygmunta I aktualnym profesorom,

nie szlachcie, przywilej osobistego szlachectwa, które po dziesięciu latach ich uczenia spadać ma dziedzictwem na ich potomstwo". Uniwersytet ma autonomię, rektora i dziekanów; do ciała nauczycielskiego należą profesorowie stali, tymczasowi, lektorzy i nauczyciele.

W związku z uniwersytetem powstaje mnóstwo zakładów naukowych. Ogród botaniczny, jeszcze za czasów Księstwa urządzony dla potrzeb szkoły medycznej za pałacem kazimierzowskim, przeniesiony został na nowe miejsce przy Łazienkach i urządzony odpowiednio przez profesora Szuberta; tuż obok stanął gmach obserwatorium astronomicznego, które prowadził profesor Armiński. Były dalej gabinety zoologiczny, mineralogiczny, fizyczny, laboratorium chemiczne, w większości jeszcze dla potrzeb licealnych stworzone, obecnie rozszerzone i na nowo urządzone; gabinet instrumentów matematycznych założył profesor Garbiński. Był dalej gabinet modeli i rysunków architektonicznych, potem muzeum sztuk pięknych, do którego włączono gabinet odlewów gipsowych po Stanisławie Auguście, tudzież kolekcję rysunków, obrazów i rycin; osobno jeszcze był gabinet numizmatyczny, złączony następnie z gabinetem starożytności. Najwięcej zakładów miał oczywiście fakultet medyczny, i to zarówno teoretycznych, jak i klinicznych; tu był także instytut położniczy i szkoła akuszerek. Poza tym były jeszcze dwa wielkie seminaria, a mianowicie: Seminarium Główne Duchowne (od 1826) i Seminarium Pedagogiczne. Uniwersytet miał też swoją bibliotekę, której trzonem stał się zbiór licealny; dyrektorem jej był J. S. Bandtkie.

Na wielkich uroczystościach występowali profesorowie w togach i biretach, rektor w todze obłożonej białym futrem, dziekani w łańcuchach. Po raz pierwszy wystąpiło to dostojne grono w swych strojach na uroczystościach pogrzebowych cara Aleksandra. Profesorowie — wedle notatki Lipińskiego — „poprzedzeni przez dwóch szwajcarów strojnie ubranych, sami zaś w togach i biretach, zwracali wszystkich na siebie oczy i do dziwacznych domysłów byli przedmiotem. Pierwszy bowiem raz ujrzała ich publiczność; jedni utrzymywali, że to są księża schyzmatyccy, drudzy, że to rabini, sędziowie itp."

Uniwersytet, zrazu w duchu liberalnym organizowany, po ustąpieniu St. Potockiego z ministerstwa oświecenia, dostaje się pod coraz to silniejsze wpływy reakcji; widzimy tu rękę nowego ministra, St. hr. Grabowskiego, a przede wszystkim dyrektora wychowania Szaniawskiego, za którym stoi Nowo-

silców. Wprowadzono więc kuratora, który miał roztaczać opiekę nad młodzieżą, przy pomocy inspektorów i podinspektorów, wizytujących akademików nawet w ich mieszkaniach; nakazano studentom nosić „codziennie i ciągle" mundury, co zostało nieprzychylnie przyjęte i co dużo wciąż wywoływało nieporozumień i zatargów, a na specjalne życzenie wielkiego księcia polecono im golić wąsy. Zaprowadzono wykłady religii dla uczniów wszystkich wydziałów, nakazano też uczęszczanie w każdą niedzielę do kościoła akademickiego (ciekawym szczegółem, rzucającym światło na celowość takich zarządzeń jest, że ludzie, którzy mieli, z czasem tak wybitną rolę odegrać w życiu religijnym, jak Al. Jełowicki, Bogdan Jański i Hieronim Kajsiewicz, podówczas studenci, byli monitowani przez władze za zaniedbywanie się w spełnianiu obowiązków religijnych).

Ostry zakaz dotyczył zebrań i uczęszczania do lokalów publicznych; władze w r. 1820 zaleciły wiceprezydentowi urzędu municypalnego, który był szefem policji, „ażeby odtąd żadnych schadzek, stowarzyszeń, uczt biesiad lub zbierania się młodzieży akademickiej lub liceum, pod jakim bądź pozorem, w miejscach publicznych lub domach prywatnych, a nawet przebywanie kilku razem lub pojedynczo w miejscach, gdzie by trunki przedawano, jak to szynki, bilardy, winiarnie itp. nie dozwalał, tych zaś, którzyby wezwaniu policji okazali się nieposłuszni, aresztował i do rektora uniwersytetu po zasłużoną karę odesłał." Kary były częste; przeważnie kończyło się relegacją, ale bywały też wypadki, że uniwersytet zwracał się do policji o usunięcie z miasta niewygodnego studenta.

Trudno sobie wyobrazić studentów bez kawiarni; kto ryzykował, chodził tam pokryjomu, narażając się na donos rozwielmożnionych i wszędzie się znajdujących szpiclów. Próbowano obejść to zarządzenie, zakładając gospodę studencką w domu właścicielki kawiarni przy Koziej, niejakiej Brzezińskiej, ale i tę gospodę władze zamknęły. Nie dziw więc, że młodzież, nie mogąc zbierać się jawnie, odbywa konspiracyjne zebrania, gdzie już całkiem swobodnie dyskutuje się zagadnienia bieżące i przygotowuje umysły do przewrotu; bezpośrednio przed przewrotem młodzież zrzuciła mundury i włożyła czamary, no i oczywiście zapełniła kawiarnie, zwłaszcza te, w których politykowano i agitowano.

W y ż s z a s z k o ł a t e c h n i c z n a. Prócz uniwersytetu zaczęto myśleć także i o wyższej szkole technicznej; inicja-

torem jest tu książę Lubecki, który już w r. 1824 przedstawia namiestnikowi odpowiedni projekt. Po uzyskaniu przychylnej opinii kilku ministerstw utworzono Radę Politechniczną dla wprowadzenia w życie tego projektu; radzie tej przewodniczy zrazu Staszic, a po jego śmierci Ludwik Plater. W r. 1825 otwarto szkołę przygotowawczą i wysłano młodych magistrów za granicę dla kształcenia się na profesorów; w r. 1829 była już czynna politechnika na wyższym poziomie, której kierownikiem był matematyk Kajetan Garbiński.

Inne szkoły. Ze szkół zawodowych wymienić należy jeszcze szkołę rolniczą i weterynaryjną na Marymoncie, założoną w r. 1820 z inicjatywy ministra Mostowskiego, rozwijającą się pomyślnie. Szkoły średnie ogólnokształcące t. zw. wojewódzkie są dwie, mianowicie pijarska i t. zw. liceum, którego kierownikiem jest zawsze niepopularny wśród młodzieży Linde. Zrazu, za ministerstwa Potockiego, organizuje się także i szkoły elementarne dla szerokich sfer, oparte na t. zw. wzajemnym nauczaniu (system Bella i Lancastra); dla młodzieży rzemieślniczej tworzy Staszic szkoły niedzielne. Ale dość szybko następuje tu zmiana, niekorzystna dla oświaty; następca Potockiego, Grabowski wraz z dyrektorem komisji Szaniawskim przeprowadzają daleko idące zmiany, zmierzające do utrudnienia dostępu do szkół szerszym warstwom przez podniesienie opłat, stosują coraz to ściślejszą kontrolę nad uczniami, dla których wprowadzono przymus mundurowy i których poddano specjalnie w tym celu utworzonej kuratorii szkolnej, której kierownikiem był senator Nowosilcow, znany dobrze z terenu wileńskiego.

Atmosfera w szkołach staje się coraz to bardziej duszna; szkoły są polskie z języka, mają niejednokrotnie dobrych i ideowych nauczycieli, ale ich kierownictwo i nadzór policyjny służą raczej reakcji politycznej, aniżeli oświacie. Szkoła pijarska, której znacznie ograniczono subwencje rządowe, zachowująca się dość opornie wobec nowego kursu władz oświatowych, popada wyraźnie w niełaskę.

Szkoły żeńskie. Szkolnictwo żeńskie, dotychczas uważane za wewnętrzne zagadnienie rodziny, zaczyna się nieco konsolidować; organizuje się więc instytut rządowy wychowania panien, tak zwany najczęściej instytut guwernantek, mający dać racjonalny bieg wykształceniu kobiet, w bardzo zresztą wąskim zakresie. Główną teoretyczką szkolnictwa kobiecego jest Klementyna Tańska, która głosi wyraźnie, że wy-

niesienie nad stan kobiety jest nieszczęściem, zwraca się przeciwko manii cudzoziemczyzny, podnosi wartość przedmiotów ojczystych. „Niech was nie zajmuje żądza zwiedzania obcych krajów-woła Tańska do swych uczenic. — Niech między życzeniami, które lata spełnić dla was mają, nie będzie koniecznej chęci widzenia Paryża; Nie wyrastajcie w przekonaniu, że w Polsce nic dobrego, nic pięknego być nie może! Bo czyż to zagranicą kobieta się nauczy, jak ma być dobrą Polką, żoną, matką gospodynią? a wszakże niewieście innych umiejętności nad te nie trzeba!"

Dodać można, że w tych to czasach pojawiają się pierwsze wydawnictwa dla dzieci, książkowe i czasopiśmienne: Tańska wydaje kilka takich książek i redaguje przez kilka lat „Rozrywki dla dzieci", a Jachowicz wydaje „Bajki i powiastki", które stały się lekturą dziecinną w długim łańcuchu pokoleń, a także (po zamknięciu „Rozrywek" Tańskiej) tygodnik, a nawet przez pewien czas i „Dziennik dla dzieci" objętości dwu kartek, codziennie się ukazujących (1830).

W y d a w n i c t w a. Skoro o wydawnictwach mowa, zaznaczyć należy, że w tym to właśnie czasie mamy do czynienia z wielkim rozwojem drukarstwa. Do nielicznych oficyn z dawniejszych czasów przybywa tu kilkanaście nowych, w tym kilka bardzo poważnych o wysokim poziomie technicznym czy artystycznym. Obok starej, jeszcze z końca XVII wieku pochodzącej drukarni Pijarów przy ulicy Długiej stają wielkie drukarnie Nataniela Glücksberga na Krakowskim Przedmieściu (od r. 1818) o wielkich ambicjach artystycznych, dalej Banku Polskiego (od r. 1827) z bogatym wyborem czcionek i winiet, w której w r. 1830 zainstalowano pierwszą w kraju pospieszną maszynę drukarską, dalej drukarnie Szteblera, Gałęzowskiego i Spółki, tudzież Korespondenta Warszawskiego, w której równocześnie drukowano kilka dzienników, tudzież szereg innych mniejszych; zawsze czynne są drukarnie Rządowa i Komisji Rządowej Oświecenia i Wyznań Religijnych, tudzież zasłużona oficyna Józefa Węckiego. Dodać jeszcze można, że istnieje także już kilka zakładów litograficznych (pierwszy w Warszawie zabawiał się litografią Aleksander hr. Chodkiewicz, generał, chemik, literat, artysta, charakterystyczna postać epoki).

Z księgarni wymienić należy wielki skład Merzbacha na Miodowej, Zawadzkiego i Węckiego, Sennewalda, dalej Szczepańskiej i Puksztowej, obie na Świętojańskiej, Ciechanowskiego na Podwalu i Nowoleckiego na Nowym Mieście; spotykamy

też księgarnię żydowską Salcsztejna na Franciszkańskiej. Ponadto jeszcze sprzedaje się książki przy drukarni Pijarów i u Szteblera; bywały także książki i na straganach.

W większych księgarniach wypożyczano książki abonentom; poza tym była jeszcze wypożyczalnia w znanym składzie materiałów piśmiennych Kuhnkel & Co.

Salony literackie. Bardzo ważną rolę w zakresie kulturalnym grają salony literackie. Kultura jest jeszcze zbytkiem, na który może sobie pozwolić jedynie elita społeczna; wypada, aby ludzie dobrze urodzeni, zajmujący czołowe stanowiska w świecie, zajmowali się także literaturą czy sztuką, chociażby w tym zakresie niewiele mieli do powiedzenia.

W pierwszych latach Królestwa takim salonem jest przede wszystkim pałac Mostowskich przy ulicy Przejazd; gromadzą się tu obok gospodarza, ministra Tadeusza Mostowskiego i księcia Adama Czartoryskiego ustosunkowani i wpływowi panowie, zajmujący się także i literaturą; tworzą oni tak zwane „Towarzystwo Iksów" i stanowią przede wszystkim areopag teatralny. Nieco później na pierwszy plan wybija się salon generała Krasińskiego, gdzie na tygodniowych zebraniach bywają prócz takich autorytetów jak Niemcewicz, Koźmian, Osiński, czy też skromniejszy, bardziej burżuazyjny (czy profesorski) Brodziński, także i młodsi, prócz nich również i malarze czy aktorzy. Salon ten był terenem niejednej dyskusji o romantykach, którzy uchodzili w oczach zasuszonych klasyków i konserwatystów za szaleńców i szkodników.

Ceniono bardzo obiady u ministra Badeniego; Koźmian pisze o nim, że „pod kontuszem, bez znajomości języków obcych, bez nauki, był prawdziwym geniuszem w swoim rodzaju", podnosi jego dowcip, przenikliwość, rozsądek, trafność sądu, wielkie i długie doświadczenie. „Obiady u Badeniego tak się przyjemnymi robiły, przez poufałe ze sobą obcowanie i rozprawianie ludzi najznakomitszych w kraju ... iż zaproszonym być na nie za zaszczyt uważano." Także i tu bywał Niemcewicz, Koźmian i Osiński; od polityki przechodzono często do literatury. Chodzono też chętnie do domu Maksymilianostwa Fredrów; sam pan domu w chwilach wolnych od innych zajęć zabawiał się literaturą i nawet sztuki teatralne pisał, przyjmowane z uznaniem przez życzliwą krytykę. Wielkie salony otwarte były dla elity towarzyskiej u kasztelanowej Lanckorońskiej, gdzie utrzymywano styl staropolski, u Rozalii

Rzewuskiej, żony emira, u starościny Wielopolskiej, gdzie w r. 1827 urządzono uroczystość ku czci Niemcewicza z żywymi obrazami, które były sensacją całego miasta.

Skromny, demokratyczny salon był u Klementyny Tańskiej, późniejszej Hoffmanowej, pierwszej właściwie w pełnym tego słowa znaczeniu pisarki polskiej; tutaj najchętniej bywa Brodziński, na ogół nie lubiący wielkiego świata i czujący się najlepiej w zaciszu domowym. Nie ma oczywiście salonu romantycznego, ani romantyków w salonach; ci rewolucyjni nowatorzy, którzy zaczynają się mnożyć w ostatnich latach tego okresu, są wyklęci przez augurów dostojnej sztuki, a sami również programowo pogardzają salonami, jako instytucją ginącego świata, gromadząc się na zebraniach koleżeńskich lub najchętniej w małych kawiarniach, których coraz to więcej w tych czasach powstaje.

T e a t r. Teatr ma wielkie możliwości przed sobą: okres pokoju, wzrastająca zamożność szerokich warstw, tworząca się warstwa inteligencji zawodowej, oto podstawowe warunki rozwoju. Teatr pod dyrekcją Osińskiego jest aktywny i przedsiębiorczy, dużo tu widzimy inowacyj, dużo wkładów; jeżeli jednak w całości nie spełnił on pokładanych w nim nadziei, to chyba częściowo z winy samego kierownika, a częścią niewątpliwie ze względu na stosunki, które nie sprzyjały wielkiemu repertuarowi.

Osiński, teoretyk klasycyzmu, propaguje przede wszystkim pseudoklasyczną, sztukę, francuską, ale popiera także i rodzimą twórczość, wystawiając Felińskiego, Niemcewicza, Wężyka, i innych młodszych, czasem całkiem młodych autorów; równocześnie jednak Osiński — przedsiębiorca rozumie, że jedynie lekka sztuka może dać powodzenie kasowe i zupełnie konsekwentnie idzie w tym kierunku. Nowością teatru jest wysoki, niespotykany przedtem poziom technicznej wystawy; już w r. 1817 jeden z recenzentów podkreśla, że maszynista teatralny jest tu „pryncypalnym aktorem". Afisze teatralne ogłaszały np. publiczności, że sztuka będzie ozdobiona „wszelką okazałością, rozbiciem się okrętu i nowymi dekoracjami", „z nowymi machinami, obrazami, nowymi ubiorami, baletem, bitwami i wszelką właściwą dziełu okazałością". Młody Czeczot, przybywszy z Wilna do Warszawy był zdumiony i zachwycony tą właśnie zewnętrzną stroną przedstawienia: „grano sztukę najnędzniejszą w świecie pod względem sztuki i naz-

wiska tragedii nie warią. Ależ dekoracje, ależ balet i egzekucja muzyki przednia, prawdziwie zajmowały i bawiły ... dopieroż balet, pojedynki, bitwy nie za kulisą, ale na scenie, wszystko to miało widok przyjemny i zajmujący, i gdyby sztuka sama do tego choć w części się przykładała, byłby człowiek zupełnie oczarowany. „Literatura schodzi na dalszy plan, na pierwszym jest zawsze widowisko, możliwie efektowne, pociągające tłumnie publiczność.

Dodać należy, że na scenie Teatru Narodowego odbywały się także i inne przedstawienia; tutaj koncertowali przybyli z zagranicy artyści, tu występowały zespoły baletowe, ba, nawet i cyrkowe sztuki pokazywano. Jeden z dzienników współczesnych (r. 1830) tak na ten temat deklamuje: „Cienie Corneillów, Racinów, Molierów, Voltairów! Cóż byście powiedziały ujrzawszy, że tam gdzie wasze przedstawiane są dzieła, ludzie na zębach dźwigają belki, skaczą na linie, gadają brzuchem, małpy i psy się popisują, a to jeszcze na głównej scenie polskiej ...'' „Codziennie prawie przekonywamy się, że balet, opera, pajace tańczący na linie, a nawet kuglarze i skoczki więcej u nas sprowadzają widzów na teatr, jak najzawikłańsze dzieła traików francuskich'' pisze Mochnacki, który przez kilka lat był recenzentem teatralnym.

Teatr znajduje się oczywiście pod nadzorem władz; cenzura zwęża znacznie repertuar, usuwając wszystko, co choćby w dalekim związku mogło nasuwać jakieś myśli rewolucyjne czy liberalne. Sam wielki książę, typowy zresztą w sprawach sztuki analfabeta, stawał się czasem cenzorem; tak np. zaniepokojony wielkim sukcesem słabej zresztą sztuki młodego Humnickiego pt. „Żółkiewski'', wybrał się na przedstawienie i publicznie zwymyślał autora, wygrażając mu pięścią i obiecując, że każe go powiesić; cenzor, który tę sztukę przepuścił, dostał dymisję. W miarę wzrostu reakcji, cenzura jest coraz to uciążliwsza, a sfora szpiclów policyjnych czuwa na każdym przedstawieniu, szczegółowo obserwując publiczność i jej zachowanie się. Pisze o tym Kurpiński, bardzo wybitny „człowiek teatru'': „Przy każdym wystawieniu dzieła znakomitszych naszych pisarzy czereda szpiegów otaczała parter i notowała dających oklaski na wyrazy, których polskie serce obojętnie przyjąć nie mogło. Skoro się w tym publiczność spostrzegła, liczba słuchaczy z dnia na dzień zaczęła się zmniejszać, a teatr przy takich reprezentacjach stawał się stopniami, niemiłym dla publiczności miejscem zgromadzeń.''

Z artystów na pierwszym miejscu stoi Kudlicz, świetny zwłaszcza w komedii, poza tym wyborny nauczyciel, wprowadzający w świat teatru młodych adeptów sztuki w szkole dramatycznej, obok niego zmarły przedwcześnie Żółkowski, niezrównany komik, dalej Dmuszewski i Szymanowski, z pań dość zmanierowana Ledóchowska i młodsza od niej znacznie Żuczkowska (późniejsza Halpertowa). Bogusławski, weteran sceny narodowej, czasami jeszcze się pokazywał, ostatni raz w jesieni 1827, przyjęty entuzjastycznie przez publiczność.

Na rok przed wybuchem powstania listopadowego zorganizowany został teatr Rozmaitości, poświęcony przede wszystkim komedii i farsie, grywający zrazu w sali Towarzystwa Dobroczynności, a pozostający pod opieką najbardziej powołanego artysty, jakim był Kudlicz. Zaczęło się to wszystko od występów artystów prowincjonalnych i amatorów; bilety były niedrogie i publiczności gromadziło się coraz więcej, aż nakoniec dyrekcja teatru Narodowego przejęła te widowiska, podnosząc ich poziom artystyczny; natłok widzów był zawsze bardzo wielki. Poza tym jeszcze grywał teatr francuski w pałacu Saskim.

I n n e w i d o w i s k a. „Bywają różnymi czasy i inne widowiska — pisze w „Opisaniu Warszawy" z r. 1827 Gołębiowski. — Tych zajmuje w hecy szczwanie zwierząt, sztuki na koniach, tańce na linach, szczudłach i inne gimnastyczne lub mechaniczno-optyczne działania; tu który z uczniów Cagliostro przywoływaniem jakoby duchów, okazywaniem ich cieniów przeraża, tu Pinetti, Bosco, Indianin szczególniejszą zręcznością bawi, Robertson, Detroa pociąga, Mahier w obozie dla dwudziestu tysięcy wojska i tyluż może widzów okazuje swe sztuki zadziwiające, tu jeźdźcy Turniera, słoń i konik amerykański zastanawia, rozweselają Koblerów groteski; tam ognie sztuczne mnogich zwołują, innych wabi fizyczny gabinet, osoby woskowe, panorama lub kosmorama, czyli optyka miast, widoków, tudzież Akena zbiór ptaków i zwierząt, albo szybkobiegacz Gierig, Pawłowski i tym podobne rozliczne przedmioty." Niemiecki pamiętnikarz, opisujący swe wrażenia z Warszawy, zaznacza, że na ulicach zjawiają się teatry marionetkowe, tańczące niedźwiedzie, małpy tresowane i rozmaici akrobaci, a poza tym jeszcze starzy lirnicy ukraińscy.

M u z y k a. Muzyka jest wcale popularna. Grywa się dość dużo w domach prywatnych, gdzie coraz częściej spotyka się

klawikordy; tam gdzie nie stać było na tak kosztowny instrument, grywano na gitarze hiszpańskiej lub angielskiej. Wielkimi autorytetami w zakresie muzyki są Elsner, autor wielu oper i komediooper (z nich najpopularniejszą był „Łokietek" z librettem Dmuszewskiego, wielokrotnie wystawiany), rektor konserwatorium muzycznego i profesor uniwersytetu, tudzież Kurpiński, kompozytor, twórca kilku oper na tematy narodowe. Do ważnych zdarzeń w życiu towarzyskim należały koncerty; występowały tu sławy zagraniczne i rodzime, a więc Maria Szymanowska czy Karol Lipiński, wreszcie młody Chopin, którego przyjęto z nadzwyczajnym uznaniem. „Talent w samej rzeczy genialny, godny podziwienia" pisał o nim w recenzji z koncertu Mochnacki (w marcu 1830). Ale i poza wielkimi artystami nie brak było różnych domorosłych sław, zwłaszcza cudownych dzieci. „Co kwartał prawie zjawia się u nas jakiś młodziuchny wirtuoz, jakiś maleńki artysta, jakiś kompozytor pięcioletni, to Franuś, to Józio, to Wicuś itd. Nigdzie nie widziano tylu razem, tak rzadkich, choć tak maleńkich geniuszków i talencików" pisze Mochnacki w „Kurierze Polskim" z końca 1829 r.

Sztuki plastyczne. Ożywiają się również znacznie sztuki plastyczne. Na początku tego okresu żyje jeszcze stary Bacciarelli, którego pamięć tak ściśle związała się ze Stanisławem Augustem; zostaje on mimo siedemdziesięcu kilku lat wieku profesorem uniwersytetu na wydziale sztuk pięknych, ale niedługo potem umiera (1818). Kolegą jego na wydziale, znacznie młodszym, jest Zygmunt Vogel, profesor rysunku, perspektywy i optyki, który między innymi czuwa nad artystyczną stroną wielkich obchodów żałobnych (księcia Józefa, Henryka Dąbrowskiego, Alojzego Felińskiego i innych). Jeszcze młodszym, ale o wiele zdolniejszym, jest profesor malarstwa na tymże fakultecie, Antoni Brodowski, autor mnóstwa portretów i wielkich płócień historycznych, o niepospolitej wartości artystycznej. Do najmłodszych należą Aleksander Kokular, malujący sceny historyczne, religijne i portrety, i January Suchodolski, który występuje z polskimi tematami historycznymi, wystawiając śmierć Warneńczyka czy bitwę pod Wiedniem. Realistyczne sceny z powstania maluje Marcin Zaleski, charakterystyczne postaci warszawskie odtwarza Jan Feliks Piwarski, nauczyciel rysunków w szkole politechnicznej.

(Dokończenie nastąpi)

Stefan Kuczyński

O POCZĄTKACH RUSI

Istnieją w nauce pewne zagadnienia, o których trudno orzec konkretnie czy dadzą się kiedykolwiek zadawalająco rozwiązać, a jednocześnie przyciągają one uwagę badaczy w sposób wprost magnetyczny.

Do takiego rodzaju zagadnień należy właśnie problem początków narodu i państwa rosyjskiego. W r. 1949 rozpocznie się trzecie stulecie od chwili narodzin dyskusji naukowej na temat genezy Rusi i chociaż wiele interesujących rzeczy zostało wyjaśnione, na zasadnicze zagadnienie na razie wciąż jeszcze nie można dać pewnej odpowiedzi. Do coraz to pomnażanych, źródeł piśmiennych historiograficznych dodawano z biegiem lat źródła i badania filologiczne, archeologiczne, socjologiczne, etnograficzne, przyrodnicze i ekonomiczne, a mimo to sprawa wciąż jest sporna. Jako najlepszy przykład służyć może uwaga S. Tomaszewskiego,[1] iż: „Do samej drugiej połowy w. X, do czasów księcia Świętosława Igorewicza, nie ma literalnie ani jednego źródła, ani jednego faktu, ani jednego imienia osobowego lub plemiennego, o którychby najsprzeczniejszych nie wypowiedziano sądów."

Może to właśnie historyków pasjonuje, a może tylko są bardziej uparci niż np. matematycy, którzy uznali, że pewne problemy są nierozwiązalne, i dali spokój, jak kwadraturze koła. Historycy nie chcą uznać początków Rusi za problem nierozwiązalny i może kiedyś wyniki ostateczne osiągną. Miejmy bowiem nadzieję, iż, mimo bomby atomowej, świat potrwa jeszcze parę stuleci koniecznych ad usum Historiae.

To też, nie kusząc się w tym miejscu o udział w wiekowej dyskusji, pragnę jedynie dać zarys przebiegu sporu i wskazać najistotniejsze trudności.

Spór i trudności rozpoczynają się zresztą od pierwszego wyrazu — od nazwy „Ruś" i to zarówno co do filologii tego słowa, jak i co do pojęcia terminologicznego: co ten termin

[1] „Nowa teoria o początkach Rusi" Kw. H. XLIII. 1929 s. 283.

oznacza? Czy należy mówiąc o początkach Rosji używać wyrazu: „Ruś" — „ruski", czy też jedynie: „Moskwa" — „moskiewski"? Historycy ukraińscy, a przede wszystkim Hruszewski odmawiali i odmawiają (niektórzy do dziś) prawa nawiązywania rosyjskich początków do dziejów Rusi i Kijowa. Według Hruszewskiego północno-wschodnia Ruś (Wielkorosja) nie była ani spadkobierczynią, ani kontynuatorem dalszych dziejów Rusi kijowskiej. Miała własny początek, odrębny od dziejów Kijowa. Okres kijowski Rusi — Ukrainy przeszedł nie we włodzimiersko-moskiewski, lecz w halicko-wołyński (XIII w.), a potem w litewsko-polski (XIV—XVI w.). Zgodnie z koncepcją Hruszewskiego historycy rosyjscy winni dopiero początek Rosji odnaleźć.

Hruszewski, który wystąpił do walki „ze zwykłym schematem rosyjskiej historii" tzn. rozpoczynającym dzieje państwowości rosyjskiej od Kijowa, a po jego upadku przenoszącym ośrodek państwowości do Moskwy, od Piotra W. zaś do Petersburga, nie był odosobniony. Schemat ten zwracał bowiem uwagę i Rosjan. W końcu XIX stulecia, na parę lat przed ukazaniem się „Historii Ukrainy-Rusi" Hruszewskiego, Rosjanin Milukow[2] pisał o schemacie historii Rosji, iż jest to schemat przestarzały, który został zapoczątkowany w historiograficznym szablonie kronikarzy moskiewskich i u którego podstaw kryje się idea genealogiczna dynastii moskiewskiej, roszczącej pretensje do wszystkich ziem ruskich.

Przeciwnicy powyższych poglądów, a są to nie tylko historycy rosyjscy, lecz również niektórzy uczeni ukraińscy i polscy, uważają, że niezależnie od późniejszego rozwoju stosunków rosyjsko-ukraińskich, obydwa te narody i państwa miały początek wspólny w Rusi Kijowskiej. W r. 1930 Ukrainiec, M. Korduba, wystąpił z rozważaniem[3] o najważniejszym momencie w dziejach narodu ukraińskiego i za moment taki uznał przejście ziem ukraińsko-białoruskich pod panowanie polsko-litewskie, ponieważ, według Korduby, dzięki temu wyodrębnieniu się z wspólnoty ruskiej — nastąpiło obudzenie się odrębnej świadomości narodowej Ukraińcow i Białorusinów. Dzięki pozostawaniu w ciągu paru wieków pod wpływami

[2] „Gławnyja tieczenija russkoj istoriczeskoj mysli" Moskwa 1897.

[3] „Najważnijszyj moment w istorii Ukrainy" Literaturno-naukowyj Wistnyk R. XXIX ks. VI, tom 102.

polsko-zachodnimi narody te nie stanowią dzisiaj jedności narodowej z narodem rosyjskim.

Teoria Korduby wywołała gwałtowny sprzeciw w emigracyjnych kołach ukraińskich, a w Pradze czeskiej odbyła się nawet specjalna dyskusja w r. 1930 pod przewodnictwem znakomitego filologa, prof. Stepana Smal-Stockiego. W dyskusji tej tezy Korduby potępiono i orzeknięto raz jeszcze, że Ruś to Ukraina, że naród ukraiński od początku dziejów miał swą odrębną świadomość narodową i że początki Rosji nic wspólnego z Rusią nie mają.[4] Korduba odpowiedział i dyskusja na łamach prasy (głównie w Polsce i w Czechach) toczyła się jeszcze lat kilka nie przekonywując ani jednej, ani drugiej strony. Tymczasem w Polsce, niezależnie od tej dyskusji i zupełnie przy innych zagadnieniach, stwierdził S. Kuczyński, że pierwsze i wyraźne, świadome różnice narodowościowe pomiędzy Ukraińcami i Moskwiczami występują dopiero przy końcu XV wieku (stulecia budzenia się poczucia narodowościowego i u innych ludów) i, że różnic pomiędzy państwem i narodem moskiewskim, a ukraińskim nie mogło być w wieku IX czy X, gdyż przecież państwa moskiewskiego w tym czasie jeszcze nie było.

Również badania uczonych rosyjskich i ukraińskich (i in.) w Z. S. R. R. (Aleksiejewa, Bachruszina, Dierżawina, Djakonowa, Flaksbergera, Grekowa, Juszkowa, Marra, Miszulina, Nikolskiego, Parchomenki, Rawdonikasa, Rybakowa, Smirnowa, Struwego, Tretjakowa, Udalcowa i w. in.), jak i emigrantów (Moszin, Presnjakow, Rostówcew) rozszerzając znakomicie zakres wiadomości o Rusi Kijowskiej i o czasach przed IX wiekiem — dochodzą raczej do wyników sprzecznych z tezą Hruszewskiego. Ostatnio, bo w roku 1944 wypowiedział to wyraźnie Grekow: „Historia państwa kijowskiego to nie historia Ukrainy, nie historia Białorusi, nie historia Wielkorusi. To dzieje państwa, które pozwoliło dojrzeć i wyrosnąć i Ukrainie, i Białorusi i Wielkorosji".[5]

[4] „Otkoudu jest' poszła Ruskaja zemlja..." (zbiór referatów dyskusji) Praha 1931.

[5] „Kijewskaja Rus'" Izd. Ak. Nauk. Z. S. R. R. Moskwa — Leningrad 1944 str. 8.

Sprawę zatem zakresu terminu „Ruś" można uważać za przyjętą niemal przez wszystkich historyków w tym sensie, iż wyraz Ruś oznacza pewne terytorium w Europie Wschodniej, na którym z czasem ukształtowały się różne państwa słowiańskie i nie słowiańskie, a które to terytorium co do powierzchni określa państwo pierwszych Rurykowiczów Kijowskich. Według Grekowa północno-wschodnia granica Rusi dotykała chanatu Bułgarskiego nad Wołgą. Na północy i północo-zachodzie państwo kijowskie (Ruś) częściowo wchłonęło w swój skład część plemion fińskich i plemię jaćwieskie, na zachodzie Ruś graniczyła z Polską, na południu granice dochodziły do stepów czarnomorskich, a gdzieniegdzie do m. Czarnego.[6] Na części tego terytorium powstało państwo wielkoruskie — Rosja, która stąd ma prawo początków swych szukać na Rusi.

Wyjaśnienie wszakże zakresu terminów „Ruś" i „Rosja" usuwa dopiero najmniejszą trudność, bo już filologia wyrazu „Ruś" rozpętywa wnet burzę nad głowami badaczy. Obok sprawy komu wolno, a komu nie wolno używać tego terminu, czai się również spór „normanistów" i „antynormanistów".[7]

O nazwie „Ruś" pisał pierwszy autor kroniki ruskiej, mnich kijowski, iż nazwę tę przynieśli z za morza Waręgowie, jako swoje miano, a następnie przyjęły ją wszystkie plemiona Słowian Wschodnich[8], które weszły w skład państwa zorganizowanego przez Waręgów-Rusów. Mnich ów był pierwszym „normanistą", czyli wyznawcą poglądu o skandynawskim pochodzeniu organizatorów państwa kijowskiego i nazwy Rusi. Pogląd ów został zaatakowany w XVIII w. przez niektórych członków Rosyjskiej Akademii Nauk i od tej chwili, aż po dzień dzisiejszy trwa spór zarówno co do utworzenia państwa ruskiego jak i co do pochodzenia samego wyrazu „Ruś".

„Normaniści" tzn. historycy i filologowie, którzy przyjmują normańsko-waręskie pochodzenie tego wyrazu i twórców państwa kijowskiego, twierdzą, iż wywodzi się on z fińskiej nazwy Szwedów: Ruotsi. Germanista W. Brimm[9] ter-

[6] Grekow o. c. str. 237.

[7] Najpełniejszy wykaz literatury sporu opublikował Moszin: „Warjago-russkij wopros" Slavia X. 1931.

[8] „Ot Warjag bo prozwaszasja Rus' ju a pierwieje biesza Słowienie".

[9] „Proischożdienije tiermina Ruś" Rossija i Zapad. Istoriczeskij Sbornik Nr. 1. 1923.

min ten sprowadza do fińskiego przekształcenia pierwszej części szwedzkiej nazwy członków drużyny bojowej — drotsmann. Znakomity historyk, Presnjakow, sądzi za Marrem, że wyjaśnione zostało szerokie rozprzestrzenienie terminu „Ros" w składzie imion plemiennych świata jafetyckiego (z totemicznym znaczeniem konia, germ. Ross, ang. Horse) i, że pochodzenie „Rusi" można objaśnić drogą przypadkowego dźwiękowego podobieństwa, prawie identycznością dwóch terminów różnego pochodzenia, tym bardziej, że przesuwanie „o" i „u" znane jest i na północy (ruotsi eston.-rôto) i na południu (źródłosłów w et-rus-ki).

„Antynormanistą może być tylko nie filolog" orzekł swego czasu na tle sporu o Ruś A. Brückner w sposób zupełnie dogmatyczny,[10] jednakże A. L. Pogodin,[11] chociaż normanista, wypowiada pogląd zmodyfikowany, że aczkolwiek skandynawskie pochodzenie Rusi jest pewnikiem, to jednak nazwę „Ruś" Słowianie przyjęli bezpośrednio z nordyckiego, bez pomocy Finnów, w czasach bardzo dawnych. Z kolei sanskrytolog Knauer[12] ustalił, że Wołga w językach aryjskich znana była jako Rasa, Raha, Raza, co oznaczać miało wodę bieżącą — rzekę. Nazwa powyższa w języku Słowian Wschodnich przeistoczyła się, jakoby, w Roś i Ruś. Nieznany autor grecki z V wieku „nazywa Wołgę „Ros", a pewien Pers w „Księdze granic świata" zwie górną i średnią Wołgę „Ruś", a kilku późniejszych geografów arabskich zna ją pod nazwą „Ruskiej rzeki". Stąd P. Smirnow[13] „wnioskuje z tego, że ziemie nad środkową Wołgą — to praojczyzna Rusi normańskiej, a nazwa „Ruś" oznaczała pierwotnie ludzi z nad Wołgi, nadwołżan . . . Stwierdzają to rzekomo i sagi skandynawskie, które wschodnią Europę nazywają „Wielką Szwecją" lub „drogą na wschód", a w niej, jako osobną część która miała obejmować międzyrzecze Wołgi i Oki, wyróżniają pod nazwą „Rüzaland".

Ani jedno z tych wyjaśnień nie zadawala antynorma-

[10] A. Brückner „Dogmat normański" Kw. H. t. 20. 1906.

[11] „Der Bericht der russischen Chronik über die Gründung des russischen Staates" Zeitschr. f. Osteuropäische Geschichte t. V. 2. Berlin 1931.

[12] „O proischożdenii imieni naroda Rus'" Trudy XI archeolog. sjezda, otd. II.

[13] W pracy: „Wołżskij szlach i starodawny Rusy" Ukr. Ak. Nauk. 1928, omówionej przez Kordubę (por. cyt. 15).

nistów. Nie umieją wszakże sami podać zadowalającego tłumaczenia. „Ruski Chronograf" z r. 1617 wyjaśniał, że „Ruś" pochodzi od „rusych" (rudych) włosów.[14]

Pomysł ten przypadł do smaku M. Kordubie, który (nie cytując ani Chronografa, ani Ikonnikowa) wysunął go, jako własny,[15] twierdząc że genezy nazwy „Ruś" należy szukać wśród ludu ukraińskiego „w pieśniach ludowych tak często wspominają się ruse włosy, rusa kosa. Lecz już biskup Liutprand z Kremony pisał w X w. o Rusi, że jest to „gens ..... quam a qualitate corporis Graeci vocant Rusios";[16] ta wiadomość „znajduje zupełne potwierdzenie u współczesnego geografa arabskiego, Masudi, który zaznacza, że Bizantyjczycy zwą Ruś — rusią tzn. rudymi. Nie ma wątpliwości — pisze Korduba — że nazwa Ruś jest zbiorową. Otóż, jeżeli od przymiotnika zielony mamy nazwę zbiorową zieleń, od przymiotnika czarny — czerń, też jest wielce prawdopodobne, iż od przymiotnika rusy utworzono nazwę ruś na oznaczenie wojskowo-kupieckich drużyn, wśród których pierwotnie mogli mieć przewagę blondyni północnego (normańskiego) pochodzenia".

Jak widzimy antynormanista Korduba łączy jednak nazwę „ruś" z wojskowo-kupieckimi drużynami Normanów. Szkoda zaś, że nie przytoczył „arcyniewygodnego dla antynormanistów świadectwa Jakubiego z IX w. o Rusi — Normanach", jak pisze Brückner: „Jakubi opowiada pod r. 844 o napadzie pogan, mandżusów, zwanych Rus na Sewilę (a wiemy o tym napadzie normańskim dobrze skądinąd)".[17]

Krótko mówiąc — najbliższymi prawdy co do pochodzenia nazwy „Ruś" wydają się być ci uczeni, którzy przyjmują możliwość przypadkowego dźwiękowego podobieństwa dwóch terminów różnego pochodzenia, które z czasem zlały się w jeden wyraz: Ruś.

Przechodzimy teraz z kolei do genezy państwa ruskiego. Sprawa ta byłaby znacznie łatwiejsza do rozwikłania, gdyby: 1. obok rozważań naukowych nie wciskały się do niej czynniki emocjonalne: ambicja narodowa i uczucie patriotyczne za-

[14] Ikonnikow „Opyt russkoj istoriografii" t. II. cz. 2. str. 1412.

[15] „Najnowsze teorie o początkach Rusi" Przegl. Hist. XXX s. 73—74.

[16] Mon. Germ. Hist. script. III, 831.

[17] „O Rusi normańskiej" Kw. H. t. 23. 1909. s. 369.

interesowanych i 2. gdyby nie mieszano dwu zupełnie różnych problemów: a) kwestii organizacji państwa kijowskiego przez Rurykowiczów i b) kwestii dojrzałości społeczno-cywilizacyjnej plemion słowiańskich p r z e d powstaniem państwa kijowskiego.

Jeżeli chodzi o p u n k t p i e r w s z y, to rzeczą charakterystyczną jest, że protest przeciw teorii o normańskich organizatorach państwa kijowskiego najsilniej uwypukla się w okresach zadrażnień rosyjsko-germańskich (tezy ukraińskie nie wchodzą tu w rachubę, gdyż mają wyraźnie odmienne oblicze polityczne). Jak było w r. 1749 za cesarzowej Elżbiety, gdy w Rosji budził się ruch nacjonalizmu i poryw antyniemiecki, tak również w okresie 2-ej wojny światowej, gdy całe społeczeństwo rosyjskie łączyło się w uczuciu przeciw Niemcom. W pierwszym wypadku wystąpili niektórzy członkowie Rosyjskiej Akademii Nauk, w drugim niektórzy uczeni radzieccy położyli nacisk na tezy antynormańskie.

Nie zwrócono przy tym należytej uwagi na p u n k t d r u g i, że kwestia organizacji państwa kijowskiego przez Waręgów wcale nie jest równoznaczna z niebytem życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego słowian wschodnich przed tą organizacją, analogicznie jak kwestia zorganizowania imperium Aleksandra Wielkiego wcale nie świadczy o próżni cywilizacyjnej w Grecji czy Persji przed powstaniem tego imperium. O ile te dwa punkty da się wyeliminować z rozważań, sprawa początków Rusi stanie się znacznie łatwiejsza do rozwiązania. A trzeba przyznać, że wiele uczyniono dla jej zawikłania.

Już „ojciec naszych dziejów", J a n D ł u g o s z, pisząc I tom swej „Historii", natknął się na zagadnienie początków państwa ruskiego i stwierdził z pewnym zdziwieniem, że mnogość piszących o początkach Rusi i różnorodność ich opinii „bardziej zaciemnia ten początek, niż wyjaśnia" (Quae scriptorum de origine Ruthenorum varietas plus obnubilat eorum originem quam declarat").[18] Po Długoszu mnogość pisarzy i różnorodność opinii o początkach Rusi jeszcze wzrosła i, gdyby nie pomoc filologów i pamiątek materialnej kultury, bylibyśmy w sytuacji gorszej od wielkiego polskiego dziejopisa.[19]

[18] D ł u g o s z a „Historia" t. I, 29.

[19] Sam M o s z i n podał kilkaset pozycyj (por. przyp. 7), a spis jego nie obejmuje całości i zawiera brak b. istotnych źródeł i opracowań.

Według najstarszych kronik ruskich, opartych w owym czasie na świeżej tradycji dworu i cerkwi, państwo ruskie powstało drogą podboju. Dokonali tego Normanowie — Waręgowie, posuwali się od północy, od Wielkiego Nowogrodu, na południe, przez Kijów, aż do m. Czarnego budując słynną drogę handlową „od Waręgów do Greków" — do Bizancjum. Luźne plemiona wschodnio-słowiańskie osiadłe w dorzeczu Wołgi, Dźwiny, Dniepru, Dniestru i Bugu zostały z biegiem lat poddane władzy Waręgów i przyjęły od tych ostatnich także nazwę „Ruś". Ruś była tam, gdzie w Europie Wschodniej rozciągało się władztwo dynastii Rurykowiczów.

To opowiadanie początkowo nie wywołało sprzeciwu na Rusi. Jeszcze Iwan IV Groźny chlubił się pochodzeniem z dynastii normańskiej o czym w drugiej połowie XVI wieku piszą cudzoziemcy do swych krajów, a co cytują historycy rosyjscy tej miary co Karamzin i Sołowiów.

Pogląd wszakże na normański początek państwa ruskiego został poddany rewizji w XVII wieku i to dzięki wymysłom polskiego kronikarza M. S t r y j k o w s k i e g o. Były to czasy najbujniejszego rozkwitu fortun magnackich i złotej wolności szlacheckiej w Polsce. A każdy szlachcić pragnął pod ów czas wywodzić się jeżeli nie od Abrahama, to przynajmniej od Piasta i Popiela. Im dalej w pomrokę wieków — tym większy splendor spływał na ród szlachecki i na klejnot rodowy. Fabrykowano więc drzewa genealogiczne „per fas et nefas" poniektórych rodów, ale słusznym się wydawało, by i pochodzenie państwa czy narodu uświetnić najdalszą starożytnością. Tedy Stryjkowski szukał wprzódy przodków narodu polskiego wśród starożytnych sarmatów, a potem zajął się wyprowadzaniem pochodzenia Rusi i wywiódł ją nietylko od Roksolanów Ptolomeusza czy Tacyta, ale nawet od biblijnych Rosza i Masocha. Rusini (tzn. Białorusini i Ukraińcy) mieli pochodzić od Rosza, Moskwicze (Wielkorusini) od Masocha. I Rusinom i Moskwiczom taki wspaniały wywód genealogiczny przypadł do smaku. Teorię tę wszakże wydrukowano w „Synopsisie" kijowskim dopiero w r. 1674, lecz za to powtarzano nowe wydania „Synopsisu" aż do r. 1870! I teoria ta stała się popularną i podstawową wiedzą szerokiego ogółu ruskiego o początkach swej narodowości. Dodajmy — jedyną d r u k o w a n ą teorią.

Życie państwowe Rusi płynęło wszakże naprzód. Ruś północno-wschodnia (Wielkoruś), początkowo żyjąca jako państwo Moskiewskie, zmieniła się na Rosję. W Rosji powstała

Rosyjska Akademia Nauk, której członkowie zajęli się badaniem krytycznym początków państwa i narodu.

Wśród członków Akademii było w tym czasie sporo Niemców i właśnie oni przystąpili do badań nad początkami Rusi. Pierwszy G. S. Bayer († 1738), wybitny lingwista, spróbował opracować ten temat i, opierając się na źródłach, zobrazował początki Rusi zgodnie z kijowskim mnichem (tzw. Nestorem), a wbrew teoriom „Synopsisu". Praca jego dla różnych powodów nie wywołała sprzeciwu, ani nie zdobyła rozgłosu (pisał po łacinie, więc mało kto mógł czytać). Historyk rosyjski Tatiszczew zużytkował nawet rozprawę Bayera w tomie I swej „Historii rosyjskiej", przedłożonej Akademii Nauk w cztery lata po śmierci Bayera. To też drugi akademik G. Müller, również Niemiec, nie spodziewał się jaki efekt wywoła, gdy z kolei sam na uroczyste posiedzenie Akademii (ku czci cesarzowej Elżbiety) w dn. 6. IX. 1749 r. napisał rozprawę o początkach narodu i imienia ruskiego. W rozprawie tej oparł się na wynikach Bayera i Nestora i — wywołał wybuch oburzenia. Akademia poczuła się dotknięta w swym patriotyzmie, a jeden z rosyjskich kolegów Müllera, Popow, zawołał głośno po łacinie do niego: „Ty, autorze przesławny, zadajesz hańbę naszemu narodowi!", co spowodowało, że Müller zemdlał, a jego rozprawę cesarzowa poleciła zbadać specjalnej komisji pod przewodnictwem słynnego Łomonosowa.[20]

Opinia komisji wypadła na niekorzyść Müllera. Łomonosow powołał się na ... „Synopsis" kijowski, który Waręgów nazywał Słowianami, a nadto apelował do ambicji narodowej „Przy tym oddaję pod uwagę znawcom polityki — pisał Łomonosow — czy nie uwłacza to sławie narodu rosyjskiego, jeśli jego pochodzenie i imię oznaczy się na tak późny czas, a odrzuci się jego starożytność w czym inne narody szukają sobie sławy"[21]

W rezultacie rozprawa Müllera uległa konfiskacie, lecz trudniej było skonfiskować autentyczne latopisy ruskie, (które z czasem zostały wydane w 24 tomach „Pełnego Zbioru Latopisów Ruskich"). Należało zatem wyjaśnić tekst latopisu Nestorowego na sposób „normański" lub „antynormański" i tu była linia podziału na szkołę antynormanistów stojącą podówczas na straży „Synopsisa" i wstecznictwa naukowego i na szkołę normanistów reprezentującą wolność myśli i po-

[20] Piekarskij „Istorija Imp. Akad. Nauk." t. I, 57.
[21] Bilarskij „Matierijały dla biografii Łomonosowa" Pet. 1865.

stęp. Antynormaniści bronili godności narodowej — w swym mniemaniu — ale mocnych naukowych argumentów za sobą nie mieli. Do czasów przed pierwszą wojną światową wszyscy wybitniejsi przedstawiciele historii Rosji byli normanistami, a więc: Karamzin, Sołowiow, Kluczewski, Płatonow, Lubawski, jak i wszyscy filologowie ze słynnym Szachmatowem na czele. Wśród antynormanistów zaś najwybitniejsze imię to — Iłowajski. Wniosek porównawczy sam się nasuwa,

Odrębną pozycję zajęła nauka ukraińska, która zwalczała normanizm dlatego, ponieważ kojarzył się „z wyobrażeniem mniejszej zdatności politycznej Ukraińców, niż Rosjan" — niższości południa wobec północy Rusi. Z drugiej zaś strony rezerwowała sobie wyłączność początków Rusi dla Ukrainy. Moskwa miała wyszukać sobie inny początek, bo Ruś — to Ukraina.

Po pierwszej wojnie światowej spór o początki Rusi wszczął się na nowo. Powstało szereg nowych teoryj, które pokrótce omówimy. Na czoło badaczy co do ilości prac poświęconych danemu zagadnieniu wysuwa się Włodzimierz Parchomenko. W swoich pracach[22] (w których często zmienia zresztą i modyfkuje poglądy) dzieli Parchomenko wschodnich słowian na 3 grupy: północną, która tylko jedna ma łączność z Waręgami, południowo-wschodnią podlegającą Chozarom i południowo-zachodnią. Grupy te Parchomenko przesuwa, dzieli, starając się uzgodnić swe poglady z pisarzami arabskimi, którzy również rozróżniają trzy Rusie. Ruryk i Waręgowie, zdaniem Parchomenki, nie mieli wiele wspólnego z Kijowem lecz jedynie organizowali Nowogród Wielki. I tu Parchomenko zgadza się z Szachmatowem, który jeszcze w latach 1908—1916 wykazywał, że najdawniejsza część latopisu ruskiego, powstała w roku 1039 zawierała jedynie legendę o Kiju, założycielu Kijowa, a opowiadanie o Ruryku i jego braciach znajdowało się jedynie w latopisie nowogrodzkim.[23]

[22] Prace W. Parchomenki są b. liczne. Przytoczymy tu jedynie kilka ważniejszych: „Tricentra drewniej Rusi" Izw. otd. russk. jaz. i słow. Ros. Ak. Nauk 1913, II, 79—87; „Ruś w IX wiekie" Izw. otd. russk. jaz. Ros. Ak. Nauk 1917, II. 127—140; „Iz drewniejszej istorii wostoczn. słowianstwa"; Izw. otd. russk. jaz. Ros. Ak. Nauk 1920 476—485. „Normanizm i antinormanizm. K woprosu o proischożdenii imieni „Ruś" Izw. otd. russk. jaz. Ak. Nauk 1923 s. 71 in.; „U istokow russkoj gosudarstwiennosti" Leningrad 1924.

[23] „Razyskanija o drewniejszych russkich swodach" Pet. 1908; „Powiest' wremiennych let" t. I. Pietrogrod 1916.

Z czego łatwy wysnuwał wniosek, że legenda o organizacji państwa kijowskiego przez Waręgow jest tylko domysłem późniejszego, kronikarza a nie opisem istotnych wydarzeń historycznych. Parchomenko reprezentuje szkołę słowiańską, do której należał również Rostowcew, Januszewski, Nikolski i Grekow i w. in. Januszewski w pracy zatytułowanej zupełnie poważnie: „Skąd pochodzi słowiańskie plemę Ruś?[24] niezupełnie poważnie odkrył, że ponieważ i w Jugosławii znana jest legenda o Lechu, Czechu i Rusie, to (po wzięciu pod uwagę pewnych lokalnych śladów) można ustalić że Ruś pochodzi z Kroacji, a trzej bracia wyszli „w świata trzy strony" z Krapiny w r. 278! Nikolski — dla odmiany, wyprowadza Ruś z Zachodu, raczej z Moraw.[25] Uważa też, że twórcy Rusi kijowskiej, Polanie, jeszcze za swego pobytu w Iliricum przyjęli religię chrześcijańską z rąk św. Pawła, więc w r. 988 zostali tylko przechrzczeni przez Włodzimierza W. na obrządek grecki.

M. Rostowcew wychodzi z założenia,[26] że dzieje Rusi są o wiele starsze niż pierwsze wiadomości o Słowianach wschodnich. Autor ujmuje dzieje Europy południowo-wschodniej nad m. Czarnym od epoki kimmeryjskiej, a kończy swe rozważania na utworzeniu państwa Ruskiego nad Dnieprem. Rostowcew wywodzi, że kultura rolnicza ludności osiadłej na omawianych terytoriach jest ciągła i, że od czasów neolitycznych nie ma podstaw do przypuszczeń iż zaszła zasadnicza zmiana przedstawicieli tej ludności. „Migracje i infiltracje plemienne zmieniały jej typ i kulturę, lecz obraz zmiany plemion panujących w ciągu wieków na południu Rosji sprowadza się do zmiany panowania nielicznych, lecz silnych przez swoją organizację wojenną koczowników nad masą stałej ludności, częściowo rolniczej, osiadłej na urodzajnych równinach, częściowo pół koczowniczej, łowieckiej, w lasach środkowej Rosji. Wiekowy rozwój stosunków handlowych tych krajów ze światem greckim i wschodnim wytworzył tradycję międzynarodowych, ekonomicznych i kulturalnych związków, w którą weszli Słowianie postępując za Germanami na Podnieprze

[24] Wilno 1923.

[25] „K woprosu o russkich pismienach upominajemych w żytii Konstantina fiłosofa". Izw. po. russk. jaz. I, 1. 1928; „Powiest' wremiennych let kak istocznik dla istorii naczalnawo perioda russkoj pismiennosti i kultury". Izw. po russk. jaz. II, 1. 1930.

[26] „Iranians and Greeks in south Russia" Oxford Clarendon Presse 1922.

Kijowszczyzna, Połtawszczyzna, Czernihowszczyzna, okolice gdzie to ... życie kulturalne doszło do wysokiego stopnia rozwoju, w ostatnich czasach panowania Scytów, w II—III w. przed Chrystusem — stały się kolebką ruskiego życia historycznego. Ruś Kijowska to ostatnie ogniwo starożytnego szczepu historycznego, a pierwsze w nowym łańcuchu, kultura zaś jej stanowi gałąź grecko-orientalnej kultury, która dawno zapuściła korzenie w tym kraju".

Badania archeologiczno-historyczne Rostowcewa zgodne są w wielu wypadkach z wynikami prac językoznawczych wielkiego radzieckiego uczonego, Marra.[27] Marr studiował początkowo języki ludów kaukaskich, a ze studiów tych przeszedł do nowej metody historyczno-filologicznej, dzięki której badał starożytne kultury w ich życiu materialnym, społecznym i duchowym. Badaniami swymi Mar ogarnął cały basen morza Śródziemnego i część Azji. Z badań tych wynika istnienie kulturalnej epoki, wydającej się przedhistoryczną z punktu widzenia aryjskiego. Tymczasem w materiale, lingwistycznym języków europejskich daje się znaleźć dużą ilość terminów, których na podstawie językowej i indoeuropejskiej wyjaśnić nie podobna. Również nie daje się wytłumaczyć szeregu nazw geograficznych od Sekwany do Kijowa. Wyjaśnienie tych terminów i nazw, skład głoskowy i zasadnicze znaczenie ich źródłosłowów daje się osiągnąć jedynie na podstawie porównawczego badania starożytnych elementów w językach europejskich w zestawieniu z językami ludów Kaukazu. Przy wymienionych badaniach porównawczych Marr zbudował hipotezę o grupie języków „jafetyckich", a rozbudowa tej hipotezy doprowadziła do uzyskania daleko idących wniosków o najstarszych podstawach europejskiej kultury i etnologii. Okazuje się, że Ariowie otrzymali po kulturach plemion przedaryjskich dużo większą spuściznę, niż dotąd przypuszczano. Według Marra „jafetyckimi" są terminy kultury metalowej, terminy bytu społecznego i pojęć religijnych. „Nazwy rzek i miast swoim jafetyckim charakterem wykazują znaczenie przedaryjskie licznych punktów osiedlenia i dróg międzynaro-

[27] „Jafieticzeskij Kawkaz i trietij etniczeskij elemient w socitanii średiziemnomorskoj kultury" Leipzig 1920; „La Seine, La Saône, Lutèce et les premiers habitants de la Gaule, Etrusques et Pelasgues" Petr. 1922; „Kawkazkija plemiennyje nazwanija i miestnyje paralleli" w serii: „Trudy komissii po izuczeniju plemiennogo sostawa nasilenija Rossii" z. 3—5. Izd. Ak. Nauk 1921—22.

dowej komunikacji, które zachowały swą doniosłość w późniejszych wiekach".[28]

Najświeższą pozycję wydawniczą — chronologicznie stanowi B. Grekow (1944 r.). Jest to historyk — antynormanista, który pragnie przy pomocy pamiątek materialnej kultury uzupełnić braki latopisu. Grekow uważa,[29] ze mnich — kronikarz chciał pokazać w dziejach Rusi Kijowskiej rolę książęcego rodu Rurykowiczów, skąd właśnie powstała jego skłonność do normanizmu. Szachmatow wszak wykazał, że na pierwszych stronicach latopisu mamy przeróbkę starych podań o początkach Rusi oświetloną przez pryzmat pierwszego historyka — normanistę. Grekow sądzi, że kronikarz zrobił świadomy wybór faktów potrzebny mu do przeprowadzenia pewnej koncepcji. Poza tym był związany wolą klienta — księcia Włodzimierza Monomacha. Ten ostatni był zainteresowany, aby wykazać zbawienność posłuszeństwa dla panującego władcy z domu Ruryka. Poszczególne bowiem części Rusi Kijowskiej, rządzone przez mniejszych kniaziów nabrały siły odśrodkowej i wyłamywały się władzy W. Księcia Kijowskiego. Nadto rodziły się ruchy ludowe w latach 1068, 1071, 1091 i 1113. Klasy panujące w obawie o stan posiadania zwróciły się do najdzielniejszego z Rurykowiczów, Włodzimierza Monomacha. Ten ostatni przybył i objął panowanie i wszelkimi środkami starał się je pogłębić. Rozumiał też wagę pisanego słowa. Ponieważ zaś latopis, jaki zastał w Kijowie, nie odpowiadał jego wymaganiom, przeniósł go z Ławry do klasztoru Wydubickiego i dał przeorowi Sylwestrowi z poleceniem, aby napisał kronikę w myśl konieczności jedynowładztwa Rurykowiczów. Sylwester wobec tego opuścił z latopisu Nowogrodzkiego ustęp o panowaniu w Nowogrodzie Waręgów i o gwałtach, jakie tam czynili, i o tym, że uciskani przez Normanów Słowianie, Krywicze, Mera i Czud' wypędzili Waręgów, ale potem na skutek rozterek i nieporządków znów rozejrzeli się za jednoczącą władzą. Sylwester napisał jedynie, że plemiona nie posiadające władcy żyły w waśniach i rozterkach i dla usunięcia chaosu zaprosiły Ruryka i Waręgów, co uratowało społeczeństwo od nieszczęść i rozkładu. W czasach Monomachowych znów są walki i rozbicie i dlatego słusznie zrobiono wzywając W. Ks. Włodzimierza do Kijowa, niby drugiego Ruryka do Nowogrodu.

[28] Por. omówienie Presnjakowa „O nowszej historiografii rosyjskiej". Kw. Hist. 1923.
[29] O. c. str. 11—12.

Kronikarz zwrócił główną uwagę na północ i Ruryka, a zaniedbał południe i sprawy z Chazarami i Bizancjum. Grekow stara się więc rozwiać legendę o państwowo-twórczych siłach Waręgów. Wbrew Kluczewskiemu i Downar-Zapolskiemu, ostatnio zaś Rożkowowi, Grekow uzasadnia, że wschodni słowianie byli osiadłymi rolnikami (w oparciu o pracę Flaksbergera, Tretiakowa i in.) Państwo Antów, o którym piszą pisarze starożytni (Jordan, Procopiusz) w VI w. rozciągające się od półn. wschodnich stoków Karpat do Donu (tzn. na zasadniczym terytorium późniejszego państwa Kijowskiego) uważa Grekow za przodków fizycznych i organizacyjnych Państwa Kijowskiego. Zanim wszakże kraj złączył się pod przewodnictwem Kijowa, już w różnych częściach ogromnego terytorium Rusi dają się skonstatować związki polityczne ze swymi ośrodkami (Państwo Antów w IV w., państwo Dulębów (Wołynian) VI w.). Stąd twierdzi Grekow, że z pewnymi zastrzeżeniami można przyjąć, iż historia Rusi zaczęła się w wieku VI.[30]

Szkoła słowiańska w wielu punktach zgodna z domniemaniami dawnej szkoły ukraińskiej, reprezentuje w każdym razie argumenty poważne. Nie można natomiast powiedzieć tego o teorii judaistycznej Baraca i gallicko-celtyckiej Szełuchyna, które w okresie międzywojennym pojawiły się na widowni.

G. Barac dopatruje się[31] dominującego wpływu źródeł żydowskich na opowieść kronikarską latopisu (tzw. „Powieść lat doczesnych"). Roksolanie żyjący na ziemiach Ukrainy to Żydzi — wychodźcy z Kanaan. Ich nazwa hebrajska rosz — hola co znaczy — książęta na wygnaniu. Z tego Rosz — Ruś. (Jak widzimy stary M. Stryjkowski znalazł zdolnego naśladowcę!); Dniepr oznacza Adon, Ibri — bóstwo Hebreów, Kijów — Kiow — Kiun — Cion = Sion! I tak dalej. Komentarzy teoria ta, jak wolno sądzić, nie wymaga.

S. Szełuchyn odkrył u Juliusza Cezara, że jedno z plemion galijskich nazywa się Rutheni.[32] Owi Rutheni z nad Rodanu mieli przenieść się nad Dunaj, stamtąd morzem do

[30] „Kijewskaja Ruś" str. 252.

[31] „O sostawitielach Powieśti wremiennych let i jeja istocznikach preimuszczestwienno jewrejskich" Berlin 1924.

[32] S. Szełuchyn „Zwidkila pochodyt' Ruś" Praha 1929.

Tmutorakani, skąd wreszcie do Kijowa-i założyli Ruś. Ruryk, według Szełuchyna, był Celtem, bo wszak imię jego kończy się na — ic (Ruric) itd. Teorie te również trudno rozważać poważnie.

Ciekawszą nieco, choć również antynormańską, teorię wykoncypował Dr. Fritzler, usiłując wykazać,[33] że Ruś jest pochodzenia turskiego z Zakaukazia. Waręgowie — to Frangowie czyli Frankowie i oni to nadali Rusi organizację państwową.

Z powyższymi teoriami walczy dawna, pierwotna, szkoła normańska reprezentowana w czasach ostatanich przede wszystkim przez Moszina, Pogodina i Smirnowa, a wśród Ukraińców przez S. Tomaszewskiego.

W. Moszin który oprócz prac konstruktywnych,[34] dokonał pożytecznego zestawienia całej literatury dotyczącej teorii normanizmu, poświęcił najwięcej uwagi istnieniu 3-ej Rusi (poza Kijowską i nowogrodzką) nad m. Azowskim. I tę organizację państwową uważa Moszin za twór normański, a „ruską wyspę" wspomnianą w źródłach identyfikuje z półwyspem Tamańskim. Źródła arabskie wspominają o trzech ośrodkach słowiańskich na wschodzie Europy: o Kujabii z Kujabą (którą wielu utożsamia z Kijowem), o Sławii (Nowogród W.) i Artanii, bliskiej Chozarom. Otóż Mosin uważa, że Artania to państwo normańskie nad m. Azowskim, bo niektóre źródła nazywają m. Azowskie — morzem Ruskim, a rzekę Don — ruską rzeką. Nadto potwierdzenie do swej teorii o 3-ej Rusi znajduje autor w 2 dokumentach. Pierwszy z nich to urywek listu hebrajskiego opowiadający o wyprawach ks. tmutorakańskiego Chlgu (Oleg) na Bizancjum i Persję. Drugi to „Księga doświadczeń narodów" arabskiego pisarza X w. (Ibn Miskawejchi), z której urywek opowiada o wyprawie Rusi na wschód, za góry kaukaskie, nad rzekę Kura. Interpretacja tego urywka pozwala wysnuć wnioski, że wyprawę tę organizowała Ruś nadazowska, a nie kijowska, bowiem Ibn Miskavejchi charakteryzuje kraj Rusi i opis kraju pasuje jedynie do stępów nad m. Azowskim. Stąd wynika, że w latach wyprawy (943—944) istniała obok Rusi Kijowskiej — Ruś nad m. Azowskim.

[33] W „Das Russische Reich — eine Gründung der Franken" Marburg 1923.

[34] „Ruski otok" Jugoslavenska Niva IX 1925. t. II; „Tmuterokanj. Krh. i Sm—krc". Zbornik w cest na V. Zlatarski; „Trece rusko pleme" Slavia V (1927).

A. Pogodin zajmuje się głównie obroną słuszności kroniki i jej tezy o początku normańskim państwa ruskiego.[35] Zwraca przy tym uwagę, że Waręgami zwano na Rusi Duńczyków, a Rusią — Szwedów. S. Tomaszewski, również uważa kronikarza latopisu za bezstronnego świadka. „Ze skąpych zapisków rocznikarskich — pisze Tomaszewski — z kilku dostępnych mu dokumentów politycznych, z garści utworów religijnych, przy pomocy paru kronik bizantyjskich" dał kronikarz odpowiedź prostą na pytanie: skąd powstało państwo ruskie i kto pierwszy począł w nim rządzić? Nie wymyślał, zaczerpnął z tradycyj dworu i cerkwi swą odpowiedź „tchnącą żywą prawdą"[36] — a w odpowiedzi tej przyjął organizację luźnych plemion słowiańskich przez normańskich Waręgów. Tomaszewski w czambuł zwalcza antynormanistów. Nawet skąd pochodzi wyraz „Ruś" — pisze: „tego żaden antynormanista nie wie". Obydwaj powyżsi autorzy wywodami i siłą przekonania zbliżeni są nader do filologa — Al. Brücknera, który normanizm w organizacji Rusi określił jako dogmat, a zwrócił uwagę, że jedynie Szwedów zwali Finnowie Rusią (Ruotsi), bo Rosjan do dzisiaj zwą „Venäjä".

Wszystkie te jednak teorie ustępują obszernej i szeroko rozbudowanej pracy Pawła Smirnowa,[37] opartej na danych archeologicznych, lingwistycznych i in. Smirnow na podstawie oceny wykopalisk nad Wołgą i Kamą, pochodzących z okresu na 500 lat przed nar. Chr. ustalił związek ziem zlewiska Wołgi i Kamy z obszarem Skandynawskim, Kaukazem i Azją. Smirnow przypuszcza, że Wołga była wielką arterią komunikacyjną i handlową między krajami Północnymi (Skandynawskimi), a Wschodnimi. Na brzegach Wołgi w ciągu stuleci (I—IX po Chr.) powstały liczne osady normańskie związane ze znacznym rozwojem handlu. Opierając się na przytoczonych faktach i wywodach lingwistycznych, które były cytowane wyżej, Smirnow z dużą siłą dowodową stwierdza, że praojczyzna Rusi normańskiej znajduje się nad środkową Wołgą. Istniał tam chakanat ruski zniszczony przez Węgrów w IX w., dzięki którym Ruś rozpadła się na 3 grupy nadwołżańskie, oraz na grupę Nowogrodu W., Kijowa i Przyazowską. Początki Rusi, według Smirnowa, związane są nie z Dnieprem, lecz z Wołgą.

[35] Por. przyp. 11.
[36] S. Towaszewski „Nowa teoria" Kw. H. 1929. s. 284.
[37] Por. przyp. 13.

Omawiając wyniki nowszych teoryj o początkach Rusi, Ukrainec Korduba ustala, iż „pozytywny dorobek wszystkich tych prac wyraża się w 2 punktach: 1. zgodnym stwierdzeniu istnienia osobnego państwa Rusi Przyazowskiej czyli Tmutorakańskiej jeszcze w okresie przedkijowskim (Parchomenko, Moszin, Smirnow, Szełuchyn i do pewnego stopnia Fritzler), 2. dalszym zbadaniu i umotywowaniu tezy o wielkim kulturalno-handlowym znaczeniu wodnego szlaku Wołgi, zanim jeszcze droga Dniepru weszła w użycie (Smirnow)".[38]

Ale to nie wszystko. Korduba nie stwierdził, bo jeszcze gdy pisał powyższe słowa nie było najnowszych prac Grekowa i Dierżawina, że — wbrew pozorom następuje pewne zbliżenie pomiędzy normanistami i antynormanistami, chociaż ani jedna ze stron nie rezygnuje ze swego stanowiska. Mianowicie jednym z kamieni obrazy dla Grekowa (czego zwalczaniu poświęcił najlepsze stronice swej ostatniej książki „Ruś Kijowska") było przypuszczenie, że do IX wieku plemiona słowiańskie żyły na niskim poziomie cywilizacji i organizacji społecznej. Prace Smirnowa udowodniające istnienie ośrodka Rusi o dużej kulturze nad środkową Wołgą, na kilka wieków przed Rurykiem, wpłynąć winny kojąco na antynormańskiego oponenta. Również ustalenie Rusi nad m. Azowskim idzie po tej linii.

Ale w badaniach zlewiska Wołgi jest coś więcej. Jak pamiętamy Hruszewski, Smal-Stocki i in. Ukraińcy odmawiali Rosjanom wprost prawa do łączenia początków Rosji z nazwą „Ruś" i państwem Kijowskim, oraz zachęcali ich do poszukiwań własnej genezy państwowej. Nadaremnie znakomity historyk rosyjski, Presniakow, zwracał uwagę, iż ziemia rostowska, na której później wyrosło państwo moskiewsko-wielkoruskie, była zasiedlona nie przez Jerzego Długorękiego i Andrzeja Bogolubskiego, lecz wyraźnie przed nimi (a więc nie po upadku Kijowa dopiero).

Droga Wołgą ze Skandynawii do Grecji wcześniej znana była, niż szlak Dnieprowy. Już za Włodzimierza Wielkiego (X w.) w Rostowie rządził, jako w kraju zaludnionym, ks. Borys, a w Muromi Hleb. Północno-wschodnie ziemie od początku zamieszkałe (a nie skolonizowane dopiero przez Kijów) żyły łącznie pod władzą Rurykowiczów z ziemiami południowo-

[38] Korduba o. c. str. 73.

zachodnimi. Dla początków Rusi, zdaniem Presniakowa, wspólne są dzieje Rusi północnej i południowej.

Otóż badania, które ustaliły istnienie Rusi Przyazowskiej i Nadwołżańskiej, przesuwają początki ruskie o parę wieków wstecz, nawiązują do kultury dużo wcześniejszej i wyższej od tej, którą mogli z sobą przynieść Normańscy Rurykowicze, (z czym zgodny jest i Grekow w piękny sposób opisujący dojrzałość kultury ruskiej w X—XI wieku, a nie jej młodzieńczość), ale nade wszystko — dają ruski, niezaprzeczenie, początek Rosji — jako państwu powstałemu na ziemiach nad środkową Wołgą. Rosja ma prawo do nazwy Ruś w swej przeszłości. A, że te początki organizowali Normanowie? To jedno ustępstwo mogą chyba, uczynić antynormaniści. Wszak ingerencji w życie państwowe kraju w przeszłości nie wstydzą się dzisiaj inne narody, jak Włochy, czy Francja — jak wreszcie zorganizowana na nowo przez Wilhelma Zdobywcę — Anglia. Od czasów Müllera i Łomonosowa przybyło jednak sporo elementów wyjaśniających i łagodzących spór. Celowe i słuszne wyzyskanie pomników materialnej kultury pozwoliło przenieść dyskusję, nieraz całkowicie jałową, na grunt realny. Takie np. prace Flaksbergera[39] udowodniające, że pszenica była znana w Mińsku już w IV—VIII wieku, albo prace Tretiakowa[40] ustalające okres przejścia do uprawianego rolnictwa Wschodnich Słowian na VII—VIII wiek — pozwoliły oprzeć teorię o wcześniejszej dojrzałości tych Słowian, niż przyjście Ruryka i Olega, na mocnych fundamentach.

Ale zarówno wywody normanistów, jak i antynormanistów stwierdzić pozwoliły, że pod władzą Kijowa zjednoczone zostały nie tylko wschodnio-słowiańskie plemiona, lecz także i nie słowiańskie. To też określenie „mieszkańcy Rusi" oznacza nie tylko Słowian. Różnorodność plemion zamieszkujących państwo Ruskie, a później Moskiewskie, wreszcie Rosyjskie wycisnęła od początku swoiste piętno na obliczu organizmu państwowego Europy Wschodniej. Bystrzejsi politycy dawnej Rosji rozumieli też konieczność zaprzestania traktowania kulturalnego i obyczajowego Rosji jako monolitu. Myślał

[39] Wśród licznych wymienimy tu: „Nachodki kulturnych rastienij doistoriczeskogo perioda" Trudy Inst. istorii nauki i tiechniki. Serija 1. wyp. 2.

[40] „Podsiecznoje zemledelije w Wostocznoj Jewropie" izd. G. A. I. M. K. „Rassielenije drewnierusskich plemien po archieologiczeskim dannym" Sow. Archeologia Nr. 4.

o tym Aleksander I, kołatały się różne pomysły w Petersburgu przed I-ą wojną światową. Wszakże dopiero rewolucja październikowa zdziałała, że dawne państwo rosyjskie zmieniło się w Związek narodowych republik, autonomicznych krajów i okręgów narodowościowych — reprezentujących kilkadziesiąt kultur i języków. I, że możliwość powstania przed wiekami Rusi złożonej również z rozmaitych plemion i narodów stała się łatwiejsza do przyjęcia.

Alina Świderska

PRZYJACIELE MOSKALE

(Fragmenty z powieści biograficznej „ADAM").

I. Petersburg.

... Tyś dopiero poznał po wierzchu życie petersburskie — mówił do Adama Oleszkiewicz — nie widziałeś tego co tutaj najbardziej godne poznania, nie znasz spiskowców.

Mickiewicz żywo się poruszył. — Bardzobym chciał ich poznać.

— Nic łatwiejszego. Jeśli tylko chcesz, zaprowadzę cię na ich zebranie.

W parę dni potem wybrali się tam istotnie.

— Oni chcieli i z nami nawiązać stosunki — objaśniał Adam towarzysza, ale Zan odesłał ich z tym do Warszawy. Uważał że na naszym gruncie to zbyt niebezpieczne. Bestużew był nawet kiedyś u nas w Wilnie.

— Który? Ten poeta?

— Nie wiem. Jakiś oficer. Nazywał się Bestużew-Rumin.

— Oni wszyscy oficerowie. Ale to był inny. Bo jest aż trzech Bestużewów.

Na ulicy przestali rozmawiać. Nie było to bezpiecznie. Szli tedy w milczeniu, wypuszczając tylko z ust słupy pary niewyraźnie bielejącę w słabym świetle latarni ulicznych. Noc już była zupełna, mimo że nie nadeszły jeszcze godziny wieczorne. Mijali ich szybkim krokiem przechodnie poprzedzani, jak i oni, stężałym na mrozie własnym oddechem. ...

... Niebawem stanęli przed lokalem spiskowców. Piękny, obszerny apartament bynajmniej nie wyglądał na norę konspiracyjną i nie wyglądali też na spiskujących ci, którzy tam byli zebrani. Błyszczały dokoła szlify oficerskie i galony urzędnicze, gwar panował ogromny, a powietrze aż gęste było od dymu fajek i cygar. Wejście dwóch Polaków zwróciło jednak uwagę od razu.

Gdy Oleszkiewicz półgłosem wspomniał, kogo przyprowadził, rzucono się ku nim. Adam w jednej chwili znalazł się

otoczony, ściskany, całowany jak gdyby wśród najlepszych przyjaciół.

— Cóż za radość dla mnie poznać wielkiego polskiego poetę — młody oficer w świetnym mundurze odezwał się doń po polsku, choć silnym rosyjskim akcentem — Biestużew Aleksiej — przedstawił się wyciągając rękę.

— Ależ waszmość pan takoż poeta ...

— Gdzież mnie do was!

Ucałowali się w oba policzki.

— A to Kondratij Fiedorowicz Rylejew, tożе nasz kolega po piórze.

— Ja nie poeta, ja obywatel — bronił się tamten.

Nastąpiła nowa seria uściśnień.

— My tu już wszyscy „Polaki" — zapewniano Adama z różnych stron.

Był cokolwiek zaskoczony tego rodzaju oświadczeniami. Tyle jednakże widniało serdeczności w obejściu tych ludzi, taka zdawałoby się szczera i dobroduszna poczciwość, że trudno było nie wierzyć tym zapewnieniom. Mieli widocznie tylko taki przesadny sposób wyrażania się.

Rozpoczęły się obrady. Mówiono głośno, nie troszcząc się, czy kto nie podsłuchuje za drzwiami. Okna nie były zasłonięte, w ogóle nie zdawano się przedsiębrać żadnych ostrożności.

Adam słuchając doznawał uczuć szczególnie zmieszanych. Chwilami wydawało mu się, że jest wśród „braci" Filomatów w Wilnie. Taka sama była tu nienawiść caryzmu, takie samo dążenie do wolności i nawet sposoby przedkładane do zwalczenia tyranii częstokroć te same. Tylko język, w jakim odbywały się te obrady i owa przesada wyrażeń podobna jak w słyszanych przed chwilą oświadczeniach przyjaźni, czyniła wrażenie obce. Z mieszanym tedy również wrażeniem powracał do domu.

... — No, gadaj, co, jak było?

Z kolegów żaden jeszcze nie dostał się do kół rewolucjonistów rosyjskich. Adamowi pierwszemu to się udało.

— Owszem, podobali mnie się bardzo. To sama najszlachetniejsza, najdzielniejsza młodzież. Czucia ich wzniosłe, pełni są zapału. Nikt tam nie ma na widoku ani własnej korzyści, ani nawet zemsty osobistej, na to można przysiąc ... Właściwie, to my dotąd wcale nie znaliśmy Rosjan. Przecie to, co do nas nasyłają, to same łajdaki.

— A pamiętasz? Worcel i Ogiński koniecznie namawiali Zana, żebyśmy zawarli sojusz z rewolucjonistami rosyjskimi.

— Sojuszu, to jabym i teraz nie zawarł — Mickiewicz mówił z namysłem — serca u nich jak na dłoni, ale co głowy, to nietęgie. Im na przykład wydaje się, że dość jest znienawidzieć rząd, żeby już móc postawić inny na jego miejsce ... A co za święta wiara w konstytucję! ... Cudów się po niej spodziewają. Warto żeby zobaczyli, jak ta carska konstytucja w praktyce wygląda u nas, w Królestwie Polskim! ...

— Powiedziałeś im?

— Nie miałem sposobności, bom się tylko przysłuchiwał, ale powiem jeszcze przy okazji.

Sposobność trafiła się niebawem. Zaproszono go na ucztę „braterską".

Już zbliżając się, usłyszał tak głośne okrzyki rewolucyjne, że dochodziły aż na schody.

— Bójcie się Boga! Przecież was lada kto może posłyszeć!

Podochocona kompania nie bardzo zrozumiała, o co idzie. Siedzieli wszyscy przy stole i choć to był dopiero początek uczty, najwidoczniej mieli już w czubach.

— Czto on gawarit'?[1]

Zdziwiła ich cudzoziemska wymowa Mickiewicza. Nie wszyscy go znali, i spoglądano na niego podejrzliwie.

— On broni rządu carskiego! — krzyknął ktoś gniewnie.

Wznosiły się nawet pięści.

— Ależ, panowie, to mój przyjaciel, sławny poeta polski, Mickiewicz — Rylejew ujął go pod ramię i gromkim głosem zapanował nad wrzawą.

Usposobienie zmieniło się momentalnie.

— Poeta polski! ... Niech żyje poeta Mickiewicz! ...

Zamiast pięści, wzniosły się w górę kielichy. Oszołomiony tym nagłym zwrotem Adam musiał trącać się ze wszystkimi.

Uczta trwała dalej. Toasty następowały jedne po drugich. Wciąż dolewano szampana. Podziwiać można było moc tych głów, że dotąd żaden nie zwalił się pod stół. Ale za to podniecenie dochodziło do szczytu. Okrzyki zatrącające falsetem, rechotania śmiechu podobne do ryku żubra przerywały co

[1] Co on mówi?

chwila przemowy pełne coraz to gwałtowniejszych inwektyw przeciw tyranom. Adama przywykłego do spokojniejszych o wiele Litwinów,[2] którzy nawet gdy sobie podpili, nigdy tak dalece nie tracili miary, ogarniało wzrastające poczucie niesmaku.

Nareszcie, kiedy ktoś wykrzyknął na całe gardło: — Śmierć carowi! ... — i kiedy wszyscy pozrywali się z miejsc, wznosząc z zapałem kielichy — Mickiewicz swój odsunął i nie poruszył się na krześle.

Wszyscy obejrzeli się na niego.

— Eto z tiebia trus![3] — odezwał się jego sąsiad.

Stojący z drugiej strony Rylejew również spoglądał nań nieprzyjemnie zdziwiony.

— Podlec! ... Zdrajca! ... — rozległy się inne głosy.

Adam nie zmieszał się ani trochę. Teraz dopiero powstał z miejsca i podniósł rękę na znak, że chce mówić.

Uciszyła się wrzawa i wszyscy patrzyli nań z ciekawością.

— Nie wypiłem z wami, bo takich rzeczy nie załatwia się toastem — głos brzmiał spokojnie, ale śmiało — wznieść szklankę i wypić ją łatwo, a potem zdaje się człowiekowi, że już naprawdę czegoś dokonał, więc ... idzie spać. Chcecie śmierci cara? No, to za broń i ruszamy zaraz na Zimny Dworzec![4] Ja pierwszy idę z wami — uczynił gest taki, jakby miał iść naprawdę.

Cała kompania zmieszała się trochę. Jedni machnąwszy ręką ze zniechęceniem, melancholijnie pospuszczali głowy. Inni, nieco trzeźwiejsi, spoglądali to na siebie wzajem, to na Mickiewicza.

— Widzicie, Adamie Mikołajewiczu — zaczął wreszcie któryś z pewnym wahaniem — to jeszcze nie czas. Naród nie jest przygotowany. Nie możemy iść sami ...

— Trzeba to odłożyć do sposobniejszej chwili — dorzucił ktoś inny.

W kątach ust i w spojrzeniu Mickiewicza pojawił się uśmieszek. Zachował jednak minę poważną. I jemu zresztą szumiało już w głowie, mimo że toasty spełniał nader ostrożnie.

[2] Słowa „Litwin" używam w tym sensie, co za czasów mickiewiczowskich, w znaczeniu mieszkańca kresów północnych Rzeczypospolitej Polskiej.

[3] To z ciebie tchórz.

[4] Pałac Zimowy.

Zebranie już się kończyło. Wszyscy jakoś potracili humory. Przemówienie Mickiewicza otrzeźwiło ich lepiej niż tusz zimnej wody, ale też i podcięło animusz. Jeden za drugim rozchodzili się do domu.

— Nie pojmuję — mówił nazajutrz Adam do Oleszkiewicza — jakim sposobem przy takiej dziecinnej nieopatrzności, organizacja jeszcze dotąd się nie wykryła.

— Naród tutejszy jest bardzo poczciwy. Nigdy swego nie wyda. „Co tam, że upiją się i pokrzyczą trochę!" Nikt tego nie bierze na serio . . . A oni sami między sobą są wierni bez granic — dodał po chwili — pomyśl tylko! Już blisko dziesięć lat jak trwa konspiracja, należy do niej kilkuset ludzi, i to różnego położenia, a nie trafił się ani jeden zdrajca.

Adamowi przypomniał się Jankowski i jeszcze paru innych. Co prawda, nie wiadomo, jakby było z tymi, gdyby ich wzięto na tortury . . .

Wspomnienie „braci" zachmurzyło go na chwilę. Rozproszeni są po całym olbrzymim imperium . . . Czy i kiedy zejdą się jeszcze wszyscy razem? . . .

* * *

— Poeta z ciebie, mój Konradzie.

Rylejew tylko co roztoczył przed Adamem obraz Rosji jaka będzie, gdy już zginą cary.

— Jaki ja tam poeta! Mnie w s t y d n o słyszeć to od ciebie. Ot, wasz Niemcewicz, tak ten poeta!

Konrad Rylejew był wielbicielem autora „Śpiewów historycznych". Tłumaczył nawet niektóre jego dumy i usiłował je naśladować, ale rzeczywiście dość nieudolnie.

— Miałem niedawno list od niego — dorzucił z dumą.

— Po jakiemu ty do niego pisujesz?

— Po polsku, ma się rozumieć. A cóż ty myślał?

Stali obydwaj przed pomnikiem Piotra Wielkiego, który nieraz chodzili razem oglądać, i Rylejew korzystając z pustki, jaka była dookoła, nie krępował się z wyrażaniem głośno swoich zapatrywań.

Mróz jednakże brał coraz silniejszy. Niepodobna było stać na miejscu. Ujęli się tedy wzajem pod ramię i szli Newskim Prospektem.

— Ostatni raz idziemy tak razem — westchnął Mickiewicz — lada dzień trzeba będzie jechać.

Główne formalności były już załatwione. Nic nie stawało na przeszkodzie do wymarzonego od tak dawna wyjazdu na południe. I teraz właśnie, gdy to miało nastąpić, Adama ogarnął żal. Żal mu było rozstawać się z nowymi przyjaciółmi i żal opuszczać ich w takiej niepewności co do ich losu i co do losu ich zamierzeń ...

— Dokąd jedziesz?

— Do Odessy.

Jechać mieli w trzech, lecz Adam nie wspomniał o tym. Myślał w danej chwili tylko o tych, których miał pożegnać. Szczególnie bliski stał mu się właśnie Rylejew. Nie jako poeta. Talentu miał mało bardzo. Ale w nim wyczuwał Adam najwięcej wielkości duszy. On też najbardziej ze wszystkich poznanych tutaj wydawał mu się zdatny na wodza przyszłej rewolucji ...

— Będziem mieli do ciebie prośbę, Adamie. Czy nie zechciałbyś zabrać od nas listów do naszych przyjaciół ze „Związku Południa"? Nie lękasz się?

Mickiewicz z uśmiechem przecząco wstrząsnął głową.

— Tam w Kijowie naczelnikiem jest Pestel. Też dusza człowiek. Trzeba żebyś z nim poznajomił się.

— Ma się rozumieć.

Nie, nie lękał się bynajmniej tego pośrednictwa. Przeciwnie, rad był, że może w ten sposób oddać przysługę braciom tutejszym — bo za braci poniekąd zaczynał już ich uważać — i zarazem przysłużyć się sprawie wolności.

II. Moskwa.

— Chcesz pan poznać Puszkina? To przyjdź do nas dziś wieczorem — Mikołaj Polewoj, redaktor „Moskiewskiego Telegrafu", z sympatią, a nawet z widocznym podziwem odnosił się do Mickiewicza.

Adam znał go już od paru miesięcy, ale dotychczas trzymał się z daleka. Nie czuł się dobrze w towarzystwie rosyjskim. Wolał siedzieć w domu z kolegami. Tym razem jednak propozycja była zbyt nęcąca.

Zjawiwszy się wieczorem u Polewojów, zastał salon pełen gości. Wielu z pomiędzy nich znał już po trochu. Chcąc nie chcąc, musiał pozawierać nieco znajomości wśród literatów moskiewskich, ale zawsze prawie wobec nich chmurny i małomówny, niezbyt im się udzielał.

Ośrodek towarzystwa stanowił w tej chwili człowieczek mały i ruchliwy, w długim, czarnym surducie i czarnej kamizelce zapiętej pod szyję, od której zwisały końce na pół rozwiązanej chustki. Bujne i wełnisto kędzierzawe włosy przypominały o jego murzyńskim pochodzeniu. Było też coś dzikiego w żywości niespokojnych oczu o połyskliwych białkach, ale wrażenie to łagodziło niskie i nadzwyczaj przyjemne, acz nieco przytłumione brzmienie głosu.

Znajomość poszła szybko. W chwilę potem Puszkin i Mickiewicz rozmawiali już na uboczu, usunięci od reszty towarzystwa.

... — Tak, powiedział, że odtąd sam tylko będzie cenzurował moje poezje — Puszkin był najwidoczniej pod wrażeniem łaski carskiej.

Musiał jednakże coś wyczytać w spojrzeniu Mickiewicza, bo dodał na wpół żałośnie:

— A h, c o m m e j e v o u d r a i s l e h a i r[5] — rozmawiali naturalnie po francusku — ale cóż zrobić, kiedy nie mogę ...

Było coś rozbrajającego w tonie dziecinnie naiwnym, jakim to powiedział i w tej ufności, z jaką od razu odniósł się do Mickiewicza. Ale bo też obydwaj mieli wrażenie, że znają się już od dawna.

Adam uśmiechnął się tylko i skierował rozmowę na co innego.

... — Rzeczywiście, za młodu uwielbiałem Byrona — opowiadał Puszkin — a kiedy umarł, kazałem odprawić p a n i c h i d ę[6] za jego duszę — uśmiechnął się sam z siebie — ale prawdę powiedziawszy, nie ma jak Szekspir. Z nim żaden nie może się mierzyć.

— A znasz dramaty Goethego?

Nie, tych Puszkin nie znał. A raczej znał je tylko z przeróbek francuskich. Językiem niemieckim władał bardzo słabo.

Z podziwieniem słuchał teraz tego, co mówić zaczął Mickiewicz. — Jakąż ty ogromną wiedzę posiadasz.

— Miałem doskonałych profesorów. A przy tym kształciliśmy się sami. Nie uwierzysz, ile może dać taka wspólna praca koleżeńska.

Puszkin uśmiechnął się trochę melancholijnie. Przyszli mu

[5] Jakbym chciał go nienawidzieć.
[6] Nabożeństwo żałobne.

na myśl jego koledzy, eleganccy „gwardyjcy" hulaki pierwszej wody . . .

Chociaż, owszem, zaznał przez krótki czas przyjaźni szlachetniejszej. To było wówczas, kiedy Bestużew/i Rylejew wprowadzili go w grono swoich druhów. Ale o tym wolał teraz nie myśleć . . .

Całe towarzystwo obserwowało z ciekawością rozmowę dwóch poetów. Uderzyło wszystkich pewne poszanowanie, z jakim Puszkin zwracał się do Mickiewicza. Widne to było nawet z daleka w wyrazie twarzy i postawie. On, ten rozpieszczony bywalec salonów, psuty ciągłymi admiracjami i pochwałami, zdawał się przemawiać do tamtego niby do kogoś wyższego od siebie.

* * *

— Jakiż jest Puszkin? — przyjaciele z ciekawością wyczekiwali powrotu Adama.

— Bardzo mi się podobał. Żywy, serdeczny, naturalny. Jako człowiek milszy jeszcze niż jako poeta. A co za umysł przenikliwy. Jaka pamięć. Jaki cięty i dowcipny. I wszystkim interesuje się, o cokolwiek zahaczyć w rozmowie.

Puszkin był pierwszym spośród nowych znajomych Mickiewicza, z którym mógł rozmawiać jak równy z równym. Nie żeby nie czuł swojej nad nim wyższości. Przede wszystkim umysłowej, bo przy jednakich może zdolnościach, on sięgał zawsze do głębi rzeczy, podczas gdy tamten — zdążył to już poznać przy pierwszej rozmowie — zadowalał się powierzchnią, ukazującą co prawda w blasku jego poetyckiego wejrzenia mnóstwo migotliwych załamań niedostrzegalnych dla innych. Nade wszystko jednakże uczuwał Adam wyższość własnego charakteru.

On nie byłby zdolny zachwycać się carem, nawet przy największej łaskawości obejścia. Jemu by nie zaimponował zamiar cenzurowania jego utworów najmiłościwszą ręką monarszą. Przeciwnie, uchyliłby się od tej propozycji, a nawet uważałby ją za największe nieszczęście. Wolałby, stanowczo by wolał znaleźć się raz jeszcze w celi więziennej, niż poddać swoje poezje carskiej cenzurze. Ale nic dziwnego. On wyrósł w tradycjach wolnej Rzeczypospolitej i miał w sobie rycerską krew wolnych, nie zaś niewolniczą, murzyńską, wyhodowaną

ponadto w państwie, gdzie obowiązywały od wieków tradycje absolutyzmu.

Niemniej, Puszkin jedyny z ludzi spotkanych dotąd, mógł mu dorównać polotem umysłu w rozmowie. Z nim nie potrzebował się krępować ani myśli swojej objaśniać, bo tamten rozumiał go w pół słowa. Mówił z nim swobodnie, i odrazu znaleźli mnóstwo tematów wspólnych. To też zapragnął widywać go jak najczęściej.

* * *

— Zdrowie naszego drogiego, czcigodnego gościa, najznakomitszego poety polskiego, Adama Mickiewicza.

Dokoła stołu siedziało kilkunastu młodych ludzi, całe towarzystwo „lubomudrów"[7] w komplecie, sam kwiat literatów i dziennikarzy moskiewskich.

Adam znał już prawie wszystkich. Bibliofil, młody poeta Sobolewskij, Szewyrew, będący zarazem guwernerem podrastającego syna księżny Wołkońskiej, dwóch młodziutkich braci Wieniewitinow, jeden z nich, Dymitr, również bardzo obiecujący poeta, ale jeszcze — stosownie do zwyczaju zamożnych rodzin moskiewskich — w towarzystwie guwernera, cały szereg innych, wszyscy cisnęli się doń po kolei z tą serdecznością, która mogłaby wydać się przesadna, gdyby nie była stałą cechą życzliwego obejścia ludzi tutejszych.

— Kochajmy się — słowa te wyrzeczone zostały po polsku.

Kniaź Piotr Wiaziemskij, jeden z najwybitniejszych pisarzy w tym gronie, przebywał jako oficer dość długo w Warszawie i tam się wyuczył dobrze polszczyzny.

Adam stuknął się z nim kieliszkiem, ale dość oziębłe. Miał — uzasadnioną zresztą — nieufność do wszystkich Rosjan, którzy byli zatrudnieni w Polsce.

Toast wzniesiony na cześć Mickiewicza był pierwszy. Teraz nastąpiło z kolei zdrowie Puszkina. Obaj poeci uścisnęli się wśród radosnych okrzyków całego zgromadzenia.

— Za powodzenie naszego przedsięwzięcia!

Zakładało się nowe pismo, „Moskiewski Wiestnik", i to była właśnie uczta inauguracyjna.

W miarę spełniana toastów, gwar stawał się coraz większy.

[7] Miłośników wiedzy.

Mickiewicz i Puszkin, siedząc obok siebie, prowadzili półgłośną rozmowę po francusku. Zbliżył się do nich Mikołaj Polewoj.

— Czy masz pan u siebie artykuł Dmochowskiego? — zwrócił się do Adama — chciałbym go przetłumaczyć do mojej pracy o polskim piśmiennictwie, którą zamierzam ogłosić w „Telegrafie".

— Owszem, mam. Przełożyć go panu na francuski?

— Nie, dziękuję. Czytałem go już i zrozumiałem wszystko.

Literaci w Moskwie na gwałt uczyli się po polsku, żeby móc czytać Mickiewicza w oryginale. Oba tomiki jego poezyj były w rękach wszystkich.

* * *

— Da zostawże już, Sasza!

— Niańczy je jak matka ...

Sergiusz Sobolewskij śmiejąc się patrzył na Puszkina, który pochylony nad łóżkiem, gdzie na atłasowej kołdrze wylegiwały się płowe, duńskie szczenięta, przemawiał do nich czule zdrobniałymi wyrazami.

W sąsiednim pokoju szaro było od dymu. Z silną, dławiącą wonią cygar mieszał się aromat kawy i pachniały likiery. Młody kompozytor, Glinka, wpół obrócony do zebranych, siedział przy fortepianie i jedną ręką brząkał na nim jakieś melodie. Po chwili odwrócił się doń całkowicie i zaczął improwizować.

Ucichła rozmowa w salonie. Puszkin wyszedł ze swego pokoju i słuchał również.

Już drugi miesiąc mieszkał u przyjaciela, Sobolewskiego, zapalonego bibliofila i bibliografa, a zarazem urzędnika ministerium spraw zagranicznych.

Grono młodych literatów zatrudnionych w biurze archiwalnym tego ministerstwa — dokąd bezskutecznie starał się przedtem dostać Mickiewicz — oddawało się tam swobodnie, pod osłoną urzędowych zajęć, studiom nad piśmiennictwem i filozofią idealistyczną. Oni to właśnie założyli owo Towarzystwo „lubomudrowych", z którym Adama zapoznał Puszkin.

Glinka wstał teraz od fortepianu, przeszedł się po salonie i przystanął przed Mickiewiczem.

— Podobno pan komponujesz nowy poemat — mówił, naturalnie po francusku — czy nie moglibyśmy czegoś zeń usłyszeć?

Adam z nieodstępną fajeczką — stanowczo wolał to od cygar — uśmiechnął się tylko.

— Nie potrafię tego przetłumaczyć — powiedział potem.

— Rozumiemy przecież prawie wszyscy po polsku — odezwał się żywo Sobolewskij — a jeśli kto nie zrozumie, to mu objaśnimy.

Mickiewicz namyślał się chwilę. Następnie, nie ruszając się z miejsca i nie odkładając na bok fajki, z której pociągał od czasu do czasu, utkwił wzrok w podłogę i ze spuszczonymi oczyma zaczął zwolna mówić:

Już w gruzach leżą Maurów posady ...

Tak się zaczynała owa „powieść litewska", nad którą pracował już od paru miesięcy.

... — Gdzie to chcesz drukować?

Przyjaciele Moskale byli zachwyceni balladą. I oni także czuli się zdolni do zdrady. Przynajmniej do takiej zdrady pozornej, jaką był podstęp rycerza Almanzora. Owszem, nawet ich natura po części mongolska usposabiała ich do tego lepiej niż polskiego poetę. Kto wie, czy nie obcowanie z nimi właśnie nasunęło Mickiewiczowi taki a nie inny sposób rozwiązania problemu, który go dręczył ...?

Dopytywano się teraz o plan poematu, o dalsze rozwinięcie myśli rzuconych w balladzie.

Adam odpowiadał, ale niezbyt chętnie. Sam jeszcze nie był pewien, jak się ta rzecz w końcu ułoży.

— Gdzie drukować? Chyba w Warszawie — nie dodał, że niektórzy krzywo patrzyli na to, iż wydał Sonety poza granicami kraju.

— A ja ci mówię, drukuj w Rosji — Sergiusz Sobolewskij od pierwszej chwili poznania stanął z nim na stopie przyjacielskiej; było w tym miłośniku drukowanego słowa tak mało wschodu, a tak wiele człowieka oświeconego w znaczeniu zachodnim, że Adam miał wrażenie, iż obcuje z rodakiem — sam mówisz, że w Warszawie cenzura sroższa niż u nas. A

jeśli się obawiasz cenzorów moskiewskich, to drukuj w Petersburgu, tam będzie najmniej srogo.

— Zobaczę jeszcze. Przede wszystkim trzeba skończyć.

* * *

— List do ciebie, Franusiu.

Adam kończył się golić przed lustrem, a na łóżku leżało już przygotowane frakowe ubranie i świeża chustka do zawiązania pod szyją. Malewski w szlafroku siedział przy kominku i czytał gazetę.

Służący wygalonowany czekał w przedpokoju na odpowiedź.

— Licho nadało . . . Nie wiem co teraz robić — Franciszek z wonnym bilecikiem w ręku zbliżył się do Adama.

Mickiewicz otarł ślady mydlin z wąskich „bakenbardów", niedbale zgarnął przybory do golenia na brzeg stolika i obejrzał się na niego.

— Zaproszenie od księżny Wołkońskiej na dzisiejszy wieczór. Ale nie ma już przecie czasu iść prezentować się.

— Tak cóż? Pójdziesz bez prezentacji. Ja cię wprowadzę.

Malewski z miną niezbyt pewną poszedł odpisywać na liścik.

W godzinę potem siedzieli już obydwaj na saniach, po uszy otuleni w futra.

— Ty już znasz księżnę Zeneidę — odezwał się Malewski, podczas gdy z brzękiem dzwonków jechali w cwał kopną drogą przez ulice miast — powiedzże mi, jaka ona jest?

— Obaczysz — była niezbyt wyczerpująca odpowiedź.

— A jak myślisz, czy to prawda, co mówią o niej i o carze Aleksandrze?

Opowiadano powszechnie o nader wielkich łaskach zmarłego cara dla księżny Wołkońskiej słynącej nie tyle co prawda z urody, co z dowcipu i niezwykłych talentów. Na dworze Mikołaja natomiast nie bywała wcale.

— Skąd ja mogę wiedzieć?

Nie zachęcony do dalszej gawędy Malewski umilkł. Dojeżdżali już zresztą na miejsce.

Rzęsiście oświetlona setkami świec woskowych główna sala pałacu była już pełna. Na ustawionych rzędami fotelach przed oddzielającą część jej zasłoną adamaszkową siedzieli widzowie,

wszystko, co miała Moskwa *de plus choisi*.[8] Błyszczały niezliczone klejnoty we włosach i gorsach dam, migotały brylanty orderów na ubraniach męskich, wszędzie dokoła rozbrzmiewała najdoskonalsza francuzczyzna. Można było sądzić, że się jest w Paryżu, gdyby nie ta rozlewna serdeczność, z jaką witano gości.

Sama księżna nie ukazywała się jednak. Dopiero gdy po długim bardzo oczekiwaniu, urozmaiconym nieustanną francuską konwersacją, umieszczona z tyłu na galerii orkiestra odegrała uwerturę z „Tankreda" — zasłona rozsunęła się nareszcie i na tle ładnych dekoracyj, wśród grona ubranych stylowo amatorów, ujrzano panią domu w męskim przebraniu, w roli tytułowej.

Śpiewała istotnie bardzo dobrze. Głos jej wybornie nadawał się do tej roli, a grała jak skończona aktorka.

... — Dobry wieczór panu! — odezwał się za Malewskim niespodzianie ktoś po polsku.

Obejrzał się. Stał przy nim kniaź Wiaziemskij uśmiechnięty, z wyciągniętą dłonią.

— Może zechcesz pan wybrać się do nas z panem Adamem jutro na obiad? Żona moja właśnie zamierza prosić panów.

— *J'espère que vous ne nous refuserez pas ce plaisir*[9] — ta naturalnie mówiła po francusku.

Oczywiście nazajutrz skorzystali z zaproszenia. Po wybornym obiedzie podano czarną kawę wonną i smaczną jak nektar.

— Takiej kawy nie piłem od wyjazdu z Polski! ... Gdzie księżna znajduje taki wyborny gatunek? ... Franusiu, zapisz adres — obrócił się do Malewskiego, który na równi z nim delektował się w tej chwili przysmakiem księżny Wiery — *voilà notre chef de cuisine*[10] dorzucił z uśmiechem.

Księżna jednakże strzegła widocznie tajemnicy swoich dostawców, bo dała jakąś odpowiedź wymijającą.

Mąż jej tymczasem zajęty był czym innym. — Chcesz pan zobaczyć moje próby przekładania pańskich sonetów?

Oczywiście, że Mickiewicz ciekaw ich był bardzo.

— Naturalnie tylko na prozę. Nie poważałbym się tłumaczyć takich rymów mistrzowskich.

[8] Najbardziej wyborowego.
[9] Mam nadzieję że pan nam nie odmówi tej przyjemności.
[10] Oto nasz kuchmistrz

Poszedł je przynieść. Pochylili się obaj nad rękopisem.

— Pierre,[11] przeczytaj to lepiej głośno.

Po pewnym wahaniu, Wiaziemskij zaczął czytać. To, co skromnie nazwał „próbą", było całkowitym przekładem wszystkich sonetów krymskich, wprawdzie istotnie tylko na prozę poetycką, ale dźwięczność mowy rosyjskiej wynagradzała w pewnej mierze brak wierszowanej formy.

— Przyrzekł mi Polewoj pomieścić to w najbliższym numerze „Telegrafu" ... o ile naturalnie znajdą pańską aprobatę.

Mickiewicz serdecznie uścisnął mu dłonie. — Ależ ma się rozumieć. Chciałby tylko sprostować parę wyrażeń.

Wyglądał bardzo zadowolony. Jakiekolwiek mogły być braki przekładu, sam fakt że miał on rozpowszechnić znajomość tych utworów wśród Rosjan, był wielce korzystny.

— Monsieur Dimitriew także uczynił mi ten zaszczyt, że przetłomaczył wierszem „Żeglugę".

— Znasz go pan osobiście?

— A jakże! Byliśmy u niego obaj z moim przyjacielem. Poczytałem sobie za obowiązek przedstawić się temu czcigodnego starcowi.

Oboje księstwo zamienili spojrzenia.

— Zdaje się — zauważył Wiaziemskij po odejściu gości — że Mickiewicz nic nie wie o tych odach, które „ce vieillard vénérable"[12] napisał na wzięcie Warszawy i rzeź Pragi.

Stary Dimitriew, niegdyś minister sprawiedliwości, a zarazem poeta obecnie już w cień zachodzący, pisał ongiś, będąc u szczytu sławy, płomienne ody na cześć zwycięstw Suworowa.

— Lepiej w takim razie mu nie mówić — radziła księżna Wiera.

Adam zaś wracał do domu w doskonałym humorze.

— Mówił mi Puszkin takoż, ze chce wytłomaczyć początek „Wallenroda" — zwierzał się po drodze Malewskiemu.

Urwała się rozmowa, bo wionął wiatr i zaczął sypać płatami śnieg. Nim doszli do domu, brnęli już w nim wyżej kostek i mieli w butach pełno lodowatej wody.

[11] Piotrze.
[12] Czcigodny starzec.

Nazajutrz rano obudziwszy się, zobaczyli obmarznięte do cna szyby. O ileż klimat był tutaj ostrzejszy niż w Wilnie! ...

— Człowiek od jego sijatielstwa — Kola wniósł do sypialni jakiś wór ogromny sięgający mu od ziemi aż wyżej pasa, i z chrzęstem opuścił go na podłogę. Do posyłki dołączony był list.

— Franciszku, chodź no tutaj!

Zjawił się Malewski w szlafroku narzuconym na bieliznę.

— Zobacz co pisze księżna:

„Voici le café en question. Veuillez bien le goûter, et s'il vous convient, je me ferai un vrai plaisir de vous en envoyer encore.

„Comme je ne suis point assez désintéressé pour ne pas exiger de reconnaissance, je vous demande de temps en temps, au moment de votre déjeuner, un léger souvenir pour celle dont les voeux stériles auraient été bien moins modestes que celui de contribuer à l'amélioration de votre café. S'ils pouvaient être exaucés, vous appendriez que, dépourvue d'égoisme, ils seraient pour votre heureux retour dans vos foyers."[13]

— I co teraz robić? Przecie przyjąć tego niepodobna!

„Człowiek" jaśnie oświeconego czekał w przedpokoju gawędząc z Kolą, podczas kiedy oni naradzali się półgłosem.

— Wiesz co? Napiszę że mamy nadzieję nie siedzieć tak długo na wygnaniu, żeby zużyć aż tyle pudów[14] kawy — Adam wydobył się z pościeli, i również ogarnięty szlafrokiem, zasiadł do pisania listu.

---

[13] Oto kawa, o której była mowa. Niech panowie zechcą jej skosztować, a jeśli Wam dogodzi, będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność móc przysłać jej więcej. Ponieważ nie jestem tak bezinteresowna żeby nie żądać wdzięczności, proszę od czasu do czasu, przy śniadaniu, o małe wspomnienie o tej, której daremne życzenia byłyby o wiele mniej skromne niż poprawienie smaku waszej kawy. Gdyby mogły się spełnić, dowiedzielibyście się że, pozbawiona egoizmu, pragnę dla was szczęśliwego powrotu do waszych ognisk domowych.

[14] Pud, waga ros., mn. w. tyle co 16 kg.

Mieczysław Smolarski.

POETKA LUDU I PAN NA NIEBOROWIE

Nieznane listy
Marii Konopnickiej

(Z archiwum nieborowskiego).

Los, który zbliżył autorkę „W piwnicznej izbie", do właściciela Nieborowa i Arkadii nie był dla obojga niepomyślny.

On wielbiciel Sienkiewicza mimo to, co ów o Radziwiłłach w „Potopie" napisał, pamiętał niewątpliwie jego pierwszą, entuzjastyczną wzmiankę o Konopnickiej, która wprowadziła ją do literatury. Nie mógl też sam nie podziwiać jej przedziwnie melodyjnych wierszy ani uroku jej wykwintnej, niemal klasycznej „Italii". Ona widziała go może kiedyś, wiedziała, że jest pięknym mężczyzną, bardzo bogatym i wszechstronnie wykształconym, więc jako kobieta musiała nieraz o nim myśleć jako o księciu z bajki Grimma lub Andersena, tym bardziej, że życie jego było całkiem inne od jej skromnej doli.

Na razie, jak jej syn później, spoglądała nań zapewne z nieufnością, ale słyszała niewątpliwie, że ile razy w Warszawie szło o opiekę nad starcami i młodzieżą, o żłobki, schroniska i ochronki zawsze zwracano się do niego. Miał poza tym zamiłowania artystyczne, sam w poezji, dramacie i malarstwie sił próbował. Korespondencja, która snuła się jak nić przez lat dwadzieścia, ogranicza się dziś zaledwie do dziesięciu dochowanych listów i to wyłącznie Konopnickiej. Brak w niej jej listów wielu, a wszystkich odpowiedzi Michała Radziwiłła. Zaczyna się od razu społecznie i artystycznie. Spowodowały ją redagowany przez poetkę „Świt" i słynna fabryka majoliki, założona przez pana na Nieborowie.

„Mości Książę — tak brzmi list z 1884 r., wysłany z Warszawy z domu Nr 32 przy ulicy Hożej. — Pozwalam sobie przesłać Wam, Książę, numer naszego Świtu, w którym zainteresuje Was może to, co tam o Nieborowskiej fabryce pisano. Radabym bardzo mieć jakieś szczegóły co do fabryki samej, zwłaszcza pracujących w niej kobiet i ośmielam się zwrócić po te szczegóły wprost do Was, Książę. Bądźcież mi wyrozumiali a łaskawi."

Zwraca naszą uwagę wysunięcie zagadnienia kobiecego, oraz miły, swobodny sposób zwrócenia się do adresata. Ma już zatem do niego zaufanie. Da w przyszłości dalsze tego dowody.

Fabryka majoliki była bardzo zajmującym dlań tematem. Sam wynalazł w swym majątku znakomitą glinkę, którą do oceny posłał aż do Francji, ściągnął ludność miejscową dobrym wynagrodzeniem do pracy, sprowadzał do celów zdobniczych artystów, prokurował wazy, wazony, kafle, świeczniki, talerze z portretami królów polskich, orłem polskim i Pogonią, zegary biurkowe, kałamarze, filiżanki. Nie wątpimy, iż poetce dał odpowiedź. Kto wie, czy nie poszedł sam do „Świtu".

W dwa lata potem otrzymał od Konopnickiej nową prośbę w sprawie jeszcze ciekawszej. Oto list z 30 października 1886 r., wysłany również jeszcze z Warszawy, lecz już z ulicy Smolnej 19:

„Mości Książę! Młoda, pięknie wychowana, z zamożnej niegdyś rodziny pochodząca panna, izraelitka przyjmuje w tych dniach pod opieką ks. Krupińskiego chrystianizm."

O cóż chodzi? O to aby dać jej pracę, pozwolić zarabiać „niezależnie od rodziny, a jeśli można, to zdala od niej". Panna malowała na porcelanie, co w owym czasie należało niemal do zwyczajnego wykształcenia kobiecego. „Czy nie raczyłbyś tedy, Książę dać jej zajęcie w swoich nieborowskich zakładach?" „Wyjątkowe jej położenie pomoc tę względem niej obowiązkiem prawie szlachetnym czyni. Ufając, że mi odmówić nie raczycie, mam zaszczyt Mości Książę polecić naszą chrześcijankę Waszej opiece."

I znów brak odpowiedzi, a całe to zdarzenie dawno wyszło ludziom z pamięci. Pan nieborowski zapewne zaopiekował się neofitką, bo zaufanie poetki trwa dalej. Wydalona wkrótce potem z Kongresówki wybrała się na wędrówkę zagranicę. Drukowała jednak dalej wiele w kraju, poezje, sprawozdania z podróży, nowele. Mamy kilka jej listów, nadesłanych z Genui, Grazu, Gorycji, Nicei, Rzymu.

Nie ma w nich żadnych wrażeń podróżniczych. O Konopnickiej tymczasem coraz głośniej. Czczą ją nie tylko wielbiciele poezji, ale „postępowe" Koła kobiet, nowozrodzony, a rozwijający się zwłaszcza w Małopolsce ruch ludowy uważa ją za swą czołową poetkę. Nadejdzie pora jej jubileuszu, gdy naród cały hołd jej złoży, obsypie ją darami i kwiatami. Witać

ją będą, jak królową, wieźć w karecie, młodzież na jej cześć śpiewać będzie pieśni. Jej „Stach na wojnie" stanie się najpopularniejszym utworem popisowym na estradach. Spokojny byt będzie miała zapewniony dopiero po r. 1902, ale ma już sławę, rozgłos, unosi się w górę.

A on Radziwiłł jest dalej tylko potomkiem swoich przodków. To nic, że prowadzi życie nieznużone i czynne a wszechstronne, że pomaga drugim, ale, ileż musiałby zdziałać, by wybić się nad Michała Radziwiłła, wodza powstania listopadowego, nad Radziwiłłów: Rudego, „Sierotkę", „Rybeńkę", „Panie Kochanku", nad „Pioruna", rycerskiego Dominika, nawet nad Janusza, który zdradził Jana Kazimierza, bo sam chciał zostać królem Litwy, lub Bogusława, który o koronę Polski kandydował. Wszyscy oni chlubnie często, niekiedy haniebnie tworzyli historię. Michał Radziwiłł nieborowski, zasłonięty ich cieniem, nie wyłoni się z mroku, ponad którym zabłysła gwiazda Konopnickiej. O jego współpracownikach w pracy społecznej Górskim, Libickim pisać będą encyklopedie, on żyć będzie w przyszłości tylko dzięki wspomnieniu swej majoliki, której wyrób zabije wkrótce współzawodnictwo fabryk zagranicznych i wysokie cła zagraniczne.

Pisze i drukuje powieść poetycką Hewę, utwór bardzo romantyczny przeniknięty wpływem Słowackiego. Zawarł go w strofy naprawdę dźwięczne obfitujące w piękne, malownicze porównania. Przedsięwziął nielada trud, gdyż wychowywano go przede wszystkim po francusku.

Posyła ją Konopnickiej, która w kwietniu 1892 r. z Rzymu odpisuje mu, jak starsza współczująca siostra: „Czytałam wczoraj „Hewę" i winszuję jej Panu! Jej rzewność, jej wdzięk, jej świeżość, a nade wszystko jej piękna prostota przypomniały mi żywo te czasy, kiedy poezja nasza ani się łez swych nie wstydziła, ani je udawała; te czasy, kiedy poeta nie szukał paradoksów na lutni, ale czystego dźwięku serca; te czasy, kiedy śpiewać i wzruszać słuchaczy było jedno . . . Raz jeszcze winszuję jej Panu, Mości Książę!!"

Zbyt czułe ucho miał pan na Nieborowie, by wśród tych pochwał krytyki nie posłyszeć. „Hewa" z romantyczną swą treścią należała już pomimo swej pięknej formy do przeszłości literackiej, nie do czasów, gdy przyjść mieli i zasłynąć Kazimierz Tetmajer, Wyspiański, Kasprowicz. W dwa lata potem

dopiero posłał do poetki nowe swe dzieło literackie. I tym razem posłyszał miłe słowa:

„Już wtedy — list z Gorycji z dn. 15 stycznia 1895 r., kiedym te starowiny z jednej „izby w „Bibliotece" poznała, zajęły mnie one niezmiernie jako dzieło prawdziwego talentu. Po kilka razy wracałyśmy z Marią Dulębianką[1] do tej lektury pełnej cennego szczerego humoru, co to i śmiać się każe i łzy do oczu ciśnie."

Przy tej sposobności nadesłała Konopnicka swe uwagi o badaniach duszy ludu. Ale nie tylko patrzeć, musiał Książę i nasłuchać się dość tych babinek, kiedy tak wybornie trafić umiał w ton i tok ich mowy ludowej, a zwłaszcza trochę skrojonej" ... „Zawsze mi się zdawało, że dusza, psyche ludu, za mało jest u nas znana i ceniona. Lud stanowi wprawdzie sferę zajęcia się naszego i badań, ale tylko ogólnie wzięty, jako taki i pod względem etnograficznym raczej. Wiedzieliśmy, jakie są zwyczaje i obyczaje, jakie cechy fantazji ludowej, jaki owoc tej fantazji w pieśniach i podaniach, ale żeby kto badał wnętrza dusz i ot „izb" takich charaktery indywidualne, i tę lub inną dolę poza miłostką „panicza i dziewczyny", — tego do niedawna nie było u nas wcale". „Niechaj Książę mi wierzy, iż dawno nic w świecie wrażeń literackich nie przyniosło mi tak jasnej chwili, jak ta piękna praca Księcia."

Wysłanie tego listu wprawiło wkrótce w niemały kłopot i przykrość Konopnicką. Spowodował to — jej syn i Arkadia. Jest przy niej do tej pory młyn z malowniczo spadającą, pieniącą się białą wodą stworzony na to, by uwieczniali go artyści. Tuż obok park, olbrzymie drzewa, stare świerki, lipy i topole, świątynia pamiątek. Syn poetki szkół wyższych nie skończył, ale był dobrym fachowcem. Posłał do niej wołanie do Genui: „Matko! Korespondujesz z Radziwiłłem. Poproś go. Nie jestem zadowolony ze swych zwierzchników. Chcę zostać młynarzem w Arkadii".

Musiało to poetce być przykre. Przed pięciu tygodniami dopiero wysłała pełen pochwał list do pana na Nieborowie. Czyż nie pomyśli sobie, że zagrała z nim grę fałszywą, że chce go sobie pozyskać? A choć kopciuszek został królową, książę z bajki jeszcze nim być nie przestał, skoro może uszczęśliwić jej syna. Lecz któraż matka mogłaby nie ulec?

[1] Znakomita malarka, przyjaciółka Konopnickiej.

„Mam prośbę do Księcia. Pragnęłabym, iżbyś Książę wpierw, nim jej wysłuchać zechce, zapomniał zupełnie o treści mego ostatniego listu. Krzywda by mi się bowiem działa, gdyby obecna prośba moja miała na list ów rzucać jakieś fałszywe światło i przeciw temu protestuję jak najmocniej." „Rzecz ma się tak. Syn mój, Jan, zarządzający od lat paru częścią techniczną i ekspedycyjną parowego młyna w Łowiczu, pragnie ubiegać się o otrzymanie posady majstra w nowozbudowanym młynie nieborowskim. Kiedy mnie przed paru tygodniami prosił o poparcie w tej sprawie, odpowiedziałam mu wręcz, że mi to nad wyraz trudne i przykre. Dziś otrzymuję list ponowny. „Mamo — pisze mi chłopak, — czy podobna, żeby mnie Mama opuściła". „Cóż mam robić? — osądź, Mości Książę! ..." „Syn mój nie jest dyletantem ...." „Nie wiem, jaki skutek ten mój list odniesie. O jedno proszę: chciej mi Książę zawsze zachować swą życzliwą pamięć". W parę tygodni potem już dziękowała „i za tę ufność i za tę dobroć". Wdzięczność kazała dodać jeszcze coś miłego: „Chłopiec mój jest oczarowany Księciem. Pisze mi, że Książę robisz wrażenie człowieka wysoce humanitarnych zasad, o czym i wpierw wiedziałam zresztą i co mnie ośmielało właśnie".

Stosunki raczej jeszcze zbliżyły się i ociepliły, choć miało je coś potem przerwać niespodzianie. W liście bez daty, lecz po objęciu przez Fałata dyrekcji Akademii Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, co nastąpiło w roku 1895, wstawiała się poetka za swą przyjaciółką Marią Dulębianką, by powołano ją na kierowniczkę klasy dla kobiet w tej Akademii. Musiała wiedzieć, że Michał Radziwiłł zna Fałata ze sławnych polowań w Nieświeżu. W roku 1896 napisała „Pana Balcera w Brazylii", polecała go „opiece i obronie Księcia przed cenzurą" i istotnie ów sam poszedł w tej sprawie do cenzora Jankulio.

Minęło tak znów sześć lat, aż wydarzyło się coś dla obu osób korespondujących przykrego, a przyczyną tego prawdopodobnie stał się „Janek", młynarz przy „Arkadii. Zachwycony z początku swym zwierzchnikiem nie został widać przyjęty na stałe, przez jego arystokratyczny dom, skoro porozumiewać się musiał przez listy. Do budynku, który przy młynie zajmował, przyjeżdżali nieraz na dłuższy pobyt artyści, głównie malarze. Posiadamy jego pisemne zapytanie z 14 lipca 1902 roku, jaka była przyszłość i historia Arkadii?

On to niezawodnie wprowadził matkę w błąd wiadomością, że Radziwiłł chce posiadłość swą wystawić na sprzedaż. Zbli-

żała się pora jubileuszu, naród, który kupił Sienkiewiczowi Oblęgorek, chciał także obdarzyć twórczynię „Pana Balcera". Przygotowano dla niej siedzibę w Żarnowcu.

Wysłała wtedy do starego przyjaciela depeszę, czy nie zechce sprzedać jej Arkadii? Wywołała tym wrażenie piorunujące. Radziwiłł odkupił przecież sam ów historyczny ogród, założony przez swą prababkę, ostatnią wojewodzinę wileńską, i doprowadził go ponownie z ruiny, do jakiego takiego porządku. Teraz chciano mu drogą pamiątkę odebrać.

Zdarzenie to spowodowało ostatni list Konopnickiej ze Lwowa z listopada 1902 roku, kreślony jakimś innym, znacznie większym pismem, niż zwyczajnie. Widocznie sama pisała go pod przykrym wrażeniem, którego przemóc nie mogła: „Jakkolwiek bardzo leżało mi na sercu wyjaśnienie mojej, jak się okazało, niewczesnej depeszy, dziś dopiero znajduję wolną chwilę, aby to uczynić. Otóż od paru lat już dobiegała mnie pogłoska, jakoby Książę miał zamiar sprzedać Arkadię. Teraz więc, będąc do tego zniewolona nagłością zapytań Komitetu, pozwoliłam sobie tak obcesowo sprawę tę poruszyć.

Niezawodnie nad wszelką inną byłaby mi się uśmiechała myśl zamieszkania tej pięknej siedziby, która oprócz wszystkich swoich uroków nęciła mnie jeszcze i tą nadzieją, że w ten sposób będę mogła przyjść z pomocą memu synowi i salwować troszkę jego wkłady.

Rozumiem wszakże doskonale jak bardzo drogą może być taka pamiątka rodzinna i dlatego raz jeszcze proszę Księcia o przebaczenie, jeśli Mu zapytaniem moim sprawiłam jaką przykrość. Z prawdziwym poważaniem Maria Konopnicka."

Zdaje się, że idylliczna Arkadia rozdzieliła przyjaciół, więcej listów — nie znaleźliśmy w archiwum.

Wacław Szubert

OD WALKI Z BEZROBOCIEM DO POLITYKI PEŁNEGO ZATRUDNIENIA

I.

Zagadnienia rynku pracy, zatrudnienia i bezrobocia przeszły w ciągu bieżącego stulecia głęboką ewolucję, która łączy się ściśle z ogólnymi przemianami form ustrojowych gospodarstwa społecznego i poglądów na jego rolę i zadania. W miarę utrwalania się przekonań o konieczności podporządkowania gospodarki ogólnym celom społecznym[1] i wysunięcia na plan pierwszy człowieka, jego możliwości rozwojowych i zaspokojenia jego potrzeb, problemy związane z gospodarczym wyzyskaniem pracy ludzkiej nabierają coraz większej wagi i uzyskują w rozważaniach gospodarczo-ustrojowych miejsce naczelne. Równocześnie jednak utrwala się przeświadczenie o potrzebie rozwiązywania tych problemów na tle ogólnych planów dotyczących całości gospodarki. Z tego punktu widzenia bardzo charakterystyczna jest linia rozwojowa polityki rynku pracy, która wyrażała się pierwotnie w środkach jakby fragmentarycznych, oderwanych od ogólnego nurtu polityki gospodarczej, przechodząc z biegiem czasu na teren poczynań coraz bardziej całościowych, włączanych w szerszy plan działań i mających tendencję do objęcia coraz większej płaszczyzny stosunków. Ostatni etap tej ewolucji stanowią świeże plany i koncepcje powojenne, w których myśl o potrzebie rozwiązywania zagadnień zatrudnienia w ramach ogólnej przebudowy społeczno-gospodarczej, i to obejmującej całokształt stosunków międzynarodowych, znalazła szczególny wyraz.

II.

Pierwsze trudności, leżące na linii zatrudnienia sił ludzkich, ujawniły się w krajach zaawansowanych gospodarczo już w wieku XIX w postaci t. zw. bezrobocia cyklicznego, związa-

[1] Por. w związku z tym oświadczenie prez. Roosevelta: Economic policy is not an end in itself but a means to achieve social ends. Cyt. w The Problem of Unempleyment. A Paper by Lever Brothers and Unilever Ltd. London, 1943. str. 6.

nego z periodycznym nawracaniem kryzysów nadprodukcji. Pojawianie się co pewien czas fali bezrobocia i to niekiedy w formie dość ostrej i długotrwałej, wpłynęło na poszukiwanie środków zaradczych, które mogłyby zmniejszyć rozmiary tej klęski społecznej względnie złagodzić jej skutki. Częściowe próby w tym kierunku podejmowane były stosunkowo wcześnie; wyraźniejsze wyodrębnianie się poszczególnych form walki z bezrobociem przypada jednak dopiero na koniec XIX i początek XX stulecia. Podstawowe formy tej walki stanowiły wówczas z jednej strony t. zw. roboty publiczne, organizowane w celu doraźnego zatrudniania bezrobotnych, z drugiej strony — różne akcje pomocy dla bezrobotnych, które z czasem wykształciły się w system ubezpieczeń na wypadek braku pracy. Poza tym pewną rolę odgrywało pośrednictwo pracy, tworzone w tym czasie przez samorządy miejskie, którego zadaniem była jednak nie tyle walka z cyklicznym bezrobociem, co ogólne organizowanie rynku pracy i ułatwianie kontaktów między pracodawcami i pracownikami, wpływające korzystnie na stan zatrudnienia na przestrzeni pełnego cyklu koniunkturalnego.

Wkrótce po zakończeniu pierwszej wojny światowej, której wpływ na rynek pracy był równoznaczny z długotrwałym okresem wysokiej koniunktury, zaznaczyło się we wszystkich niemal krajach ostre pogorszenie sytuacji w dziedzinie zatrudnienia. Pod wpływem całego szeregu perturbacji gospodarczych, wywołanych przez wojnę, bezrobocie, związane uprzednio w zasadzie tylko z kryzysami koniunkturalnymi, i spadające do bardzo nieznacznych rozmiarów w okresach ożywienia, stało się obecnie zjawiskiem stałym, przybierając równocześnie niespotykane dotąd nasilenie.[2] Walka z tak groźną klęską społeczną stała się w tych warunkach jednym z centralnych zagadnień, wokół których skupiały się wysiłki ekonomistów i mężów stanu, przynoszące jednak na ogół skromne, fragmentaryczne rezultaty.

Charakterystyczne jest, że walka z bezrobociem posługiwała się w tym okresie naogół tymi samymi środkami, jakie

[2] Odsetek bezrobotnych w Anglii w latach międzywojennych (obliczany jako przeciętna roczna) wynosił stale — z wyjątkiem r. 1927 — ponad 10 % stanu zatrudnienia, a w latach kryzysowych 1931—32 przekroczył nawet 20%. Liczba zarejestrowanych bezrobotnych wynosiła w roku 1932 w Anglii 2,7 miliona, w Niemczech 5,7 miliona, w Stanach Zjednoczonych — w r. 1935 — 9 milionów.

wykształciły się uprzednio w innych warunkach, starając się tylko rozbudować je na szerszą skalę i tym samym lepiej przystosować do potrzeb. Roboty publiczne stosowane były z większą intensywnością i w ramach szerzej pomyślanych planów, opierających się jednak w zasadzie na koncepcjach z lat przedwojennych. Akcja pomocy dla bezrobotnych przelewała się poza ramy zbyt precyzyjnie skonstruowanych systemów ubezpieczeń na wypadek braku pracy, przybierając formy różnego rodzaju pomocy doraźnej, specjalnej, zimowej etc., z reguły niedostatecznej w stosunku do potrzeb. Wreszcie pośrednictwo pracy, przytłoczone ogromną liczbą zarejestrowanych bezrobotnych, straciło możność racjonalnego spełniania swych zadań, schodząc do roli aparatu techniczno-administracyjnego, wykonywującego funkcje pomocnicze. Nowe metody walki z bezrobociem w postaci np. finansowania zatrudnienia w prywatnym sektorze gospodarczym lub też skracania czasu pracy, zalecanego przez Międzynarodowe Biuro Pracy jako sposób zmiejszania bezrobocia nie mogły również oddziałać wydatniej na poprawę sytuacji na rynku pracy.

W tych warunkach cały niemal okres międzywojenny przedstawiał sobą obraz dość beznadziejnego borykania się większości krajów z problemem bezrobocia przy pomocy środków, które nie mogły przynieść pożądanych rezultatów. Na tle tych doświadczeń budziło się coraz mocniej zrozumienie konieczności innego podejścia do sprawy: sięgnięcia głębiej do samych podstaw odczuwanej bolączki, a nie tylko zwalczania jej przejawów. Towarzyszyło temu przekonanie o potrzebie dokonania zmian ustrojowych, idących po linii ujęcia procesów gospodarczych w ramy pewnej planowości w celu zapobieżenia panującemu dotąd chaosowi i marnotrawstwu sił produkcyjnych.

Wojna ostatnia, a częściowo już doświadczenia ją poprzedzające, wzmogły bardzo silnie te tendencje, umacniając wiarę w gospodarkę planową jako jedyne lekarstwo na braki dotychczasowego ustroju społeczno-gospodarczego. Totalny charakter wojny wpłynął na ogromne zapotrzebowanie rąk ludzkich, które nie tylko doprowadziło w krótkim czasie do wchłonięcia bezrobocia, lecz nadto zmusiło poszczególne kraje do mobilizowania t. zw. cichych rezerw pracy t. j. sił ludzkich, pozostających w normalnych warunkach poza zatrudnieniem (kobiety, młodociani, emeryci etc.). Cele gospodarki wojennej w zakresie spraw rynku pracy były zupełnie odmienne niż

w latach poprzednich: chodziło teraz nie o zwiększanie stanu zatrudnienia i podnoszenie siły nabywczej mas pracowniczych, lecz przeciwnie o ścisłe selekcjonowanie popytu na pracę z punktu widzenia przydatności dla celów prowadzenia wojny oraz o kontrolowanie płac dla uniknięcia nadmiernego wzrostu siły nabywczej, grożącego inflacją i zdezorganizowaniem procesów gospodarczych. Intensywność związanych z tym zadań praktycznych oraz stopień planowości działań gospodarczych był przy tym w ostatniej wojnie bez porównania wyższy niż w pierwszej wojnie światowej. Wojna ostatnia stała się przykładem konsekwentnie przeprowadzanej gospodarki planowej, realizującej postulat pełnego zatrudnienia przy równoczesnym złagodzeniu różnic i przedziałów klasowych oraz zniesieniu „towarowego" stosunku do pracy, naskutek regulowania wszystkich dochodów — w tym także płac — pośrednio lub bezpośrednio przez państwo. Siła sugestywna tego przykładu była niewątpliwa, pomimo że osiągnięciom powyższym towarzyszyły bardzo specjalne warunki, zupełnie odmienne od tych, w jakich rozwija się normalna gospodarka pokojowa.

Z końcem wojny stanęło przed poszczególnymi krajami zadanie przeprowadzenia stopniowej demobilizacji oraz przestawienia gospodarki z celów wojennych na pokojowe w taki sposób, aby w miarę możności wyłączyć pojawienie się bezrobocia.[3] Poza tym zadaniem doraźnym, którego wypełnienie jest w znacznym stopniu problemem techniki i organizacji, ukrywa się jednak inne bez porównania poważniejsze. Sprowadza się ono do trwałego oparcia gospodarki powojennej na takich zasadach, któreby zapobiegły bezrobociu, jako stałemu i masowemu zjawisku. Dokoła tego zadania obracają się plany i programy gospodarcze, opracowywane zwłaszcza w krajach anglosaskich, które szczególnie dotkliwie odczuły klęskę bezrobocia w latach międzywojennych. Panuje w nich przekonanie, że powrót do dawnych metod gospodarowania byłby obecnie niemożliwy i że przyszłość celowej polityki w zakresie rynku pracy leży nie na linii negatywnej w swym zasadniczym podejściu walki z bezrobociem, lecz pozytywnie ujętej polityki zatrudnienia, dążącej do pełnego i najbardziej racjonalnego spożytkowania sił ludzkich w ramach planowo kształtowanej gospodarki.

[3] Wiadomości publikowane w prasie codziennej zdają się świadczyć o tym, że w Stanach Zjednoczonych niezupełnie udało się to osiągnąć.

Koncepcje anglosaskie są interesujące także i z tego względu, że nie ograniczają się do wypracowania zasad polityki własnych krajów, lecz starają się wiązać je z ogólnym planem współdziałania międzynarodowego, w którym postulat podnoszenia stanu gospodarczego krajów zaniedbanych odgrywa szczególną rolę.[4] Problem pełnego zatrudnienia staje się w tym ujęciu częścią szerszego zagadnienia walki z niedostatkiem, warunkując w pewnym sensie jej skuteczność w skali światowej.

III.

Myśl o potrzebie pozytywnej polityki zatrudnienia, sharmonizowanej z całością działań gospodarczych torowała sobie powoli drogę już w tych czasach, gdy przeważało jeszcze w praktyce nastawienie na t. zw. walkę z bezrobociem. Formą tej walki, która wyodrębniała się wyraźnie od innych swym bardziej pozytywnym charakterem były roboty publiczne, określane często jako środek t. zw. produkcyjnej walki z bezrobociem, dążącej do zmniejszenia jego rozmiarów, a nie tylko łagodzenia jego skutków. Pierwotna koncepcja robót publicznych polegała na doraźnym organizowaniu różnego rodzaju prostych robót, finansowanych przez państwo lub samorząd, specjalnie w celu zatrudnienia przy nich bezrobotnych. W ten sposób chciano stworzyć dla nich szanse pracy i zarobkowania zamiast demoralizującej wypłaty zasiłków.

Pierwsze doświadczenia w tym kierunku, jakie zostały zrobione w r. 1848 we Francji (t. zw. ateliers nationaux) wychodziły z bardzo prymitywnych założeń, kompromitując na długie lata ideę robót publicznych jako środka walki z bezrobociem. Roboty zorganizowane wówczas polegały na bezcelowym kopaniu i zasypywaniu dołów w ziemi, a płacone wzamian za to wynagrodzenie miało wszelkie cechy zasiłku, tym bardziej demoralizującego, że związano go z fikcją pracy, pozbawioną wszelkiej racji gospodarczej. Ale i późniejsze próby uruchomiania robót publicznych, podejmowane w końcu XIX i na początku XX stulecia w Anglii nie dawały zadowalających rezultatów. Istotę trudności stanowił niewątpliwie fakt,

[4] Por. Program brytyjskiej Labour Party: „Przyszły ekonomiczny i społeczny dobrobyt obywateli brytyjskich jest uzależniony od pomyślnego rozwoju wszystkich narodów, musimy zatem dążyć do popierania wyższego poziomu stopy życiowej w skali międzynarodowej." (Nowy program Brytyjskiej Partii Pracy. Warszawa 1943.)

że w samej koncepcji robót publicznych jako metody doraźnego zatrudniania bezrobotnych tkwiła pewna sprzeczność wewnętrzna: miały być one formą pomocy społecznej i równocześnie metodą stwarzania zatrudnienia, co wymagałoby uwzględnienia szeregu przesłanek natury gospodarczej, niezawsze dających się pogodzić z założeniami społecznymi akcji. Wzgląd na ograniczoność środków finansowych (organizowanie robót jest kosztowniejsze niż wypłata zasiłków) powodował zacieśnianie typów podejmowanych prac oraz skromny wymiar wypłacanego wynagrodzenia, które na skutek tego upodobniało się na ogół do zasiłku. Towarzyszyła temu niska wydajność pracy na robotach, przybierających na ogół charakter odróbki za zasiłek, niepozbawionej w pewnych wypadkach piętna bezpośredniego przymusu. Na tym tle ustaliło się w Anglii przed pierwszą wojną światową przekonanie, że roboty publiczne nie są właściwym środkiem walki z bezrobociem, kompromitują bowiem pojęcie pracy, nie uwzględniając równocześnie w dostatecznej mierze zasad akcji pomocy.[5] Pomimo tych krytycznych ocen akcja robót publicznych, pojmowana jako środek doraźnego zatrudniania bezrobotnych, była prowadzona w pewnym zakresie przez różne kraje w latach międzywojennych, przynosząc na ogół skromne, fragmentaryczne rezultaty.

Równocześnie dojrzewała jednak inna koncepcja robót publicznych, mająca na celu już nie doraźne efekty w dziedzinie zatrudnienia, lecz wywieranie zasadniczego wpływu na przebieg wahań koniunkturalnych i zapobieganie w ten sposób przynajmniej częściowo cyklicznemu bezrobociu. Koncepcja ta sprowadzała się do planowego rozkładania w czasie wszelkich robót i inwestycyj, których wykonanie należy do państwa, samorządu i instytucji publicznych.[6] Chodziło

[5] „Relief work has proved not a happy but a disastrous combination. It generally implies something that degrades the name of work and disregards thes principles of relief" (Beveridge: Unempleyment. A problem of industry. London 1931, str. 190).

[6] W języku polskim istnieje trudność rozróżnienia terminologicznego dwóch rodzajów robót publicznych, z których jeden ma na celu doraźne zatrudnianie bezrobotnych, a drugi — planowe kształtowanie wszelkich inwestycji i zamówień publicznych pod kątem ich wpływu na kompensowanie wahań cyklicznych. W językach obcych nie ma na ogół tej trudności. I tak np. w języku francuskim pierwszy rodzaj robót nosi nazwę „travaux de secours" w odróżnieniu od ogólnego terminu „travaux publics" oznaczającego drugi szerszy rodzaj robót. W języku angielskim odpowiednio: relief works i public works.

mianowicie o koncentrowanie tych robót i inwestycyj w miarę możności w okresach kryzysów gospodarczych, co nie tylko pozwoliłoby na wykonanie ich tańszym kosztem (ceny i płace są wówczas niższe), lecz przede wszystkim wpłynęłoby na złagodzenie przebiegu samych kryzysów i szybsze ich przezwyciężenie. Równocześnie unikanie inwestycyj publicznych w okresach ożywienia gospodarczego miałoby się przyczynić do miarkowania przebiegu tej fazy koniunkturalnej i zmniejszenia groźby późniejszych załamań. Na tej drodze spodziewano się osiągnąć znaczną redukcję wahań koniunkturalnych stanu zatrudnienia, a tym samym zmniejszyć poważnie rozmiary cyklicznego bezrobocia. Propagatorem tych koncepcyj był już w roku 1909 Bewley, a w latach międzywojennych doczekały się one dwukrotnego oficjalnego potwierdzenia przez Międzynarodową Organizację Pracy, która wydała w roku 1919 i 1926 odpowiednie zalecenia dla swych członków.

Szereg wybitnych ekonomistów, między innymi Keynes, zwróciło uwagę na szczególne korzyści związane z tak szeroko pojętą akcją robót publicznych, prowadzoną przez państwo. Rzeczywiste koszty takich robót są znacznie mniejsze od wysokości sum faktycznie wydatkowanych na ten cel, ze względu na to, że wzrost stanu zatrudnienia wywołany przez roboty powoduje zwiększenie się wpływów z podatku dochodowego i ze składek ubezpieczeniowych oraz zmniejszenie się sumy zasiłków wypłacanych bezrobotnym. Z drugiej strony wpływ szerzej zakrojonej akcji robót publicznych na stan zatrudnienia jest na ogół znacznie większy, niż możnaby sądzić na podstawie liczb osób zatrudnionych bezpośrednio przy samych robotach. Uruchomienie robót stwarza bowiem pośrednie ożywienie w całym szeregu gałęzi przemysłu, bądź produkujących narzędzia i materiały niezbędne do robót, bądź też zaspokajających potrzeby konsumpcyjne osób przy nich zatrudnionych. Wynikające stąd t. zw. zatrudnienie pochodne osiąga — jak wykazały przybliżone obliczenia — 50 do 100% stanu zatrudnienia pierwotnego, a rzeczywisty koszt akcji może wynosić niespełna połowę sum faktycznie wydatkowanych na ten cel.[7]

[7] Te i inne dane liczbowe dotyczące akcji robót publicznych zaczerpnięto z wydawnictw Międzynarodowego Biura Pracy: Le chômage et les travaux publics, 1937 oraz Une politique de travaux publics. 1935.

Wywody ekonomistów nie pozostały bez wpływu na politykę wielu państw, które podjęły w latach 30-tych szeroko zakrojoną akcję robót publicznych, będącą wprawdzie wyrazem nie tyle tendencyj do planowego rozkładania ich w czasie na przestrzeni pełnego cyklu koniunkturalnego, ile dążeń do przezwyciężenia aktualnego kryzysu. Wielkie rozmiary podejmowanych robót[6] świadczą jednak wymownie o tym, że wykraczały one na ogół poza cel doraźnego zatrudniania bezrobotnych, jakkolwiek w poszczególnych konkretnych wypadkach rozróżnienie to mogło być trudne do przeprowadzenia. W niektórych krajach, jak Niemcy, roboty publiczne miały ponadto uzasadnienie specjalne związane z przygotowywaniem kraju do wojny.

Pełna ocena skuteczności akcji robót publicznych wymaga uwzględnienia ich stosunku do sektora prywatnej gospodarki. Warunkiem stawianym zazwyczaj wobec robót publicznych jest niekonkurowanie w żadnej formie z tą gospodarką, w tym wypadku bowiem osiągnięcia ich miałyby w znacznym stopniu charakter pozorny, a domniemany wzrost stanu zatrudnienia oznaczałby raczej pewne przesunięcia i zmianę jego struktury. Z tego założenia wychodzą postulaty finansowania robót publicznych przez mobilizowanie kapitałów w danym okresie nieczynnych, unieruchomionych z powodu kryzysu, niesięgania natomiast do środków aktywnych, przeznaczonych na konsumcje lub inwestycje prywatne. Jeszcze ważniejsza jest z tego punktu widzenia sprawa samego charakteru i kierunku robót publicznych.

Chodzi mianowicie w tym zakresie o to, aby wytwarzane w ramach akcji robót publicznych dobra nie miały wartości rynkowej i nie stawały się dzięki temu konkurentem dla produktów prywatnej wytwórczości. Cel robót publicznych stanowi bowiem przezwyciężenie kryzysowej nadprodukcji przez zwiększenie popytu na dobra rynkowe (osiągane na skutek wzrostu zatrudnienia i siły nabywczej), bez zwiększania ich podaży. Najlepsze widoki powodzenia w tym kierunku dają t. zw. klasyczne roboty publiczne, obejmujące inwestycje tego typu, jak: budowa dróg i mostów, regulacja rzek, melioracje,

[6] I tak np. Stany Zjednoczone preliminowały na ten cel w r. 1933/34 — 3,7 miliardy dolarów wobec budżetu państwowego wynoszącego 4 miliardy, Niemcy w tym samy roku — 2,4 miliardy marek (wobec budżetu 8 miliardów), Włochy — 5,8 miliardów lirów (wobec budżetu 21 miliardów). Źródło jak wyżej.

budowa urządzeń energetycznych, wznoszenie budynków publicznych etc. Wybór tego lub innego rodzaju „klasycznych" robót jest ze stanowiska wpływu na stan zatrudnienia na ogół obojętny. Może to być zarówno każda z wyżej wskazanych inwestycyj, jak również rozbudowa zbrojeń, a nawet — sięgając do paradoksalnych przykładów — wznoszenie wieży Babel; różnice będą tylko drugorzędne, wynikające z technicznego charakteru robót, a nie ich obiektywnej wartości.

Względy polityczne decydują często o wyborze inwestycyj, pozbawionych wartości z gospodarczego punktu widzenia: okres wojny i przygotowań do niej jest tutaj najlepszym przykładem. W normalnych warunkach musi jednak decydować o kierunku inwestycyj publicznych ich walor gospodarczy: bezpośrednia rentowność lub trwała korzyść, polegająca na poprawie stanu zagospodarowania kraju i zwiększeniu jego przyszłych możliwości produkcyjnych. Zapotrzebowanie tego rodzaju inwestycyj może być w poszczególnych krajach dość znaczne, nie jest jednak nieograniczone. W tym punkcie natrafiamy na bardzo istotną trudność leżącą na linii prowadzenia szeroko zakreślonej akcji robót publicznych w krajach zamożnych i bogato zainwestowanych. Okazuje się bowiem, że kraje te mają bardzo ograniczone pole wyboru inwestycyj publicznych, jeśli nie chcą podejmować prac, pozbawionych większej racji gospodarczej i mających sens wyłącznie jako metoda t. zw. stwarzania zatrudnienia w sposób mniej lub więcej sztuczny. Prowadzenie tego rodzaju robót miałoby w gruncie rzeczy podobną treść gospodarczą, co eksperyment francuski z roku 1848, polegający na bezużytecznym kopaniu i zasypywaniu dołów, z tą różnicą na niekorzyść nowych metod, że wznosząc trwałe inwestycje, zajmowałyby one na stałe przestrzeń, która mogłaby być w inny sposób z większą korzyścią wyzyskana.[9] Wystąpienie tych trudności musiało skłonić kraje zamożne do poszukiwania innych dróg prowadzenia ekspansywnej polityki gospodarczej z pominięciem robót publicznych.

Poza wskazanymi wyżej trudnościami, dotyczącymi wyłącznie krajów zamożnych i bogato zainwestowanych, nasuwają się jednak także inne o ogólniejszym znaczeniu, związane ze sferą stosunków międzynarodowych. Prowadzenie w szerszym zakresie akcji robót publicznych wywołuje szereg następstw,

[9] Por. Full Empleyment. Ten Articles from the Times. London 1934. str. 8.

które nie dają się zamknąć w granicach jednego kraju. Związany ze wzmożeniem inwestycji publicznych wzrost dochodów nominalnych wpływa na zwiększenie rozmiarów importu, równoczesny wzrost cen utrudnia eksport, pogarszając w ten sposób bilans handlowy, co jest szczególnie niebezpieczne dla krajów dłużniczych.

Znaczna część korzyści, związanych z podjęciem ekspansywnej polityki gospodarczej, może w ten sposób łatwo odpłynąć za granicę, co wpływa oczywiście hamująco na inicjatywę w tym kierunku w poszczególnych krajach. Z drugiej strony jednak ekspansja ta była w warunkach międzywojennych dla wielu krajów niezbędnym warunkiem przezwyciężenia panującego w nich kryzysu i bezrobocia, bądź też podźwignięcia się na wyższy szczebel rozwoju gospodarczego. Jedynym lekarstwem na te trudności mogło być przyjęcie międzynarodowego planu robót publicznych, przewidującego równomierne rozłożenie ich między różne kraje, ze szczególnym nasileniem w krajach wierzycielskich. Plany tego rodzaju opracowało w latach międzywojennych szereg ekonomistów, jak Keynes Franzui, Delaisi, Woytinsky i in. Żaden z tych planów nie doczekał się jednak realizacji, zarówno ze względu na sprzeczności interesów między państwami, jak i wspomniane wyżej trudności specjalne, leżące na linii rozbudowy inwestycyj publicznych. Nie udało się tym samym włączenie robót publicznych w szerszy plan akcji, mającej na celu zwalczanie bezrobocia. Pozostały one środkiem o ograniczonym znaczeniu, aktualnym przede wszystkim w krajach zapóźnionych w rozwoju gospodarczym.

IV.

Wojna okazała się — jak już wspomniano — szczególnie skuteczną metodą stwarzania sui generis zatrudnienia, polegającego na służbie wojskowej i pracy w przemyśle zbrojeniowym. Brak rąk do pracy stał się w krótkim czasie zjawiskiem powszechnym w krajach wojujących, stanowiąc jedną z głównych trudności, z jakimi, walczyły one przy rozbudowie produkcji wojennej. W związku z tym musiano zastosować specjalne metody administrowania pracą ludzką poddając rynek pracy ścisłej kontroli państwa i ograniczając silnie swobodę zawierania i rozwiązywania umów o pracę. Środki podejmowane przez poszczególne kraje w tej dziedzinie były w zasadzie zbliżone, na co wpłynęło ogólne podobieństwo celów

gospodarowania w okresie wojennym. Odmienność warunków i ogólnych nastawień wywołała natomiast pewne różnice w charakterze stosowanych metod i w strukturze aparatu wykonawczego.

Niemcy hitlerowskie, rozpocząwszy najwcześniej planowe przygotowania do wojny, wypracowały już w okresie przedwojennym metody kształtowania rynku pracy i stworzyły odpowiednie środki techniczno-administracyjne. Prace w tym kierunku podjęto już w roku 1933 w obliczu masowego bezrobocia w przemyśle (blisko 6 milionów), któremu towarzyszył jednak niedobór sił ludzkich w rolnictwie. Metody, stosowane wówczas, polegały na planowym ograniczaniu podaży pracy przez odprowadzanie z rynku pracy przemysłowej kobiet i młodzieży, na dokonywaniu pewnych zmian w strukturze zatrudnienia pod kątem socjalnym (wymiana młodych pracowników na starszych) oraz na popieraniu wzrostu zatrudnienia w rolnictwie. W tym samym czasie przygotowane zostały podstawy organizacyjne dla rozbudowy planowej gospodarki siłami ludzkimi: stworzono sieć urzędów pracy i kartotekę tzw. książek pracy, mających na celu pełne zewidencjonowanie wszystkich pracowników oraz zmian zachodzących w ich kwalifikacjach i w zatrudnieniu. Tej polityce regulowania spraw pracy towarzyszyła rozbudowa przemysłu wojennego i wielkie inwestycje dla potrzeb przygotowywanej wojny, przeprowadzane przy pomocy zakrojonych na szeroką skalę robót publicznych. Ten właśnie wojenny charakter prowadzonej już wówczas gospodarki sprawił, że bezrobocie znikło w Niemczech już w roku 1937 i coraz wyraźniej występowała potrzeba stosowania środków, mających na celu już nie sztuczne zmniejszanie podaży pracy, lecz przeciwnie jej zabezpieczanie, zwłaszcza w stosunku do pracy kwalifikowanej.

Od tej pory rozwija się właściwa polityka regulowania rynku pracy, stosująca coraz ostrzejsze środki w celu sprostania stale narastającym zadaniom. Kolejne etapy tej polityki stanowiło: poddanie obrotu pracowników kontroli urzędów pracy, wprowadzenie instytucji tzw. zobowiązania do pracy (Dienstverpflichtung), polegającej na przymusowym kierowaniu pracowników z dotychczasowych zajęć do innych służących celom wojennym, ograniczenia dotyczące samodzielnego zarobkowania w rzemiośle i w handlu, ścisła kontrola zatrudnienia we wszystkich zakładach pracy i planowa akcja zamykania

zakładów uznanych za zbędne z punktu widzenia potrzeb wojennych, wreszcie szeroko zakrojona akcja wciągania do pracy przemysłowej kobiet i sprowadzania do pracy w Rzeszy cudzoziemców przy pomocy znanych powszechnie bezwzględnych metod, które tak dotkliwie dały się we znaki wszystkim krajom okupowanym.[19]

Okres wojenny ujawnił dopiero w pełni istotne oblicze niemieckiej gospodarki siłami ludzkimi i pozwolił ocenić właściwie metody, jakimi się posługiwała. Przed wojną eksperyment niemiecki budził niejednokrotnie zaciekawienie, a nawet spotykał się z uznaniem, ze względu na niewątpliwe sukcesy odniesione w walce z bezrobociem, której zachodnie demokracje nie umiały w tym czasie skutecznie przeprowadzić. Dopiero później ujawnił się z całą plastycznością fakt, że sukces niemiecki w tej dziedzinie wynikał poprostu z wcześnieszego zapoczątkowania gospodarki wojennej, naskutek czego zjawiska związane z tą gospodarką wystąpiły w Niemczech już na parę lat przed wszczęciem działań wojennych. Dotyczyło to zresztą nie tylko spraw zatrudnienia, lecz także innych działów gospodarki (kontrola surowców, regulowanie płac i cen, ograniczenia rekonsumcji etc.).

Kraje anglosaskie stworzyły pod naciskiem potrzeb wojny niemniej skuteczny od Niemiec aparat gospodarki siłami ludzkimi, jakkolwiek przystąpiły do rozwiązywania tych spraw znacznie później i stosowały ostrożnie środki bezpośredniego przymusu. W Anglii kontrolę nad rynkiem pracy objęli specjalni inspektorzy, których zadaniem było sprawdzanie istotnego zapotrzebowania sił ludzkich przez poszczególne zakłady pracy, a w szczególności zapobieganie zatrudnianiu w nich nadmiernej liczby fachowców. W roku 1940 uzależniono zwalnianie i przyjmowanie pracowników od zgody specjalnych organów urzędowych. Zakazano strajków i lokautów, gwarantując jednak równocześnie pracownikom ustalone płace i warunki pracy oraz powołując specjalny Trybunał Rozjemczy dla rozstrzygania wszelkiego rodzaju zatargów. Pełną kontrolę nad rynkiem pracy przekazano Ministrowi Pracy i jego organom. Prowadzona na tych zasadach gospodarka siłami ludz-

[10] Rozwój niemieckiej gospodarki na rynku pracy przedstawia konspektowo Willeke: Arbeitseinsatz im Kriege. Berlin 1942.

kimi dała duże rezultaty w zakresie mobilizowania pracy i użytkowania jej zgodnie z potrzebami wojennymi.[11]

Gospodarce wojennej, która okazała się tak skutecznym lekarstwem na bezrobocie, towarzyszy zazwyczaj szczególny klimat psychiczny, który pozwala na stosowanie niemożliwych w innych warunkach nacisków i ograniczeń. Warunki te sprzyjają realizacji konsekwentnego systemu planowania, który eksploatując na wielką skalę ludzkie i trwałe dobra rzeczowe, zdolny jest jednak równocześnie do mobilizowania wszystkich rozporządzalnych sił i środków wytwórczych w niespotkanym na ogół wymiarze. Stąd rodzi się ten niezrozumiały napozór fakt, że gospodarka wojenna, prowadząca na ogół niewątpliwie do zubożenia kraju, staje się równocześnie lekarstwem na wiele bolączek społecznych i wpływa na podniesienie poziomu życia znacznej części ludności (uprzednio bezrobotnej).

W obliczu tych doświadczeń musiało utrwalić się przekonanie o konieczności zerwania z dawnym systemem gospodarki i zastosowania w czasie pokoju planowych metod gospodarowania, jako jedynej drogi prowadzącej do pełnego wyzyskania sił wytwórczych i trwałego wyeliminowania bezrobocia. Opinia anglosaska godzi się całkowicie na tę linię polityki, uznając potrzebę daleko idącej ingerencji i kontroli państwa

[11] Liczba osób zatrudnionych w przemyśle i objętych służbą wojskową, wzrosła w Anglii od połowy 1939 do połowy 1944 z 18,5 do 22 milionów, przy czym służba wojskowa łącznie z tak zwaną obroną cywilną i pomocniczą służbą kobiet objęła 5,2 miliona osób. Stan zatrudnienia w przemyśle zbrojeniowym wzrósł w ciągu wskazanego wyżej pięciolecia z 3,1 do 5,2 miliona. Towarzyszył temu spadek zatrudnienia, w działach gospodarki, obsługującej potrzeby ludności cywilnej z 9,3 do 6 milionów. Do pracy w przemyśle (całkowitej lub częściowej) zwerbowano ponad 2 miliony kobiet, które nie zajmowały się uprzednio pracą zarobkową. Ponadto zatrzymano w zatrudnieniu około miliona osób, które przekroczyły wiek starczy i nabrały praw do emerytury. (Dane powyższe zaczerpnięto z wydawnictwa: A Record of British War Production compiled by the Times 1945, w szczególności z zawartych w nim artykułów: The Story of Great Achievement oraz Industrial Man Power-Mobilized). — Skąpe wiadomości, jakimi rozporządzamy na razie w stosunku do Stanów Zjednoczonych wskazują na podobne środki i osiągnięcia w zakresie gospodarowania pracą ludzką. Zmiany miejsc pracy i stawek płac w przemyśle wojennym zostały poddane ścisłej kontroli. Przesuwanie pracowników z działów gospodarki obsługujących potrzeby cywilne do przemysłu zbrojeniowego, oraz wciąganie do pracy w przemyśle kobiet odbywało się na wielką skalę. Nieco danych z tej dziedziny podawał Reichsarbeitsblatt z roku 1943 i 1944 (w rubryce: Sozialpolitisches im Auslande).

w dziedzinie gospodarki. Rozumie konieczność podjęcia wielkiego wysiłku planującego dla rozwiązania skomplikowanych problemów gospodarki pokojowej, nasuwających niemniej — a może nawet pod pewnymi względami więcej — trudności od zadań wojennych. Równocześnie jednak przywiązuje szczególną wagę do wypracowania właściwych form gospodarki planowej, pasujących do warunków pokojowych oraz do demokratycznych zasad ustrojowych. Odrzuca bezwzględnie wszelkie wzory totalne, starając się o stworzenie wzorów własnych, których istotę stanowiłoby sharmonizowanie ogólnej dyscypliny i kontroli z maksymalnym udziałem wolnej inicjatywy i przedsiębiorczości.[12] Domaga się natomiast zdecydowanie usunięcia prywatnych monopolów i ukrócenia wszelkich poczynań o charakterze restrykcyjnym, polegających na gromadzeniu indywidualnych lub grupowych korzyści w drodze celowego oddziaływania na kurczenie procesów wytwórczych. Celem nowej gospodarki powinno być bowiem, w ujęciu anglosaskim, dążenie do najpełniejszego wyzyskania sił produkcyjnych i stałego rozszerzania konsumcji. Główne zadanie tej gospodarki polegać ma na sharmonizowaniu regularnego rozwoju produkcji z coraz pełniejszym zaspakajaniem potrzeb.[13] Teza ta wiąże się z nowymi poglądami na istotę bezrobocia.

V.

Głównym błędem przedwojennych poczynań w zakresie walki z bezrobociem było niewłaściwe podejście do samego problemu braku pracy, ujmowanego niejako wyłącznie od strony zewnętrznej, objawowej, bez uwzględnienia istotnych związków, łączących go z szerszą płaszczyzną zjawisk gospodarczych. Zagadnienie bezrobocia, rozpatrywane na tle tych szerszych powiązań, ma podwójny aspekt. Z jednej strony oznacza ono niepełne wyzyskanie możliwości produkcyjnych, naskutek przymusowej bezczynności ludzi, gotowych do pracy oraz fabryk i zakładów, któreby mogły ich zatrudnić. Z drugiej strony jednak następstwem bezrobocia jest obniżenie stanu

[12] Por. Wallace H. A.: Sixty million jobs. New York 1945. str. 27 i nast.

[13] „The full solution demands that we should combine regularity in production with plenty in consumption." (Full Employment str. 7). „Nowe czasy wymagają planowej produkcji na potrzeby ogólnej konsumcji, to jest warunek, mocą którego podstawowe wolności stają się rzeczywistością w życiu zwykłych obywateli". (Nowy Program Brytyjskiej Partii Pracy, str. 11.)

zaspokojenia potrzeb i to nie tylko w stosunku do grupy osób pozbawionych pracy, lecz także w sensie ogólnym ze względu na związane z bezrobociem zmniejszenie rozmiarów produkcji. Uwzględnienie obu tych stron zagadnienia pozwala zrozumieć istotę kryzysu lat międzywojennych, w których równolegle do tzw. nadprodukcji, oznaczającej nagromadzenie nadmiaru dóbr w stosunku do możliwości zbytu i zmuszającej do kurczenia wytwórczości, występowało zjawisko nędzy i niedostatku wśród szerokich rzesz ludności, które nie rozporządzały dostatecznymi środkami, aby stać się odbiorcą i konsumentem produkowanych dóbr. Istotną cechę tej sytuacji stanowiło zatem nie samo bezrobocie, lecz niedostatek, jaki wynikał z niemożności użycia potencjalnych sił i środków wytwórczych dla zaspokojenia odczuwanych potrzeb.[14] Rozwiązanie problemu polegać musi na uruchomieniu sił produkcyjnych na rzecz tych potrzeb, gdyż tylko w ten sposób można zapobiec marnotrawstwu potencjalnego bogactwa i stworzyć podstawy dla trwałego uzdrowienia gospodarki.

Z tego punktu widzenia można dopiero właściwie ocenić bezcelowość prowadzenia tzw. walki z bezrobociem przy pomocy środków tego rodzaju, jak ograniczanie podaży pracy, skracanie czasu pracy lub hamowanie postępów wydajności. Metody te mogą bowiem przynieść co najwyżej tylko doraźne zmniejszenie liczby bezrobotnych, powodując często na dalszą metę skurczenie rozmiarów wytwórczości, a tym samym zaostrzenie odczuwanego niedostatku. Błędną drogę stanowi również polityka tzw. stwarzania zatrudnienia, która prowadzi często do efektów sztucznych, oderwanych od właściwych potrzeb gospodarki. Walka z bezrobociem, jeśli ma być naprawdę skuteczna, musi być powiązana ściśle z ogólniejszą akcją zwalczania niedostatku i podnoszenia stopy życiowej szerokich rzesz ludności.

W tym ujęciu postulat pełnego zatrudnienia przestaje być celem samym w sobie, staje się natomiast środkiem, umożliwiającym ogólniejszy wzrost dobrobytu. Wiąże się to z planami szeroko zakrojonych reform społecznych, których istota sprowadza się do stworzenia warunków pełniejszego życia dla wszystkich obywateli[15] przez szerokie udostępnienie zdobyczy

[14] Por. Robinson J.: Abolishing Unnecessary Poerty. W zbiorowym wydawnictwie: Planning for Abundance. Published by National Peace Council. London. str. 3.

[15] Por. Wallace op. cit. str. 37 i nast. oraz rozdział: The Fuller Life for All. str. 78 i nast.

cywilizacyjnych i wyrównanie zbyt rażących różnic w podziale dochodu społecznego. Gospodarcza strona tych reform polegać ma na stwarzaniu nowych ognisk siły nabywczej, umożliwiających wchłonięcie dóbr, wytwarzanych przy pełnym wyzyskaniu sił produkcyjnych. Po tej linii idą przygotowane zarówno w Anglii jak w Stanach Zjednoczonych plany rozbudowy ubezpieczeń społecznych, oparte na wszechstronnie pomyślanym systemie społecznego zabezpieczenia (social security), gwarantującego wszystkim obywatelom minimalny dochód na wypadek wystąpienia zdarzeń losowych. Towarzyszą temu plany szeroko zakrojonego budownictwa mieszkań (w Stanach Zjednoczonych planuje się budowę 16 do 17 milionów mieszkań w ciągu 10 lat), upowszechnienia służby zdrowia itp. W Anglii rozważana jest ponadto koncepcja nawiązania do doświadczeń wojennych z kontrolowaną przez państwo produkcją dóbr powszedniego użytku (utility goods)! Sprowadza się ona do wytwarzania na szeroką skalę tych dóbr pod nadzorem państwa, które normowałoby ich podaż, jakość i ceny, biorąc równocześnie na siebie funkcję głównego zleceniodawcy. Masowość produkcji, daleko posunięta standardyzacja wytworów i uproszczona technika sprzedaży, nie wymagającej reklamy — umożliwiałyby stosunkowo niski poziom cen tych dóbr, przyczyniając się tym samym do rozszerzenia ich konsumcji i podniesienia ogólnej stopy życiowej, przy równoczesnym stworzeniu szerokich możliwości zatrudnienia.[16]

W planach opracowywanych w Stanach Zjednoczonych dużą rolę odgrywa również sprawa podnoszenia gospodarczego obszarów zaniedbanych, co wiąże się z bardzo nierównomiernym stanem zagospodarowania tego ogromnego kraju, mającego charakter subkontynentu. Tereny południowe, bazujące głównie na rolnictwie odbiegają wyraźnie poziomem swej gospodarki od wysoko uprzemysłowionych stanów północnych, hamując rozwój gospodarczy całości kraju. Stąd szeroko zakrojony program inwestycji o charakterze regulacji rzek, melioracji, elektryfikacji wsi i innych, mających na celu podniesienie stopy życiowej w stanach południowych i stworzenie tym samym mocniejszych podstaw dla ogólnego dobrobytu.

Istotną cechę anglosaskich planów pełnego zatrudniania stanowi powiązanie ich z nową koncepcją ułożenia między-

[16] Por. Robinson op. cit. str. 5 oraz Full Employment str. 20.

narodowych stosuków gospodarczych. U podstaw tej koncepcji leży zrozumienie ścisłych związków, jakie łączą interesy gospodarcze wszystkich krajów świata, nie pozwalając poszczególnym państwom na zamykanie się w kręgu egoistycznych, ciasnych punktów widzenia. Wiąże się z tym przekonanie o konieczności zerwania z dawną polityką „samolubnej eksploatacji" i „dyplomacji dolarowej" na rzecz szeroko zakrojonej akcji międzynarodowej współpracy, idącej po linii dopomożenia krajom zaniedbanym i zniszczonym przez wojnę w odbudowie i podniesieniu potencjału gospodarczego.[17] Akcja ta miałaby na celu niedopuszczenie do powtórzenia się sytuacji przedwojennej, w której niewyzyskaniu możliwości produkcyjnych krajów uprzemysłowionych towarzyszył niedostatek i niski poziom życia w pozostałych krajach, które nie rozporządzały nadwyżką środków, niezbędną dla nabycia potrzebnych dóbr. Podniesienie siły nabywczej tych ostatnich krajów stworzyłoby nowe, ogromne możliwości rozrostu produkcji i zatrudnienia w państwach, których aparat wytwórczy rozbudowany jest ponad miarę ich wewnętrznych potrzeb, przyczyniając się równocześnie do ogólnego postępu gospodarczego świata. W Stanach Zjednoczonych docenia się w pełni z tego punktu widzenia znaczenie podźwignięcia gospodarczego krajów Ameryki Południowej i Europy środkowo-wschodniej, największą wagę przywiązuje się jednak do rozwoju krajów Azji wschodniej i północnego Pacyfiku, widząc w tym rejonie najszersze możliwości ekspansji dla własnej gospodarki. Podstawowe znaczenie ma odgrywać dla tych celów szeroko zakrojona akcja kredytowa, stanowiąca warunek zwiększenia zdolności importowej krajów słabszych gospodarczo. Prowadzenie jej planowane jest w ramach organizacji międzynarodowej, rozporządzającej także rozległymi kompetencjami w zakresie kontrolowania gospodarki surowcowej i kształtowania rynków zbytu.[18]

Na tak zarysowanych koncepcjach opierają się w Stanach Zjednoczonych plany osiągnięcia stanu pełnego zatrudnienia, które ma wynieść ok. 1950 r. 60 milionów ludzi przy dochodzie społecznym równym 200 bilionów dolarów rocznie. [19]

[17] Por. Wallace op. str. 51 i nast.

[18] Por. Schumacher E. F.: Full Employment. The International Implications. W zbiorowym wydawnictwie Planning for Abundance. str. 8—23.

[19] Bliższemu przedstawieniu tych planów poświęcona jest cytowana już parokrotnie książka. H. A. Wallace, p. t. Sixty Million Jobs. New York 1945.

VI.

Pełne zatrudnienie w ramach gospodarki pokojowej nie może naśladować osiągnięć wojennych, których istotę stanowiło nadmierne wyzykiwanie sił ludzkich, wyrażające się w mobilizowaniu tzw. cichych rezerw pracy i w przedłużaniu czasu pracy. Gospodarka, rozwijająca się w warunkach normalnych musi znaleźć właściwą miarę wysiłku produkcyjnego, jaki byłby możliwy na dalszą metę bez szkodliwych następstw dla substancji sił wytwórczych. W gospodarce tej niezbędne są z natury rzeczy pewne rezerwy, stąd też i bezrobocie może pojawiać się w niej jako zjawisko przejściowe i krótkotrwałe, związane z płynnością procesów gospodarczych.[20] Brak pracy, mający ten charakter, towarzyszył zwykle w nieznacznych rozmiarach nawet okresom najwyższej koniunktury, stanowiąc wyraz pewnych zmian i przesunięć na rynku pracy, a nie ogólniejszego braku możliwości zatrudnienia.

Postulat pełnego zatrudnienia w czasach pokojowych sprowadza się zatem do wyeliminowania bezrobocia jako zjawiska masowego i długotrwałego. Osiągnięcie tego rodzaju musiałoby jednak doprowadzić do zasadniczej zmiany warunków gospodarowania, nasuwając równocześnie szereg specjalnych problemów o szerszym znaczeniu. Bezrobocie spełniało bowiem w ramach dotychczasowej gospodarki funkcje doniosłego czynnika, podtrzymującego dyscyplinę pracy i wpływającego na zachowanie wartości pieniądza. Groźba utraty pracy, a tym samym źródeł egzystencji wpływała decydująco na postawę robotnika, utrzymując go w stanie pewnej uległości i posłuchu wobec wymagań kierownictwa zakładu pracy. Równocześnie ciążenie większej liczby bezrobotnych na rynku pracy odbijało się wydatnie na poziomie płac, hamując możliwości ich wzrostu. W warunkach pełnego zatrudnienia sytuacja musi ulec na obu tych odcinkach zasadniczej zmianie. Łatwość zdobycia pracy pociągnąć musi za sobą mniejszą dbałość o posiadane zajęcie, z czym może łączyć się lekceważenie obowiązków i osłabienie dyscypliny pracy, tym bardziej, że w nowych warunkach raczej pracodawcy zależeć będzie na utrzymaniu pracownika niż odwrotnie. Pełne zatrudnienie sprzyja również zwyżce płac wobec wzmożonego nacisku ze strony

[20] Uwagi o istocie pełnego zatrudnienia w ramach gospodarki pokojowej i potrzebie właściwego oznaczenia niezbędnych rezerw zawarte są w wydawnictwie „The Problem of Unemployment" str. 21 i nast.

robotników przed którym pracodawcy dość łatwo ustępują, licząc się z możnością przerzucenia zwiększonych kosztów na konsumenta w formie podwyżki cen. Na tym tle może się łatwo rozwinąć wyścig płac i cen, grożący załamaniem się wartości pieniądza. Obie powyższe trudności wystąpiły na jaw już w ramach gospodarki wojennej, wówczas jednak były zmniejszane przez szczególny klimat psychiczny tej gospodarki, stwarzający na miejsce bezrobocia inny system ciśnień, ugruntowany na uczuciach patriotycznych. W warunkach pokojowych trudno jednak liczyć na pełną skuteczność tego rodzaju motywów, wobec zbyt jaskrawo występującej sprzeczności interesów w bezpośrednim polu widzenia pracowników. Powstaje zatem zagadnienie znalezienia innych sposobów utrzymania w stosunkach pracy ogólnego ładu i dyscypliny, wymuszanego w ramach dawnej gospodarki przez groźbę bezrobocia.

Sposoby te leżą w dziedzinie ustrojowej i polegać mogą bądź na narzucaniu dyscypliny przy pomocy metod bezpośredniego przymusu, bądź też na przeprowadzaniu zmian, kształtujących świadomość społeczną pracowników w kierunku wzmożonego poczucia odpowiedzialności za wykonywaną pracę i zrozumienia jej funkcji w życiu narodu. Pierwszą z tych metod zastosował hitleryzm, który rozbił związki zawodowe pracownicze i podporządkował stosunki pracy bezpośredniej kontroli państwa, wymuszając posłuszeństwo, przy pomocy znanych metod nacisku politycznego i terroru. Drugą, zasadniczo odmienną drogę oznacza socjalizm i kierunki ideowo z nim związane, które dążą do zmian ustrojowych, przebudowujących gruntownie warunki, jakie leżą u podstaw stosunków pracy. Zmiany te nie mają na celu osłabiania wpływów świata pracy lub poddawania go ścisłej kontroli, lecz przeciwnie takie rozszerzenie zakresu jego działań, które, nakładając na ogół pracowniczy większe obowiązki, doprowadziłoby równocześnie do zasadniczej zmiany jego nastawień i wzbudzenia poczucia odpowiedzialności za całokształt gospodarki narodowej. Reformy, jakie leżą na linii tej polityki, mogą mieć różny charakter i nasilenie. Może to być zarówno nacjonalizacja pewnych gałęzi gospodarki, jak przyznanie pracownikom wpływu na życie i działalność poszczególnych zakładów pracy (rady zakładowe) lub na przebieg szerszych procesów gospodarczych (izby pracy, samorząd społeczno-gospodarczy). Istota tych wszelkich reform polega na uznaniu praw pracownika, jako współgospodarza, a nie tylko wykonawcy, co

musi zmienić zasadniczo jego pozycje stwarzając nowe motywy dla podporządkowania się ogólniejszej dyscyplinie, trudnej do utrzymania w warunkach pracy, służącej wyłącznie cudzym dążeniom do osiągnięcia indywidualnego zysku.

Charakter i rodzaj zmian ustrojowych, jakie powinny towarzyszyć polityce pełnego zatrudnienia, zależy od szczególnych warunków każdego kraju i wymaga sharmonizowania z całokształtem czynników, wyznaczających jego strukturę. Podjęcie takich czy innych reform jest jednak w każdym wypadku niezbędne. Zrozumienie tej kwestii pozwala właściwie ocenić wagę realizacji pełnego zatrudnienia ze stanowiska całokształtu zagadnień społeczno-gospodarczych oraz tłumaczy związki, jakie łączą postulaty, leżące w tej dziedzinie, z hasłem społecznego zabezpieczenia oraz z ideą ustroju opartego na pracy. [21]

VII.

Szkic niniejszy obrazuje linię rozwojową i najnowsze tendencje polityki zatrudnienia w oparciu o materiały, dotyczące przede wszystkim krajów przodujących pod względem gospodarczym. Pozwala to tym lepiej zaobserwować ogólniejsze kierunki ewolucji i zdać sobie sprawę z perspektyw w dziedzinie kształtowania się międzynarodowych stosunków gospodarczych, które wyznaczają w pewnym sensie możliwości rozwojowe wszystkich krajów, w tej liczbie także i tych, których warunki gospodarowania są zupełnie odmienne od anglosaskich. Szereg spraw poruszonych w niniejszym szkicu ma bezpośrednie znaczenie także i dla tych krajów, inne mogą służyć jako podstawa orientacyjna dla oceny pewnych tendencji, jakie w nich występują.

Polska należy do krajów o odmiennej problematyce społeczno-gospodarczej, niż kraje anglosaskie. W latach międzywojennych cechą charakterystyczną naszych stosunków był nadmiar rąk do pracy, wywołany niedostatecznym wyposażeniem kraju w urządzenia wytwórcze. W związku z tym poza zwykłym bezrobociem przemysłowym występowało u nas na wielką skalę tzw. bezrobocie utajone (zbędność), polegające na nadmiernym obciążeniu gospodarstw wiejskich i drobnych warsztatów przez siły ludzkie, których placówki te nie były

[21] Sprawy omówione w tym rozdziale porusza Robinson l. c. str. 6—7. Patrz także Full Employment str. 8—10.

w stanie ani produkcyjnie zatrudnić, ani dostatecznie wyżywić.[22] Osiągnięcie stanu pełnego wyzyskania istniejącego aparatu wytwórczego nie rokowało w tych warunkach całkowitego zatrudnienia rozporządzalnych sił ludzkich. Podstawowe znaczenie miało dążenie do rozbudowy tego aparatu przez szerzej zakrojoną akcję inwestycyjną, która jednak dopiero w ostatnich latach przed wojną przybrała u nas nieco większe rozmiary.

Obecna sytuacja Polski jest zupełnie inna niż w latach międzywojennych. Rezerwuar rąk do pracy skurczył się poważnie w wyniku ciężkich, krwawych strat wojennych, potencjał gospodarczy kraju wzrósł natomiast wydatnie w związku z przyłączeniem odzyskanych ziem na zachodzie. Stwarza to nowe warunki dla gospodarowania pracą ludzką, w których pozytywnie ujęta polityka zatrudnienia, nastawiona na racjonalne z punktu widzenia ogólnych celów gospodarczych wyzyskanie tej pracy, może mieć szczególnie doniosłe zadania do spełnienia. Chwila obecna nie pozwala jeszcze określić bliżej wytycznych tej nowej polityki, ze względu na to, że sprawy o znaczeniu doraźnym, związane z nieuregułowanym stanem naszej gospodarki, przesłaniają niekiedy istotne zagadnienia, leżące u podstaw dokonywających się przemian.

Postulatem, który zarysowuje się jednak już teraz w sposób zupełnie wyraźny jest stworzenie po stronie pracy warunków, które pozwoliłyby na pełne wyzyskanie wielkich szans gospodarczych, leżących przed nami i na przetworzenie wartości potencjalnych w realne. Warunki te sprowadzają się do podnoszenia stanu kwalifikacji zawodowych, których brak wpływa hamująco na postępy zagospodarowania oraz do potęgowania ogólnej woli pracy w społeczeństwie, od czego zależy tempo i sprawność wszelkich działań w dziedzinie gospodarki. Celowa polityka skierowana ku realizacji powyższych celów ma podstawowe znaczenie dla osiągnięć naszego kraju w najbliższym okresie. Rozważania, zawarte w niniejszym szkicu, wskazują na potrzebę planowości tej polityki i wiązania jej z całokształtem poczynań w dziedzinie gospodarczo-ustrojowej.

---

[22] Patrz w tej sprawie: Bezrobocie wśród chłopów. Wyd. Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1939, a także: Młodzież sięga po pracę, Wyd. Instytutu Spraw Społecznych. Warszawa 1937.

PIOTR WYSOCKI ALLONIMEM

Maurycego Mochnackiego

Na półkach wielkich bibliotek można znaleźć dwie drobne broszurki, wydane w r. 1867 w Paryżu w serii „Biblioteka Ludowa Polska". Obie noszą tytuł „Pamiętnik Piotra Wysockiego o powstaniu 29 listopada 1830 roku". Pierwsza z nich zawiera wstęp na 40 stroniczkach całości. Druga na 8-miu stroniczkach zawiera wspomnienia o Wysockim na Syberii, a dopiero pozostałe 18 stroniczek formatu 12 X 8 cm, wypełnionych odpowiednio drobną czcionką zajmuje sam pamiętnik. Tak wielką wagę przywiązywali do rzeczy i jej autora-współtwórcy Nocy Listopadowej, że wstępy znakomicie przerastały pamiętnik, którego przydługi tytuł brzmi: „Wiadomość o tajemnym Towarzystwie, zawiązanym w celu zmienienia rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskim oraz działanie wojenne Szkoły Podchorążych Piechoty w nocy z dnia 29 na 30 listopada 1830 r. Artykuł Piotra Wysockiego, dowodzącego Szkołą Podchorążych w rozpoczęciu powstania".

Zdawałoby się rzecz jasna: skoro w tytule wymieniono Piotra Wysockiego jako autora, więc nie ma wątpliwości. Tymczasem autorstwo jego zakwestionowano już dawno. Pogłoskę, jakoby „Wiadomość" napisał Maurycy Mochnacki, puścił w świat bodaj pierwszy podporucznik Józef Zaliwski, były uczeń wspomnianej Szkoły Podchorążych, ruchliwy kolega i rywal Wysockiego w sprzysiężeniu, dowódca północnego odcinka w Nocy Listopadowej. Stanisław Szpotański w swej monografii Mochnackiego, nie decydując się na rozstrzygnięcie sprawy autorstwa, czyni uwagę iż „Wiadomość" została wydrukowana w „Kurierze Polskim", organie, w którym skupili się wówczas wszyscy główniejsi członkowie i naczelnicy sprzysiężenia, „jest więc dokumentem oficjalnym, pierwszorzędnej historycznej wagi". Dla Jana Kucharzewskiego, innego monografisty Mochnackiego, dokument ten jakby wcale nie istniał. Jeszcze inny monografista tegoż — Artur Śliwiński — przyjmuje na wiarę wszystko, co jest w „Wiadomości" napisane, niema powodu do jakich bądź wątpliwości. Inaczej prof. Wac-

ław Tokarz. Ten, w swym dziele „Sprzysiężenie Wysockiego i Noc Listopadowa" jest przekonany, że artykuł pisał Mochnacki i podkreśla, iż autor przedstawiał tu niektóre fakty mocno odmiennie od tego, jak się miały w rzeczywistości, że nawet silił się wmawiać w czytelników rzeczy, które w ogóle nie istniały, że między innymi celami, pisząc „Wiadomość", — „miał i bardzo osobiste". Uwaga, uczyniona jakby na marginesie, nie zwróciła na siebie specjalnej uwagi.

Cechy artykułu wynikały z umiejętnej analizy tekstu. Przypisywanie autorstwa Mochnackiemu oparł Tokarz na zeznaniu Wysockiego, zapisanym w „Aktach Szczegółowych Delegacji Sądu Najwyższego Kryminalnego w sprawie przeciw Wysockiemu Piotrowi", w listopadzie r. 1832. „Akta" wskutek powstania warszawskiego r. 1944-ego przestały istnieć wraz z całym Archiwum Akt Dawnych w Warszawie przy ul. Jezuickiej. Został jednak przekaz nas interesującej sprawy w książce Jul. St. Harbuta „Noc Listopadowa" (Warsz. 1926). Wysocki zeznawał: „Artykuł w „Kurierze Polskim" nie tylko przeze mnie nie był napisany, ale i o wydaniu jego dowiedziałem się w chwili kiedy już był wydrukowany. Wiadome okoliczności Maurycemu Mochnackiemu spowodowały go, że napisał wspomniany artykuł, któryby zostawił pamięć tych wszystkich poruszeń, jednakże w wymienionym artykule, tak wielka liczba osób jako też i okoliczności nie są prawdziwe i tylko przez niego napisane." Skoro mnie uwiadomił Maurycy Mochnacki, że napisał artykuł, o którym jest mowa, a któren może wywrzeć wpływ na czas późniejszy, nie wchodząc, co było w nim umieszczone, i nie wiedząc że on będzie drukowany, na jego żądanie podpisałem. Lecz skoro zawiadomiony zostałem, że podobny artykuł Mochnacki kazał wydrukować podobnież jak się dowiedziałem, co jest napisane, chciałem, ażeby był zniszczony; lecz wszystkie moje usiłowania były za późne; czyli wspomniany artykuł w innych pismach był umieszczony, to mi zupełnie jest niewiadomem."

To, że Wysocki w zeznaniach przed sądem stara się pomniejszyć znaczenie artykułu i sprowadza tu siebie do roli biernej, jest dla nas rzeczą zrozumiałą. Powoływanie się zaś na przebywającego za granicą Mochnackiego nie jest chęcią przesunięcia winy z siebie na kogo innego, którego nie może dosięgnąć kara sądu zaborcy, lecz jest zgodne z rzeczywistością. Tak samo szczerą jest wypowiedź Wysockiego o dwa dni późniejsza: „Co do artykułu, umieszczonego w „Kurierze"

pod moim imieniem, uważam go za fałszywy, nie przeze mnie pisany, ale przez Maurycego Mochnackiego, który stojąc źle w opinii publicznej, jakoby miał, będąc w cenzurze, wyrzynać kartki z dzieł liberalnych, powziął myśl dla ratowania się napisać wspomniany artykuł, w którym chlubi się z należenia do rewolucji."

Sąd nie mając możności dosięgnięcia Mochnackiego, jął się zbadania drukarzy z drukarni A. Gałęzowskiego i Komp. przy ulicy Żabiej nr 472, gdzie się drukował „Kurier Polski". Zeznania kierownika drukarni potwierdziły autorstwo Mochnackiego.

Rzućmy teraz okiem na tło, na którym artykuł Mochnackiego powstał. Wybuch powstania był dla szerszego ogółu rzeczą nieoczekiwaną. Spiskowcy, twórcy Nocy Listopadowej, nie powołali żadnego rządu. Nawet w sferach kierowniczych powstała niepewność — co począć. Zarysowały się dwa odłamy w społeczeństwie: jeden rewolucyjny, opowiadający się za powstaniem, drugi ugodowy, reakcyjny, nastawiający się przeciw powstaniu. W pierwszych dniach powstania wcieleniem dążeń rewolucyjnych stał się Mochnacki, reakcyjnych — Lubecki, który ani na chwilę nie przestał być wiernym sługą carskim. Mochnacki, aczkolwiek poczytny od kilku lat literat, ale mało komu znany (artykuły w czasopismach wówczas nie były podpisywane), wystąpil z całą namiętnością do walki z najpotężniejszą osobistością w Królestwie Polskim, jaką był książę Ksawery Lubecki. Mochnacki zamierzał zdobyć wszystko płomienną wymową. Lubecki puścił w ruch inne sprężyny: plotkę i podstęp. Mochnacki powołał do życia zbrojny Klub rewolucyjny pod nazwą Towarzystwo Patriotyczne i spowodował obalenie potężnego ministra. Lubecki zmiótł Klub. Gdy zaś spadło z piedestału jedno widmo reakcji — Lubecki, na widowni politycznej wyrastało już inne w osobie Chłopickiego. Teraz najwybitniejszy rewolucjonista tej chwili — Mochnacki — został wzięty za cel pocisków reakcji. Wypominano mu w pismach „sztukę wycinania kartek, mówiących o wolności, z książek francuskich i niemieckich, w której tak dzielnie się ćwiczył pod przewodnictwem Szaniawskiego", o którym było wiadomo, że uciekł z Warszawy w obawie przed wybuchem. Pomawiano Mochnackiego o dążenie do zagarnięcia władzy, co w oczach ogółu uchodziło za szczyt bezczelności: jakiś tam literat na miejsce „imion historycznych" i bohaterów narodowych. Tłum przecie nie domyślał się, że „bohater" — Chłopicki, stając jako dyktator na czele powstania, zamierza pakto-

wać potajemnie z carem. Tłum straszono, że Mochnacki ma chęć naśladowania Dantona i Robespierra. Rozsiewano pogłoski, że Mochnacki stał się przyczyną niemal śmiertelnego zachorowania, ubóstwianego w owej chwili Chłopickiego. Oskarżenia były nieprawdziwe lecz lansowane zręcznie i skutecznie. Reakcyjna propaganda robiła swoje. Złożona z młodzieży uniwersyteckiej Gwardia Honorowa wykreśliła Mochnackiego ze swej listy. Dowódca Gwardii dokonał rewizji w mieszkaniu Mochnackiego i zaocznie wydał wyrok śmierci. „Dn. 5 grudnia, a 7-ego dnia rewolucji" (jak sam datował) ogłaszał Mochnacki „odwołanie fałszywych pogłosek", lecz cóż znaczy słowo drukowane wobec potęgi szerzonej z ust do ust plotki. Nastroje przeciw Klubowi rosły. Mochnacki znalazl się nie tylko osamotniony, ale i napastowany przez tłum. Trzeba było szukać schronienia, i, jak na ironię losu, znalazł je młody trybun w gościnnych pokojach swego przeciwnika — Lubeckiego. Gościna trwała zaledwie dni kilka.

Potem miał Mochnacki według jego monografistów wyjechać na Wołyń, ale dotarł jakoby tylko do Lublina. Sam Mochnacki twierdzi, że przez cały czas trwania dyktatury był w Warszawie, ale brak artykułów w prasie z jego podpisem każe historykom przypuszczać że nie było go w stolicy. Idą więc za opowiadaniem matki, jak gdyby istniała kiedy matka, która potrafi w opowiadaniu o synu być ścisła. Według Śliwińskiego „wycieczka nie trwała długo, bo już 14-ego grudnia widzimy znowu Mochnackiego w Warszawie". Oszczercza plotka o wyjeździe przeżyje Mochnackiego. Na emigracji jedno z pism w nekrologu napisze: „potem pogodził się z Chłopickim przez d ź w i ę c z n y[1] w Lubelskie wojaż."

Mochnacki tymczasem przez cały grudzień był czynny w Warszawie i to bardzo. Dnia 3 grudnia datował swe „Odwołanie". Potem ukrywał się u Lubeckiego. Już 10 grudnia widzimy go w drukarni Gałęzowskiego.

Próbował prowadzić uzbrojoną Szkołę Podchorążych na Lubeckiego. Naraził się przy tym Wysockiemu. Czuł też, że utracił kredyt u Lelewela. Pisze więc omawianą „Wiadomość o tajnym towarzystwie". Po czym „wszyscy, którzy jakikolwiek udział mieli w związku", zebrali się w mieszkaniu Adolfa Cichockiego, epigona dawnego Towarzystwa Patrio-

[1] Dźwięczny, tzn. brzęczący, czyli za monetę.

tycznego Narodowego, byłego więźnia karmelickiego i wydawcy „Kuriera Polskiego". Wysocki odczytał tam swój elaborat. Mochnacki mógł prosić Wysockiego o odczytanie i nie wyjawianie niepopularnego w tej chwili autora. Intencję czytania zdradzają słowa Leonarda Rettla: „redakcja ta niczyjej nie wywołała protestacji". Chodziło widocznie o konfrontację, czy nie ma jakich nieścisłości. Już wtedy znaleźli się ludzie — pisze dalej Rettel — którzy naganiali to odsłonienie tajemnic sprzysiężenia, jako akt wielkiej nieostrożności, jakby przewidywali, że kiedyś komisjom śledczym moskiewskim za główny posłuży dokument". Ciekawy szczegół do ilustracji ówczesnych nastrojów „rewolucyjnych". Co więcej, jeden z wymienionych w „Wiadomości" redaktor Franciszek Grzymała, nie znający Wysockiego osobiście, przystąpił do niego na ulicy, przedstawił się i nalegał, by artykułu nie ogłaszać.

Mochnacki jednak robił swoje, dążył do wytkniętego celu. Oddał artykuł do złożenia. W drukarni miał coś do powiedzenia, gdyż z dniem 10 grudnia stawał się jednym z dwu redaktorów odpowiedzialnych „Kuriera Polskiego". Pisywał w nim jeszcze przed wybuchem. Ostatnio musiał bywać w związku z montowaniem nowej redakcji, więc nie napotkał trudności w drukarni. Rękopis artykułu, jak twierdzi kierownik drukarni, w zeznaniu przed Najwyższym Sądem Kryminalnym, był napisany ręką Mochnackiego.[2]

Domyślamy się, że Mochnackiemu zależało na tym, by pokazać, że o przygotowaniach do powstania wiedziało wielu ludzi wpływowych, że z niejednym z nich spiskowcy się naradzali. Wymieniając te „historyczne imiona", czynił ich niejako współodpowiedzialnymi za to, co się w tej chwili działo. Poza tym pragnął „zrewolucjonizować" członków sprzysiężenia. Wymienił ich w artykule aż 46-ciu. Z tej liczby Tokarz w wyczerpującej monografii poświęconej temuż samemu tematowi, nie miał sposobności wymienienia 6-ciu. Nazwiska Mochnackiemu były potrzebne. Ukazywał *ad oculos* podchorążych, oficerów różnych pułków, studentów uniwersytetu i literatów. Gawiedź mogła ich teraz pokazywać palcem na

[2] Tu należy wyjaśnić, że artykuł niniejszy był źródłowo opracowany przed wybuchem wojny. Wskutek powstania warszawskiego 1944 roku rękopis artykułu wraz ze wszystkimi materiałami naukowymi autora zaginął i wobec tego fragment dotyczący zeznań drukarza wypadło odtworzyć z pamięci, zużytkowując tylko te szczegóły, co do których ma się pewność ścisłości.

ulicy. „Wydrukowani" zaś czuli się niejako zobowiązani do kontynuowania zaczętego dzieła. Wymieniając Anastazego Dunina-obywatela wołyńskiego, czy Józefa Kozłowskiego — patrona (t. zn. obrońcę sądowego), sugerował czytelnikowi rozgałęzienie spisku. A przy tym wszystkim piekł swoją pieczeń. Czytelnik artykułu mógł tu dojrzeć Mochnackiego wcale nie popędliwego, ale skorego do zgody, więc o cechach wręcz odmiennych niż powszechna głosiła fama. Nie można tylko było pisać tego samemu o sobie. Anonimowości było dość w prasie wydawanej pod cenzurą przed powstaniem. Od dzisiaj miała zapanować nowa zasada jawności i odpowiedzialności autorskiej.

Wpadł tedy Mochnacki na pomysł. Gdy już artykuł był złożony, sprowadził Wysockiego do drukarni, ale nie „podsunął mu tak gładko do podpisu gotowiuteńkiego artykułu", jak to wywnioskował Tokarz, zwiedziony zeznaniem Wysockiego. W drukarni rozegrała się dramatyczna scena. Na czele korektowej odbitki artykułu widniało nazwisko Wysockiego, ale pan redaktor prosił jeszcze o zezwolenie na taki podpis: „Pisałem w Warszawie dnia 9 grudnia 1830 r. Piotr Wysocki, podporucznik Wojsk Polskich". Podporucznik się nie godził, zapytywał redaktora, dlaczego nie podpisuje sam. Na wyjaśnienie, że „Wiadomość" o spisku wojskowym musi być podpisana przez wojskowego, Wysocki proponował:

— Podpisz imieniem Kamila!

Mochnacki przedkładał, że brat, aczkolwiek też podporucznik, jest za młody. (Kamil Mochnacki liczył wówczas lat 24, a Wysocki 31 lat.) Spierano się o rozmaite szczegóły. Krzyk był nie mały. Wszyscy składacze przyglądali się kłótni. Wysocki w ferworze mało nie rozsypał czcionek. Mochnacki nie ustępował, dając upust swojej wymowie. Wreszcie Wysocki rozgniewany, ale i wyczerpany wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami. Wówczas Mochnacki siadł do korekty, pracował bardzo długo, poczynił wiele zmian i przeróbek. Wskutek tego nr. 357 „Kuriera Polskiego" w dniu 10 grudnia 1830 r. nie ukazał się wcale. Wyszedł dopiero nazajutrz rano. O godz. zaś 5-ej wieczór, jak zwykle, ukazał się następny nr 358 z datą właściwą.

Na czele interesującego nas nr 357 „Kuriera Polskiego", bezpośrednio pod winietą tytułową, ukazała się nowość: między dwiema linijkami skład redakcji. Szczegół ten miał być odtąd

rzeczą stałą, a stanowił inowację w dotychczasowych zwyczajach prasy polskiej. Napis brzmiał: „Właściciel dziennika „Kurier Polski" ma zaszczyt donieść publiczności, że od dnia dzisiejszego do tego pisma, poświęconego dobru obecnej sprawy naszej, należą osoby następujące: Joachim Lelewel, Wincenty Niemojewski, Bonawentura Niemojewski, Ludwik Osiński, Albert Grzymała, Kazimierz Brodziński, Piotr Wysocki, Zwierkowski (Walenty), Artur Czarny Zawisza, Józefat Bolesław Ostrowski, Aleksander Kaz. Pułaski (charakterystyczne bez „ksiądz"), Maurycy Mochnacki, Bohdan Zaleski, Bazyli Mochnacki (ojciec), Franciszek Zakrzewski, Ludwik Nabielak, Jan Ludwik Żukowski, Marceli Pomaski, Redaktorami odpowiedzialnymi za regularne wychodzenie pisma są: Maurycy Mochnacki i Jan Ludwik Żukowski". Gdy się przyglądamy tej liście, to widzimy, że poza sześcioma ustalonymi na ówczas wielkościami, wymienionymi na czele, następni byli to *tutti-quanti*, a przede wszystkim członkowie zmiecionego, zdawałoby się, z powierzchni ziemi Towarzystwa Patriotycznego. Więc klub już po sześciu dniach się odradzał. Czyż można pomyśleć, by się to stało bez udziału inicjatora, współtwórcy i wiceprezesa — Mochnackiego?

Opóźnienie jednakże numeru, nieumieszczenie w nim artykułu programowego (kamień obrazy dla takich mentalności jak bracia Niemojewscy) zajęcie aż 7½ stron na 8-stronicową całość, wszystko to musiało wywołać nie mało kwasów w redakcji. Na czele numeru 358 ukazał się artykuł programowy, a przy końcu numeru uwaga, że nowa redakcja nie zaczęła działać od wczoraj, „albowiem dzisiejszy numer jest pierwszy który pod jej wpływem jest napisany".

Wszystko jednak byłoby się tam jakoś ułożyło między swymi, ale ważniejsze, iż strona przeciwna nie spała. W tym samym dniu, kiedy się ukazały oba omawiane numery „Kuriera Polskiego" na łamach organu Lubeckiego „Polak Sumienny" odgrzewano wiadomość, iż „w dn. 4 b. m. rozeszła się pogłoska" o ciężkim zapadnięciu Chłopickiego na zdrowiu. — Już następna notatka mówiła, że „jeden z członków" Towarzystwa Patriotycznego znieważył powszechnie szanowanego patriarchę Niemcewicza. Oczywista, że plotka wiadomości te kojarzyła i uzupełniała nazwiskiem młodego „Robespierra". Reakcyjna propaganda działała. Po dwu tych notatkach następowały aż trzy czołobitne „odezwy" w imieniu Gwardii Akademickiej: do Czartoryskiego, prezesa Rządu Tymczasowego, do Chłopic-

kiego, naczelnika najwyższej siły zbrojnej narodu i do Juliana Ursyna Niemcewicza.

Mochnacki widział do czego tamci zmierzają i chyba to on sam spowodował, że drukowana w tejże drukarni „Gazeta Polska", której współpracownikiem był przed powstaniem, ogłosiła w dwu numerach 12 i 13 grudnia przedruk „Wiadomości". Następnego zaś dnia, 14 grudnia, ukazał się „Dodatek do Kuriera Warszawskiego nr 335". Był to już drugi przedruk „Wiadomości" wydany tym razem w postaci osobnej 8-stronicowej broszury, formatu większego od samego „Kuriera" (21 X 17 cm).

Wydanie broszurowe ustaliło pseudonim Mochnackiego. A trzeba zaznaczyć, że pseudonim, który jest nazwiskiem osoby innej, — rzeczywistej, nazywa się w bibliografii allonimem.

Po trzech następnych dniach — 17 grudnia — ukazała się broszura w nowym nakładzie, obecnie jako „Dodatek do Gazety Warszawskiej nr 335". Odbita była z tego składu co i przy „Kurierze", tylko tym razem na lepszym papierze, odpowiadającym temu, na jakim była tłoczona „Gazeta". Dodajmy, że złożono broszurę inną czcionką niż używana do „Kuriera Warszawskiego" czy „Gazety Warszawskiej".

W ten sposób przez cały tydzień „Wiadomość" trafiała niemal codziennie do rąk czytelników aż czterech najpoczytniejszych gazet i dłuższy czas mogła krążyć w dwu nakładach broszury. Trudno przypuścić, by bez niczyich zabiegów gazety chciały przedrukowywać obszerny artykuł. Musiał ktoś o to się starać. A był to propagandysta nielada, potrafił taką rzecz bez totalizmu i zglajchszaltowania prasy. Wątpimy, by się to działo bez co najmniej, udziału Mochnackiego.

Tymczasem wypadło jeszcze podpisać do druku, tłoczony już od połowy października tom pierwszy „O literaturze polskiej w XIX wieku", które to dzieło jest jak wiadomo, jednym z kamieni węgielnych sławy Mochnackiego. A walka polityczna trwała dalej. W „Kurierze Polskim" z dnia 17 grudnia umieścił Mochnacki dwulicowy artykuł o Lubeckim, replikę na obszerną „Odezwę w obronie zasłużonego męża", ogłoszoną jako dodatek do „Polaka Sumiennego". Ponieważ do uszu Mochnackiego dolatywało: „były cenzor", więc w tymże numerze „Kuriera Polskiego" ogłosił list Szaniawskiego, pisany doń w r. 1827. List ten miał służyć na dowód tego, że „nie ćwiczył się w sztuce wycinania kartek z pism mówiących o wolności". Autograf Szaniawskiego podejmował się każdemu

okazać lecz nie mógł się doczekać, by redakcja „Polaka Sumiennego" umieściła ten list „w imieniu prawdy". Widział się tedy zmuszony do napisania własnej apologii pod postacią apokryficznych Pamiętników woźnego cenzury.[3]

Nie czuli się jakoś swojo obok siebie doktrynerzy konstytucyjni spod znaku braci Niemojewskich i gorący radykali spod znaku Mochnackiego. Musieli się tedy rozwieść. Konstytucjonaliści pozostali przy „Kurierze Polskim", Klubiści założyli bodaj specjalną drukarnię przy ul. Aleksandria (dzisiaj Kopernika), skąd dnia 5-ego stycznia r. 1831 zaczęła się ukazywać „Nowa Polska — dziennik polityczny i naukowy".

Tu na nowo zaczęło się skupiać Towarzystwo Patriotyczne. 18-ego stycznia zniknął z widowni politycznej dyktator Chłopicki. Nazajutrz w salach redutowych zebrał się klub i Mochnacki „po długim prześladowaniu przyjęty z najwyższymi oklaskami" został ponownie faktycznym leaderem, aczkolwiek tylko z tytułem wiceprezesa.

W zmienionych warunkach nadarzyła się sposobność wydania „Wiadomości o tajemnym towarzystwie" po niemiecku, dla propagandy zagranicznej. Oczywista pod tym samym allonimem.

Pierwszy artykuł w „Nowej Polsce" z podpisem *M. M.* spotykamy dopiero w nrze 22-im z dn. 26 stycznia. To Maurycy Mochnacki, uporawszy się z wrogami, ukończywszy prace organizacyjne wracał do publicystyki-rzemiosła, w którym był urodzonym artystą.

---

[3] Zob. Świerkowski K.: „M. Mochnacki pod maską woźnego cenzury". Przegląd Księgarski — 1930.

Ludwik Skurzak

CYWILIZACJA DORZECZA INDUSU

Na szerokiej przestrzeni od Indii środkowych do Pendżabu, od Beludżystanu do doliny Gangesu ciągną się całe szeregi ruin, pozostałość dawnej wielkiej cywilizacji zwanej dziś cywilizacją dorzecza Indusu. Ze znanych dzisiaj centrów tej cywilizacji dwa są najważniejsze, jedno w Sind, Mohenjo-daro,*) miejsce zmarłych w języku miejscowym, drugie Harappa w Pendżabie.

Na ruiny Harappy, ciągnącej się na szerokiej przestrzeni wielu kilometrów, dawno zwrócono uwagę. Znajdowano tam nieliczne zresztą pieczęcie z dziwnym alfabetem, z którego to pisma w XIX w. gen. Cuningham wywodzi, i słusznie zdaje się, powstanie staro-indyjskiego alfabetu brahmi. Specjalnych jednak badań nad tymi ruinami nie prowadzono, owszem przez cały w. XIX. służyły one jako kamieniołomy dla okolicznych chłopów, a później użyto ruin Harappy przy budowie kolei Multan-Lahore. Nie przypuszczano jakie niespodzianki dla nauki, dla poznania dziejów ludzkości kryją w sobie te ruiny. Dopiero przy odkopaniu Mohenjo-daro spostrzeżono, że mamy tu do czynienia z nową cywilizacją nieznaną, równie wielką i wspaniałą jak szumersko-babilońska czy egipska, tylko od nich zdaje się o wiele starszą. Odkrycie nastąpiło przypadkowo w r. 1922 przy rozkopywaniu klasztoru i stupy buddyjskiej w Mohenjo-daro z lat. 300—150 przed Chr. Przy wykopaliskach natrafiono na starsze warstwy, przy badaniach okazało się, że są one resztkami wspaniałej nieznanej cywilizacji. Zainteresował się tym J. Marshall,[1] dyrektor Oddziału badań archeologicznych w Indjach, i po otrzymaniu odpowiednich kredytów w r. 1925, przystąpił do dalszej pracy wykopaliskowej, która dała niespodziane rezultaty. Odkryto nową cywilizację, cywilizację doliny dorzecza Indusu.

Mohenjo-daro nie jest największą miejscowością, ale najlepiej zachowaną i wszelkie badania nad tą cywilizacją odbywają się przede wszystkim na podstawie wykopalisk w tym

*) Czytaj: Mohendżo-daro.

[1] J. Marshall: Mohenjo-daro and the Indus Civilisation. London, 1931. 3 t. (dzieło podstawowe.)

mieście. Do najstarszych warstw Mohenjo-daro nie można było dotrzeć ponieważ Indus podniósł swe koryto i warstwy te są zalane.

Z jakiego okresu pochodzi cywilizacja Indusu?

O chronologii wnioskować możemy na podstawie wykopalisk w Mezopotamii, gdzie znaleziono mnóstwo tabliczek i pieczęci indyjskich, (że pieczęcie są indyjskie, wykazują prócz techniki wyobrażenia zwierząt na tych pieczęciach żyjących tylko w Indiach, jak słoń, nosorożec). Gdy udało się ustalić chronologię wykopalisk w Tel-Asmar, w których warstwach znaleziono właśnie zabytki indyjskie, na rok mniej więcej 2500 prz. Chr. otrzymaliśmy pewną datę cywilizacji doliny Indusu. W starszych jeszcze warstwach od 3000—2500, znajdujemy ceramikę importowaną z Indii. Jakiego pochodzenia była ludność Mohenjo-daro trudno rozstrzygnąć. W każdym razie nie ariowie, bo w chwili wkroczenia ariów do Indji miasta te były już w ruinach.

Szkieletów ludzkich znaleziono tu niewiele; należą one do rasy protoaustralijskiej, śródziemnomorskiej, alpejskiej i mongolskiej. Ze znalezisk tych trudno jednak wyciągnąć jakieś wnioski. Szkieletów jest mało, a w centrum handlowym, jakim było Mohenjo-daro, musieli żyć ludzie z różnych stron i krajów. Ludność była dość niskiego wzrostu 1,61 cm, — 1,43 cm, 1,32 cm dla mężczyzn i kobiet rasy śródziemnomorskiej, 1,52,5 cm dla proto-australijskiej, również wysokość pokoi mohenjo-darskich wskazuje, że były budowane dla ludzi niskiego wzrostu.

Co było powodem upadku miasta?

Jest rzeczą pewną, że miasto było zniszczone i ludność wymordowana w jakimś napadzie. Szkielety (nieliczne zresztą) porozrzucane grupami w różnych miejscach wskazują, że ludność zginęła śmiercią gwałtowną. Nie zniszczyli go Ariowie, bo w chwili ich wkroczenia Mohenjo-daro leżało już w gruzach. Mackay[2] przypuszcza, że był to napad rozbójniczych plemion górskich pobliskiego Beludżystanu, mieszkających w odległości 70 km od Mohenjo-daro a trudniących się jeszcze w XIX w. grabieżą. Byli oni stałą groźbą dla miasta, aż w jednym z napadów zadali mu cios ostateczny.

Odkrycie ruin w miejscowości Ali-Murad, gdzie przy wykopaliskach odkryto resztki potężnego fortu leżącego na

[2] Mackay E: Die Induskultur. Leipzig 1938.

przełęczy gór Khirta, wskazywałoby, że niebezpieczeństwo napadu stale wisiało nad kwitnącymi miastami Indusu.

Kto był twórcą tej cywilizacji?

Wüst[3] podaje cztery możliwości.

1. Wykluczyć trzeba Ariów, bo ich przybycie na te tereny datuje się o wiele później.

2. Mogliby nimi być Drawidowie. Zważywszy że rozsiedlenie Drawidów w dawnych czasach sięgało aż do Beludżystanu, gdzie do dziś pozostały ich resztki w postaci szczepu Brahui, który oddzielony od swych braci z Indii południowych morzem aryjskim, do dziś zachował swój język, ale udowodnić to trudno, choć niektórzy badacze jak Kern[4] bezwzględnie przypisują Drawidom stworzenie cywilizacji Indusu.

3. Teza szumerska ma dużo prawdopodobieństwa, podobieństwo dwóch cywilizacji (pismo) świadczyłoby, że ten sam naród tworzył je. Jednak dowodów ścisłych że Szumerzy i twórcy cywilizacji Indusu byli jednym i tym samym narodem, brak.

4. Najbardziej jednak prawdopodobne jest, że twórcami tej cywilizacji byli autochtonowie, tak samo jak ludy autochtoniczne stworzyły cywilizację Nilu czy Eufratu.

Miasto zbudowane jest na nizinie regularnie według planu. Ulice biegną w czterech kierunkach i przecinają się pod kątem prostym. Szerokość ulic większych dochodzi od 10 m do 5,5 m i 4 m a małych od 2—3 m. Ulice nie są brukowane. Domy ciągną się linią prostą wzdłuż ulicy, kładziono nacisk, by linia była prosta i nie psuła symetrii. Budowano je z cegieł wypalanych i nie wypalanych różnej wielkości i różnego kształtu. Rozmiary cegieł były od 26 × 12,7 × 5,7 aż do 52 × 21,6 × 5,7. Wielkie cegły służyły do krycia kanałów, cegły o kształcie klinowym do budowania studni, cegieł mniejszych o wymiarze 24,13 × 11 × 5 używano do wykładania posadzek. Kamienia przy budowie nie używano prawdopodobnie z braku odpowiedniego materiału. Jako zaprawa murarska służyła glina, sama albo zmieszana z wapnem lub gipsem. Wejście do domów znajdowało się w tyle od podwórza. Przeciętna wielkość domów była 8 × 9, choć spotyka się i większe budowle. Grubość pozostałych murów wskazuje, że domy były wielopiętrowe. Schody prowadzące do górnych pomieszczeń budowano

[3] Wüst W.: Über die neuesten Ausgrabungen im nordwestlichen Indien. (Zeitschrift der Deutschen Morgenländ. Gesellschaft. NF-B 6 p. 259 nst. 1927).
[4] Kern F.: Die Anfänge der Weltgeschichte. Leipzig-Berlin, 1933.

z drzewa lub cegieł. Okien brak, światło przedostawało się przez drzwi (w gorącym klimacie, jak słusznie zauważono, broniono się raczej przed słońcem), wielkie dzbany gliniane służyły jako szafa (zwyczaj do dziś zachowany). Każdy prawie dom miał łazienkę. Budowano je od frontu, by ułatwić odpływ wody. Gdy łazienka znajdowała się na piętrze, wtedy wpuszczano w mur kanał, który odprowadzał wodę do kanałów ulicznych. Łazienki wyłożone były cegłami ściśle przylegającymi, w ten sposób uniemożliwiano przesiąkanie wody. W jednym rogu posadzka była pochyła w celu ułatwienia odpływu wody. Do dziś znachodzą się w łazience resztki dzbanów i zabawki dziecinne.

Przez każdą ulicę ciągnął się kanał główny mniej więcej 30 cm głębokości i 23 szerokości. Budowane były z cegieł, jako zaprawy murarskiej używano również gliny samej lub mieszanej z wapnem lub gipsem, kryte były płytami ceglanymi, w rzadkich wypadkach płytami z wapnia, kanały mniejsze z poszczególnych domów odprowadzały nieczystości do kanałów głównych. By nie przeciążać kanałów kanalizacji miejskiej, budowano koło domów doły chłonne na wodę zużytą i śmietniki. Gdy otwór był pełny, woda spływała wtedy do kanałów miejskich. W pewnych odstępach kanały miejskie miały otwory kryte, wyłożone cegłami, prowadziły do nich schody, co pewien czas oczyszczano je, spływał tam nadmiar wody z kanałów. Gdy z powodu nierówności terenu, jeden kanał był niżej położony, miejsce gdzie spadała woda z kanału wyższego, wykładano cegłami, by ustrzec je od zamulenia.

Poza miastem zbudowane były prócz tego wielkie zbiorniki sklepione z cegieł. Zbierały one wodę deszczową, którą odprowadzały kanały. Studnie, zwykle okrągłe, były publiczne i prywatne po domach. Ziemia przy studniach publicznych wyłożona była cegłami, ocembrowanie nie wysokie, średnica studni od 60 cm do 2,10 m, przeciętna 90 cm.

Jeszcze na jedną ciekawą budowlę należy zwrócić uwagę, mianowicie na wielki basen kąpielowy 11,77 × 7 m, do którego z dwóch przeciwnych stron prowadziły schody. Nieco dalej od tego basenu, znaleziono grupę łazienek; przypuszczają, że miały one charakter sakralny i przeznaczone były dla kapłanów.

Na podwórzu domów była kuchnia (znane też były mniejsze kuchenki w domach) i okrągły piec piekarski, podobny jak

w Mezopotamii, i żarna z twardego kamienia. Ze zbóż znane były pszenica i jęczmień, które znachodzą się zwęglone w wykopaliskach.

* * *

Ubiór kobiet, jak widać z odkopanych figurek, składał się zasadniczo z krótkiej spódniczki sięgającej do kolan, podtrzymywanej paskiem z różnego materiału, ubiór do dziś zachowany w tych okolicach. Rzadko spotyka się u kobiet krótki płaszcz do bioder sięgający, okrywający barki i zostawiający piersi odkryte. Na głowie nosiły artystycznie upięty turban. O ubiorze męskim trudno powiedzieć coś pewnego: sądząc z figur męskich na pieczęciach, mężczyźni albo chodzili nago albo używali małej przepaski. Na podstawie innych danych możnaby sądzić, że nosili suknie idące od lewego ramienia pod prawe, spięte na piersiach. Mężczyźni stroili się w różne fryzury np. włosy na środku głowy rozdzielone a pukle przewiązane opaską albo zebrane w kilka węzłów, we włosach często grzebienie; na ogół fryzury te podobne są do szumerskich.

Różna też moda obowiązywała przy noszeniu brody i wąsów. Noszono czasem krótkie brody i golono wąsy, albo brody były płaskie, sztywne, lub podgięte w tył.

* * *

Przechodząc z kolei do ceramiki i wyrobów przemysłu, nużącym byłoby wyliczanie poszczególnych obiektów, wykazać raczej należy charakterystyczne cechy tego przemysłu.

Znane było koło garncarskie i zachowały się piece do wypalania garnków. Piec był okrągły o średnicy 2 m, na podłodze stawiano garnki a ogień podtrzymywano pod podłogą. Naczynie zwykle na tle czerwonym, malowano we wzory czarne, w koła przecinające się, w szachownicę (pola czerwone i czarne), znana był ornamentyka drzewna, w trójkąty; rzadko występuje ornamentyka zwierzęca. W naczyniach ozdabiano zwykle tylko część górną. Osobliwością ceramiki mohenjodarskiej i znaną jedynie w kręgu tej cywilizacji były naczynia ozdobione wypukłościami, jakby guzami. Naczynia te eksportowane były daleko aż do Mezopotamii, gdzie znaleziono je w wykopaliskach Tel-Asmar. Naczynia mohenjodarskie noszą czasem specjalne znaki. Sztuka jubilerska w pewnych dziedzinach stała bardzo wysoko. Zachowały się naszyjniki z pereł o świetnym wykonaniu. — Znane były: miedź i cyna,

umiano robić z nich pierwszorzędne stopy, które służyły do wyrobu naczyń. Naczynia były albo z blachy kutej, albo lane, a później szlifowane. Srebro znano, ale mało było używane. Niektóre bronzowe siekierki przypominają swą formą siekierki znalezione na Kaukazie i Iranie. Osobliwością wykopaliskową jest piła bronzowa 42 cm długa, jest to jedyne dotychczas znalezisko tego rodzaju. — Wspomnieć należy też o dwóch wspaniałych figurkach z bronzu, mianowicie o figurce tańczącej dziewczynki i drugiej bawołu, wysokiej wartości artystycznej. Kultura rolna musiała być rozwinięta, zważywszy, że miasto zużywało niemało żywności. Narzędzia rolnicze nie zachowały się, chyba tylko o wozach ówczesnych możemy mieć pojęcie na podstawie znalezionych glinianych wózeczków dziecinnych. Są one identyczne z dzisiejszymi wozami tej okolicy. — Uprawiano bawełnę, pszenicę, jęczmień, melony, daktyle, gdyż znaleziono resztki materii bawełnianej, spalone nasienie pszenicy i jęczmienia oraz nasiona daktyli i melona.

Pismo[5] cywilizacji dorzecza Indusu znane już było w XIX w. z napisów na pieczęciach znalezionych w Harappie i wówczas już gen. Cunningham próbował je odczytać, ale dopiero większa ilość tych napisów znaleziona w Mohenjo-daro umożliwiła badanie nad tym pismem. O ile chodzi o pochodzenie tego pisma, wszyscy na ogół zgadzają się, że jest ono podobne do pisma proto-elamickiego w Mezopotamii, które było dla niego może wzorem. Próby odczytania tego pisma, aż do wybuchu wojny zawodziły.[6] Stwierdzono, że staro-indyjski alfabet brahmi pochodzi z pisma dorzecza Indusu. Mimo więc upadku Mohenjo-daro i innych ważniejszych miast, cywilizacja ta przetrwała w innych częściach Indii do czasu wkroczenia tam Ariów. Łącznikiem między pismem dorzecza Indusu a pismem brahmi ma być alfabet odkrytego niedawno napisu w Vikramakhole w Sambalpur.

* * *

W przedstawieniu religii ludzi cywilizacji dorzecza Indusu musimy być bardzo ostrożni. Jedynym naszym źródłem są wy-

[5] Wüst j. w.; A. Hertz: The Origin of the Proto — Indian and Brahmi Script. Indian Historical Quarterly XIII, 389 i nast.; Sur A, Origin of Indus Valley Script I. H. A. IX str. 582.

[6] B. Hrozny sądzi, że udało mu się odczytać, niektóre pieczęcie z dorzecza Indusu, opierając się na podobieństwach tego alfabetu z alfabetem hetyckim. Twierdzenia jego spokały się z ostrym sprzeciwem niektórych uczonych. — Hrozny, B. über die älteste...

kopaliska: figury sakralne i pieczęcie-amulety. Interpretacja ich rzeczywistego znaczenia może często być zawodną, dającą pole do snucia fantastycznych hipotez i pisaniu na ten temat całych rozdziałów. Świątyń nie dało się dotychczas z całą pewnością zidentyfikować.[7] Kilka jednak faktów potwierdzonych przez dzisiejsze wierzenia hinduskie możemy uważać za pewne. Pierwszym z takich faktów jest kult Śiwy dzisiejszego (wówczas mógł on nosić inne imię). Znaleziono jedną z pieczęci w Mohenjo-daro, na której przedstawione jest bóstwo o trzech twarzach, siedzące w pozie yogina, ozdobione naszyjnikami i branzoletami, otoczone zwierzętami. Zasługą Marshalla jest, że pierwszy zidentyfikował to bóstwo z dzisiejszym Śiwą-Paśupatim (t. j. Śiwą panem stworzeń zwierząt). Dziś wszyscy zgadzają się, że mamy tu prototyp dzisiejszego Śiwy. Śiwa dzisiejszy ma wszystkie cechy wspólne z bóstwem wyobrażonym na pieczęci.

1. Śiwa w dzisiejszej ikonografii ma również 3, 4, 5, twarzy.
2. Dziś, tak samo jak na pieczęci, przedstawia się Śiwę w postaci yogina siedzącego ze skrzyżowanymi nogami.
3. Teraz przedstawia się też tak samo jak na pieczęci Śiwę otoczonego zwierzętami.

Dane przedstawione na tej pieczęci upoważniają nas do wysnucia jeszcze jednego wniosku, mianowicie kwestii początków ascetyzmu indyjskiego. Zważywszy, że z kultem Śiwy łączy się jak najściślej ascetyzm indyjski i że on patronuje ascetom najróżnorodniejszych kategorii (czego ślady historyczne mamy już w epoce zamierzchłej w Rigwedzie, gdzie asceta wizjoner idący w ekstazie przez góry, lasy złączony jest z Rudrą, późniejszym Śiwą), możemy bez wahania twierdzić, że początków ascetyzmu indyjskiego, który tak wybitną rolę odegrał w rozwoju myśli indyjskiej, musimy szukać w religji cywilizacji doliny Indusu, w kulcie Śiwy-yogina, ascety nagiego, przebywającego w górach, lasach i po cmentarzach. Znaleziono dalej liczne statuetki kobiece nagie, z opaską tylko, przedstawiające Matkę Bogów, której kult powszechny w owych czasach od morza śródziemnego aż po Indus zachował się w Indiach do dzisiaj, gdzie czczą ją jako bóstwo broniące od złych duchów, dające płodność i jako opiekunkę wsi i domów. Przyłuski widzi w Kali, bogini dzikich, nie aryjskich

[7] Możliwe, że w cywilizacji Indusu, podobnie jak i na Krecie nie było specjalnych świątyń.

szczepów Śabarów, Pulindów, Matkę Bogów (The Great Goddes in India and Iran I. H. Q. X 405 n.: From The Great Goddes to Kala I. H. Q. XIV 267).

Prawdopodobnie istniał też kult lingi. Znaleziono szereg przedmiotów podobnych do obiektów fallicznych kultu dzisiejszej sekty Lingayatów. Znaleziono dalej liczne pieczęcie, na których wyobrażone są drzewa, w połączeniu często z bóstwem, jak n. p. na jednej pieczęci mamy drzewo, a wśród konarów stoi bóstwo, przed nim klęczy nagi wyznawca; przypomina to znanych z późniejszej literatury, n. p. buddyjskiej, Yakszów, pół-bogów mieszkających w drzewach, którym składano tam ofiarę; drzewa przedstawiane na pieczęciach są drzewami „pipalu" (ficus religiosa), „nimby", do dziś uważane za święte w Indiach.

W Harappie znaleziono liczne przedmioty, naczynia i amulety na których wyryty jest wąż. Rozpowszechniony w Indiach kult węży („nagów") z wszelkim prawdopodobieństwem też bierze swój początek w religii cywilizacji doliny Indusu.

* * *

Przypadek odkrył nam wielką starą cywilizację, która okazuje nam dzieje tej części świata w nowym świetle. Zapytać się można jaki wpływ wywarła ta cywilizacja na późniejsze Indie, czy zaginęła bez śladu? — czy późniejsza aryjsko-indyjska cywilizacja powstała niezależnie od niej: i nic jej nie zawdzięcza?

Stwierdzić dziś już możemy, że prócz pozostałości kultury materialnej w okolicach Mohenjo-daro w postaci wozów, ubioru i ceramiki, wywarła ona decydujący wpływ na myśl indyjską i chwila, gdy ten wpływ po wiekach powolnej infiltracji, w całej sile dochodzi do głosu, jest zarazem schyłkiem epoki wedyckiej i pierwszym brzaskiem nowego okresu-hinduizmu, u progu jego spotykamy pojęcia zasadniczo obce religii wedyckiej, jak pojęcie wędrówki dusz, Atmana, ascetyzm. Wszystko to koncentruje się w kulcie Śiwy, bogu niearyjskim, nieznanym Rigwedzie (bo i sam bóg rigwedycki Rudra, którego spotyka się w Rigwedzie i z którym później zidentyfikowano Śiwę, nie jest bogiem aryjskim, mimo, że teza jego aryjskości ma gorących obrońców). Późniejsze pisma wedyckie naprowadzają nas na pochodzenie Śiwy robiąc z niego boga różnego rodzaju rzemieślników i leśnego plemienia Niszadów, do tego stopnia, że w pewnych okolicznościach, gdy już kult

Siwy był ogólnie przyjęty, tylko członek tego plemienia miał prawo składać ofiarę temu bogu. Z Śiwą niearyjskim, łączą się asceci, również niearyjscy, a rozkwit ich to schyłek epoki wedyckiej i rozwój wielkiej myśli filozoficznej, która powstaje w ich pustelniach i która wycisnęła swe piętno na późniejsze Indie. W tej rzemieślniczej ludności miejskiej, w leśnym plemieniu Niszadów, wyznawcach Śiwy i jego kapłanach, którzy wobec ekskluzywizmu braminów przeszli tylko w równoległy stan duchowny, ascetów, szukać należy pozostałej ludności dawnej cywilizacji Indusu, przy powolnym zlewaniu się jej z ludnością aryjską. Pod jej wpływem, myśl Ariów indyjskich doszła do wspaniałego rozkwitu, podobnie jak na drugim krańcu ówczesnego świata, myśl grecka zapłodniona przez elementy dawnej obcej cywilizacji, doszła do swych wyżyn.

PRZEGLĄDY

NORWID DOPEŁNIONY

Cypriana Norwida PISMA ZEBRANE wydał Zenon Przesmycki. Tom F Pisma Prozą Dział drugi: O sztuce i literaturze. MCMXI. Warszawa—Kraków. 8-vo, Str. VIII-VI-496-V, tabl. 29.

Ostatnie tygodnie przyniosły nowość wydawniczą, o której od lat krążyły tajemnicze wieści wśród bibliofilów i miłośników twórczości Norwida, tj. piąty tom jego „Pism zebranych", przechowywany przez długich lat 35 w magazynach drukarni Anczyca w Krakowie. Można dopatrywać się dziwnej ironii losu w tym wydarzeniu, sprawdzającym złośliwe uwagi ludzi, którzy wydawcy darować nie mogli jego opieszałości i twierdzili, iż warunkiem ukazania się reszty dzieł Norwidowych jest śmierć Przesmyckiego-Miriama.

O śmierci tej w sposób prosty a w prostocie swej patetyczny prawi „Wstęp" pióra W. Borowego, relacjonujący, jak pod koniec września 1944 r., w ostatnich dniach nieszczęsnego powstania warszawskiego, na schodach domu nr 31 przy ul. Żurawiej zauważono śmiertelnie znużonego, wynędzniałego, milczącego starca." Był to Przesmycki, który w jakiś tajemniczy sposób dotarł tam ze swego zrujnowanego domu na Mazowieckiej, wzięty zaś do szpitala, umarł między 15 a 18 października.

Relację tę, niezupełnie pokrywającą się z danymi, które mi niegdyś nadesłano, uzupełnić mogę dodatkiem, iż zbiory norwidowskie Przesmyckiego, uratowane od zagłady przez Borowego właśnie, znajdują się dzisiaj chwilowo w Bibliotece Narodowej i czekają ręki która by się zajęła ich uporządkowaniem i wyzyskaniem w postaci pełnego, krytycznego, naukowo poprawnego wydania wszystkich dzieł twórcy „Promethidiona".

Wydany obecnie tom F, piąty z ośmiu projektowanych przed laty przez Przesmyckiego, stanowi ważny krok na drodze realizacji owego wydania. Nie dla tego, by przynosił jakieś niespodzianki, to bowiem, co zawiera (jak „Białe kwiaty", „Czarne kwiaty" „Menego", prelekcje „O Juliuszu Słowackim" itd.) znane jest od dawna choć nie zawsze dostępne, po za budzącym wiele zasadnych wątpliwości wydaniem zbiorowym Piniego, lecz dla tego, iż posiada kaleki wprawdzie, urwany w połowie zdania, ale oparty na gruntownej znajomości życia i dzieł Norwida komentarz wydawcy do objętych tomem utworów wielbionego przezeń pisarza. Komentarz ten, podobnie jak uwagi do czterech tomów poprzednich, razi nieraz swym tonem, Miriam jednak był tak wyjątkowym znawcą sztuki polskiej, zawartość zaś tomu jej właśnie dotyczy, że objaśnienia w tym wypadku budzą mniej zastrzeżeń, aniżeli przy utworach tomów poprzednich. Wagę zaś ich podnosi okoliczność, że prawdopodobnie opierają się w niejednym wypadku na źródłach dzisiaj już nieistniejących a co najmniej trudno dostępnych.

Ukazanie się tomu F nazwałem ważnym krokiem do uzyskania pełnego wydania puścizny poety, któremu w latach międzywojennych, a nawet jeszcze w roku ubiegłym poświęcono tyle zapisanego papieru, że gdyby jedną czwartą zużytej na to energii skierować na prace wydawnicze, dawno mielibyśmy wspaniałą edycję pism tragicznego pisarza emigracyjnego, tymczasem, jak wiadomo, jest ona wciąż jeszcze sprawą odległej przyszłości. Stygmat ruin fatalnie ciąży na dorobku Norwida. A jednak zachowanie się i ukazanie po tylu latach fragmentu pięknych zamierzeń Przesmyckiego pozwolą ufać, że plany jego znajdą realizatorów i nareszcie będzie można uchwycić „kompleks Norwida" nie drogą problematycznych domysłów lecz na podstawie ustalonych tekstów. Wówczas też dyskusje na tematy w rodzaju „Norwid a dzisiaj" przestaną być pustymi popisami dialektycznymi. J. K—i.

„ARCHIWUM MINERALOGICZNE"

Korzyści płynące z międzynarodowej centralizacji druku prac naukowych pewnej dziedziny wiedzy są tak oczywiste, że nie podobna ich dyskutować zwłaszcza, o ile centralizacja będzie zupełna. Tego jednak nie osiągnięto w żadnej prawie dziedzinie. Nieliczne jedynie czasopisma referatowe zestawiają w możliwie zupełny sposób dorobek naukowy pewnych dyscyplin. Natomiast rozprawy naukowe wykazują tendencje stałej decentralizacji. Czasy, gdy nasi uczeni dowiadywali się o pracach swych kolegów z literatury zagranicznej, uważać należy za minione.

W dziedzinie nauk mineralogicznych czasopisma o charakterze międzynarodowym skupiały się w Niemczech, decentralizacja zatem miała za jeden z celów wyzwolenie się od supremacji niemieckiej.

Podczas poprzedniej wojny światowej powstaje np. świetnie redagowane „The American Mineralogist", po wojnie „Bulletin Suisse de Minéralogie et Pétrographie" i inne. W Polsce także po odzyskaniu niepodległości zrodziły się tendencje uniezależnienia myśli naukowej od zagranicy. Wprawdzie istniały wydawnictwa Akademii Umiejętności, Tow. Nauk. Warszawskiego, „Kosmos" i inne, lecz prace z dziedziny tak specjalnej jak nauki mineralogiczne przechodziły niepostrzeżone w powodzi innych. Wspomnę tu przykładowo o pracy dwóch uczonych krakowskich, St. Kreutza i Zaremby o podstawach krystalografii geometrycznej, ogłoszonej w wydawnictwach Akademii za rok 1917 w języku francuskim. Dzieło to podstawowego znaczenia dla nauki pozostaje dotąd niemal nieznane zagranicy.

Dlatego grono mineralogów, skupiające się dokoła pracowni Mineralogicznej Tow. Naukowego Warszawskiego, powzięło myśl wydawania polskiego pisma mineralogicznego, którym jest wychodzące od 1925 roku Archiwum Mineralogiczne. Pismo ma na celu uzewnętrznienie polskiej myśli naukowej w dziedzinie nauk mineralogicznych nie tylko na użytek wewnętrzny, lecz przede wszystkim dla zagranicy. W tym celu prace polskie są opatrzone w obszerne streszczenia w językach obcych lub sa w nich całkowicie redagowane. Prace treści mineralogicznej ogłoszone w innych wydawnictwach polskich są referowane w języku francuskim. Ponieważ Archiwum docierało przed wojną do wszystkich ważniejszych ośrodków akademickich, przeto jego zadanie naczelne zostało wypełnione.

Nierzadkie są spory o przynależność narodową tego lub innego uczonego, jeśli wyniki jego badań nie są ogłaszane w języku ojczystym, a przy-

najmniej drukowane we własnym kraju.

Jest jeszcze inne uzasadnienie istnienia w Polsce odrębnego czasopisma mineralogicznego. Obok badań natury ogólnej w mineralogii, jak zresztą w wielu innych naukach ważną rolę odgrywają badania fizjograficzne. Badania te znajdowały się u nas w zaniedbaniu. Dowodem tego może być wydane w latach 1913—1922 18 tomowe kompendium Wiktora G o l d s c h m i d t a p.t. „Atlas Form Krystalicznych". W wyniku badań i opisu minerałów z pewnej miejscowości, pewnego rejonu czy terenu bywa podawany rysunek ich postaci krystalicznej, ściślej biorąc pewien rzut sporządzony według zasad geometrii wykreślnej, przedstawiający naturalny wielościan wzrostu w określonym położeniu umownym. Otóż Atlas Goldschmidta zestawia wszystkie takie rysunki ogłoszone aż do roku 1912, ogółem 25555 wykrystalizowanych minerałów. W opisach podane są miejsca pochodzenia tych minerałów i nazwiska badaczy. Udział Polaków w tych pracach stanowi zaledwie 0,2%. Czyżby stąd wynikało, że mineralogia nie jest w Polsce uprawiana, czy też nasze zespoły mineralne są tak ubogie? Nauki mineralogiczne istotnie należą u nas do zaniedbanych. Jako nauki doświadczalne wymagają dobrze wyposażonych laboratoriów, a swym adeptom nie dają podstaw materialnych istnienia. Mit o ubóstwie naszych złóż mineralogicznych pieczołowicie pielęgnowany przez jednostki niemal do dziś, rozwiewa się w świetle rzeczywistości. Jednak trzeba było kilkunastoletniego istnienia polskiego pisma, żeby wysoce niekorzystny stosunek zmienić na lepsze.

Aby czytelnika, stojącego zdala od nauk przyrodniczych poinformować o treści 15 tomów wydawnictwa „Archiwum Mineralogiczne", należy przede wszystkim przedstawić aktualne zagadnienia mineralogii. Jako nauka, mineralogia jest dawna, wywodzi się bodaj od Arystotelesa, którego wykłady przechowane w dziełach. Teofrasta są pierwszą probą naukowego ujęcia, nagromadzonych do tego czasu wiadomości i spostrzeżeń. Arystotelesowski pogląd, że pewne minerały powstały z ognia i suchych dymów, inne zaś z mokrych wyziewów, ożył na nowo na schyłku 18 wieku, jako spór „plutonistów" i „neptunistów". Twórca geologii W e r n e r, obserwując uwarstwienie skał i spotykając w ich spągu granity, zaś bazalty w zgodnych pokładach wsród skał osadowych, przypisywał wszystkim skałom, a więc granitom i bazaltom pochodzenie wodne. Przeciwnik naukowy Wernera, James H u t t o n, plutonista, dowodził ogniowego pochodzenia zarówno granitów jak i bazaltów. Spór plutonistów z neptunistami o pochodzenie skał i minerałów okazał się bardzo płodnym dla nauki, bowiem każda strona, przyjmująca w sporze udział, gromadziła nowe spostrzeżenia i doświadczenia, mogące oświetlić sprawę. I chociaż spór ten został przed stu laty rozstrzygnięty, jednak wnikliwa obserwacja przyrody wysuwa coraz to nowe zjawiska możliwe do dwojakiej interpretacji: czy ich przyczyny upatrywać w magmie — lawie z głębi ziemi wyciskającej się ku powierzchni, czy też w wodach w powłoce ziemskiej krążących.

Zostało np. stwierdzone, że wiele minerałów zarówno kruszcowych, jak i innych powstało w ten sposób, że w głębokich szczelinach w pęknięciach wewnętrznych powłoki ziemskiej lub w próżniach skalnych osadziły się z roztworów w wodzie przegrzanej. Te procesy mineralizacyjne mają w nauce dwojaką interpretację. Spadkobiercy plutonistów głoszą: magma jest przesycona wodą i ostatnim aktem zestalania się magmy jest krystalizacją z gorących roztworów. W interpretacji strony przeciwnej zjawisko przebiega inaczej: nie ma wód dziewiczych, nie ma też wody w magmie, bo po prostu rozłożyłaby się na wodór i tlen, a wszelka woda w skorupie ziemskiej jest pochodze-

nia powierzchniowego. Dostając się do głębszych partyj powłoki ziemskiej, woda ogrzewa się rozpuszcza pewne składniki i osadza je w nowych miejscach.

Prócz zainteresowań teoretycznych, udowodnienie pierwszego lub drugiego z tych poglądów posiada znaczenie praktyczne dla poszukiwań górniczych. Zgodnie bowiem z pierwszą koncepcją, roboty górnicze winny iść jak najgłębiej, bogactwo złoża winno wzrastać wraz z głębokością; tymczasem według drugiego poglądu złoże użyteczne sięga tak głęboko jak głęboko dostała się wodą, głębiej zaś ubożeje. Wynika stąd jak ważną rolę i znaczenie ogólne posiadają prace wyjaśniające działanie wody przegrzanej na minerały. Pracom tym w różnych tomach Archiwum poświęcono wiele uwagi i wynika z nich, że takie ciała jak kwarc, skalenie, kalcyt, baryt, fluoryt, a nawet kruszce—kasyteryt lub metale — miedź rozpuszczają się w wodzie przegrzanej w temperaturze powyżej 200° w postaci koloidalnej. Prace te prowadzone przez szereg lat przez prof. T h u g u t t a, posiadają znaczenie podstawowe dla wyjaśnienia genezy wielu złóż mineralnych. Nie zjawiskom magmatycznym, lecz krążącym w głębi wodom zawdzięczają one swe powstanie. Rola mineralizacyjna i skałotwórcza wód wgłębnych jest w pracach tych dobitnie podkreślona. Należą. tu m. inn. rozprawy prof. Thugutta o pochodzeniu skaleni utworów pegmatytowych, o pochodzeniu diamentów, M a ł k o w s k i e g o — o powstawaniu kaolinu, Zaniewskiej — C h l i p a l s k i e j o składzie chemicznym skaleni, jako kryterium wodnego pochodzenia pegmatytów.

Inną grupę zagadnień poruszanych w Archiwum stanowi budowa chemiczna krzemianów. Chemia zna substancje bardziej złożone, niż krzemiany, np. niektóre alkaloidy lub terpeny. Jednak te substancje są na ogół łatwo rozpuszczalne, dają się bez zmiany natury chemicznej stopić, a nawet zamienić w parę, łatwo reagują z odczynnikami chemicznymi i po licznych przemianach dają się znów w postaci pierwotnej odbudować. Określenie ich budowy chemicznej zależy od pomysłowości eksperymentatora i czasu jaki badaniom jednej substancji może on poświęcić. To też budowa chemiczna tych złożonych ciał została przeważnie poznana. Inaczej przedstawia się sprawa z krzemianami. Odporne na działanie odczynników chemicznych, trudno topliwe, dają się przeprowadzić w substancje rozpuszczalne dopiero przez stopienie z sodą lub działanie kwasów mocnych, przy czym w obu wypadkach następuje całkowity rozkład substancji. Stąd wyjaśnienie budowy chemicznej krzemianów stanowi niezmiernie trudny problem. Właściwa droga poznania budowy — badania produktów rozkładu i podstawień, oraz tych przeobrażeń, które zachodzą w przyrodzie, okazała się tak trudna i żmudna, że wielu mineralogów z niej zrezygnowało, poprzestając na koncepcjach teoretycznych. Nie zraziła jednak uczonych polskich, a szczególnie prof. St. J. T h u g u t t a, który kontynuując dawniejsze swe prace, zajmował się budową chemiczną glinokrzemianów badając produkty ich przemian i podstawień w roztworach wodnych. Należą tu rozprawy: o epinatrolicie, o produktach hydrolizy labradoru, o produktach przeobrażeń leucytu. Poza tym D o m i n i k i e w i c z zajmował się niektórymi reakcjami natrolitu i P f ü t z n e r kaolinianami rubidu i cezu, otrzymanymi pyrogenicznie.

Rozwój badań struktury kryształów promieniami Röntgena, t. zw. radiokrystalografia, znalazła swój wyraz w pracach usiłujących powiązać reakcje i spostrzeżenia chemiczne z przestrzennym ugrupowaniem atomów w glinokrzemianach. Tego typu są prace M. K o ł a c z k o w s k i e j: struktura sodalitu, o kaliofilicie i jego pochodnych. Dalej wspomnieć należy o pracach poświęconych modyfikacji

metody Lauego, oraz strukturze syngenitu.

Zagadnienia krystalograficzne znalazły oświetlenie w pracach T. J. Wojny: o przekszałceniu wskaźników pod wpływem symetrii. Zagadnienia optyki kryształów w pracach: o mikroskopie polaryzacyjnym, zależności znaku optycznego od dwójłomności, o udoskonaleniu metody Fedorowa (Wojno), o wyznaczaniu współczynników załamania światła (Kołaczkowska) i kąta osi optycznych (Swaryczewski).

Kryształom mieszanym poświęcono 20 prac z lwowskiej pracowni prof. Weyberga. Badaniom postaci krystalicznej związków organicznych, przeważnie nowootrzymanych, poświęcono dalszych 11 prac.

Bardzo doniosłe znaczenie posiadają prace poświęcone mineralogii i petrografii Polski. Istnienie Archiwum nie tylko umożliwiło zebranie tych prac, lecz dało bodziec do dalszych poszukiwań i badań w tej dziedzinie.

Odkryto i opisano minerały nowe: janit (Thugutt), skolit (Smulikowski) oraz poznano i zbadano nowe stanowiska szeregu minerałów. Prace te dotyczą: augitu, azurytu, barytu, bentonitu, bledytu, boksytowych glin, cerusytu, fosforytów, glazerytu, glaukonitów, hematytu, haloizytu i alofanoidów, kalcytu, kaolinu, kwarcu, miedzi, malachitu, mikroklinu, mimetytu, molibdenitu, niklowych minerałów, meteorytu łowickiego, realgaru, skaleni, syngenitu i wiwianitu.

Stanowią one istotny wkład do poznania fizjografii kraju ojczystego i materiały do przyszłej mineralogii Polski. Niektóre złoża posiadają znaczenie praktyczne. Również kilka prac poświęcono nowoczesnym badaniom petrograficznym skał krajowych.

Nie ograniczono się jednak do terenu Polski. Szereg rozpraw poświęcono złożom i skałom obcym. Np. skały magmowe Andów Boliwijskich i ważne gospodarczo złoża srebrowocynowe Chocaya, Oruro i Potosi, zostały opracowane przez: R. Kozłowskiego, Jaskólskiego i Smulikowskiego.

W liczbach Archiwum Mineralogiczne przedstawia się następująco: 53 autorów ogłosiło 140 rozpraw w 15 tomach Archiwum (1925—1945) łącznej objętości około 2500 stron.

Antoni Łaszkiewicz.

MYSL ŚWIATOPOGLĄDOWA W ANGLII W POCZĄTKACH OSTATNIEJ WOJNY (1939-1940)

(Na podstawie książki zbiorowej „I believe". Allen and Unwin).

W roku 1940, a więc w owym tragicznym roku, w którym padła Francja i rozegrała się Bitwa o Anglię, ukazała się w Londynie z inicjatywy ruchliwej firmy wydawniczej George Allen and Unwin książka „I believe" („Wierzę"). Już po wojnie w r. 1945 pojawiło się jej piąte wydanie, co, zważywszy na obecne trudności wydawnicze, świadczy o niemałej poczytności.

Pomysł wydawców był dość niezwykły, a realizację jego umożliwiły warunki wojenne: narastanie grozy i nacisk okoliczności, który łamał i uusuwał opory psychiczne w wypowiadaniu intymniejszych poglądów, bowiem w czasach pokoju trudno mieć poważny stosunek do człowieka, który składa swe wyznanie wiary publicznie inaczej niż obwarowane dyscypliną dzieła naukowego lub pokryte literacką fikcją. W każdym razie kilkadziesiąt lat temu uchodziłoby to za nieprzyzwoity ekshibicjonizm ze strony kogoś posiadającego

cenione w nauce nazwisko. Być może za nieprzyzwoite uznanoby również próby tworzenia światopoglądu przez fizyka czy matematyka.

Wydawcom książki „I believe" udało się zebrać wypowiedzi dwudziestu trzech wybitnych ludzi, którzy w formie krótkich essay'ów sformułowali swe credo. Rzeczą bardzo interesującą byłoby wiedzieć, w ilu wypadkach odmówiono wydawcom współpracy w ich wydawnictwie i jakie były motywy tej odmowy. W każdym razie brak wielu nazwisk, które chętnie oglądałoby się w spisie autorów, że tylko wymienimy znanego szeroko pisarza Aldous Huxley'a (zabiera natomiast głos jego brat Julian) czy T. S. Elliot'a, uważanego za czołowego poetę Anglii i przedstawiciela angielskiego katolicyzmu. Niemniej owe dwadzieścia trzy essay'e przedstawiają szeroki wachlarz poglądów.

Czy można je uznać za reprezentatywne dla współczesnej myśli angielskiej? Pytanie to budzi wątpliwości. Przede wszystkim tylko trzynastu autorów jest Anglikami; dalsi czterej — to Amerykanie. A poza tym znajdujemy w książce sformułowanie światopoglądu trzech Niemców, dwóch Francuzów i jednego reprezentanta Dalekiego Wschodu, Chińczyka.

Kwestia wspólnoty kulturalnej angielsko-amerykańskiej jest kwestią otwartą; choć wśród Amerykanów rośnie poczucie odrębności i niezawisłości kultury amerykańskiej, niemniej w świecie nauki obu narodów istnieje bardzo bliska współpraca, a wymiana myśli dokonywuje się niezwykle szybko dzięki wspólnocie językowej. Nazwiska niemieckich autorów: Ludwiga, Manna i Einsteina mówią same za siebie. To ludzie, którzy nie mogli żyć w swej germańskiej ojczyźnie i znaleźli swą drugą ojczyznę i warsztat pracy, jak ongiś francuscy hugenoci, bądź w Anglii bądź w St. Zjednoczonych (Einstein). Jules Romain i Maritain personifikują niejako tę stałą wymianę idei poprzez kanał między Francją a Anglią tak niezwykle twórczą w dziejach kultury europejskiej. Wreszcie Chińczyk Lin Yweng, którego imię posiada już niemały rozgłos, pisuje w dwóch językach — chińskim i angielskim — z równą biegłością i niezaprzeczenie poprzez kulturę angielską urabia swe interesujące sądy o kulturze europejskiej.

Możnaby zatem zaryzykować twierdzenie, że właśnie udział tego obcego elementu ilustruje najlepiej przejawy współczesnej myśli angielskiej z jej licznymi koneksjami narzuconymi przez kataklizm drugiej wojny światowej lub wynikącymi z jej przyciągania kulturalnego.

Skoro padły już nazwiska nie angielskie, spróbujmy się teraz rozejrzeć w grupie anglo-amerykańskiej, która, rzecz jasna, dała największy wkład swej myśli w „I believe". Odrazu uderza trudność klasyfikacji autorów wg ich specjalności. Z jednej strony ci, których określilibyśmy najchętniej jako literatów, wykazują się dużą szerokością zainteresowań naukowych i często publikują książki naukowe, z drugiej — naukowcy mający za sobą specjalny dorobek naukowy znani są również bardzo jako popularyzatorzy transponujący swą wiedzę w formy literackie świadczące o artystycznym przeżywaniu zdobyczy naukowych. Stosując przyjęte przez wydawców etykiety stwierdzić trzeba, że najpokaźniej przedstawia się grupa literatów reprezentowana przez Anglików: Wells'a, Foryter'a, autora znanej powieści „Droga do Indii", Rebekę West, dziennikarkę i powieściopisarkę, i Auden'a, uważanego za najzdolniejszego poetę młodego pokolenia, oraz przez Amerykanów: Pearl Buck — znaną ze swych powieści z życia Chin, laureatkę Nobla, Van Loon'a, autora monografii o Rembrand'cie, najszerzej zresztą znanego dzięki niezwykle popularnej „The Story of Mankind" (historia ludzkości) oraz dziennikarza ekscentryka-ironisty James'a Turber'a, którego wypowiedź w „I believe" stanowić ma konieczną dla Anglików w poważ-

niejszych publikacjach szczyptę soli attyckiej. Nauki społeczne reprezentują w grupie anglo-amerykańskiej Anglicy: Laski, profesor London School of Economies i Uniwersytetu Londyńskiego, teoretyk i praktyk wiedzy politycznej, wychowawca wielu dzisiejszych mężów stanu oraz przedstawiciele dwóch pokoleń bojującego socjalizmu: weteranka, Webb Beatrice i młody obiecujący labourzysta, John Strachey. Ekonomista amerykański, Chase Stuart, dopełnia ten zespół. Etykiety biologa wzgl. biochemika możnaby przydzielić trzem Anglikom. Jeden z nich to wielki Haldane, dwaj inni to obiecujący młodzi uczeni — Lancelot Hogben i Julian Huxley. Wszyszy trzej dalecy od zamykania się w laboratorium filozofujący popularyzatorzy. Apostołowanie marksizmu przez Haldane'a i jego udział osobisty w wojnie hiszpańskiej wyznaczają wyraźnie jego postawę społeczną i polityczną. Przez zamieszczenie essay'u zmarłego w 39 r. Havelock Ellis'a oddano hołd jego wieloletniej naukowej pracy na polu psychologii, zwłaszcza zaś psychologii płci. Antropologię reprezentuje Sir Arthur Keith słynny ze swych poszukiwań najdawniejszych śladów człowieka na naszym globie. Rzecz szczególna — oto w książce, w której mowa o światopoglądzie, z największą trudnością znajdujemy człowieka, któremu wydawcy przydają określenie: filozof i to między dwoma innymi określeniami — wychowawcy i popularyzatora osiągnięć naukowych. Człowiekiem tym jest Bertrand Russel.

Druga wątpliwość streszcza się w pytaniu: czy wszystkie kierunki myśli angielskiej są reprezentowane przez współtwórców książki „I believe"? Napewno nie! Okoliczności jej powstania nie pozwalały na daleko posunięty elektycyzm i obiektywizm w doborze ludzi i ich opinii. Demokracja była zagrożona, faszym tryumfował — chodziło o mocne, zdecydowane wypowiedzi w obronie demokracji, chodziło poza tym o wypowiedzi pozytywne, krzepiące. W kwestiach społecznych wyznaniem ogromnej większości autorów jest socjalizm, twórczy radykalizm społeczny. Mniej zrozumiałe jest natomiast, dlaczego jedynym reprezentantem światopoglądu chrześcijańskiego, i to wyłącznie katolickiego, jest Francuz Maritain.

Trzecia i najpoważniejsza wątpliwość dotyczy możliwości przedstawienia światopoglądu w ramach essay'u i wykorzystania takiego zbioru essay'ów jako materiałów do wydawania jakichkolwiek sądów o światopoglądowej myśli angielskiej w danym okresie. Jeśliby przyjąć książkę jako rodzaj ankiety — to posiada ona poważny brak metodyczny. Nie postawiono autorom pytań kierujących ich wypowiedziami, pozostawiono im swobodę wypisania się w ramach tak nieuściślonego zagadnienia jak światopogląd. Należy się domyślać, że wydawcy zwracając się do uczonych i pisarzy prosili o skreślenie ich filozofii. Każdy odpowiedział na wezwanie wg swego rozumienia filozofii. Jak to stwierdza Ellis w swym essay'u większość współautorów zadosyćuczyniła tej prośbie podając przekonania, wg których starają się oni układać swe życie. A ponieważ życie kładzie samo akcenty to na tych to na innych zagadnieniach — filozofia życiowa formuje się i oddziaływuje zależnie od okoliczności, naświetlając to, co w danej chwili znajduje się w jej polu widzenia czy też pojawia się jako problem do rozwiązania. Stąd taka filozofia praktyczna nie tworzy żadnego systemu, choć niezaprzeczenie opiera się na jakiejś mniej lub więcej uświadamianej koncepcji wszechwiata. Niechęć do tworzenia systemów filozoficznych, nawet gdyby to było możliwe w essay'u, wydaje się w książce „I believe" powszechna, gdyż — jak powiada Russel — „Logiczną strukturę kosmosu, jaką oglądamy w wielkich systemach, zawdzięcza się tylko temu faktowi, że jest to obraz kosmosu tworzony przez jednego człowieka". Filozofii w rozumieniu tworzenia systemów lub choćby powoływania się na istniejące

i przyjęte nie szukajmy na kartach „I believe". Natomiast warto jest uświadomić sobie chociażby w postaci linii i kierunków, na jakiej koncepcji świata opiera się filozofia życiowa współautorów książki, jakie fakty i jakie nauki formują tę koncepcję, wreszcie jakie zagadnienia i w jaki sposób traktuje ich filozofia życiowa. Dzisiaj, kiedy ambicją anglosasów jest ugładzenie świata i kiedy w gigantycznej tej pracy wyznaczają sobie rolę kierowniczą — należy wykorzystać nawet taką skromną okazję, jaką nastręcza książka „I believe", aby dopełnić wiedzy o pojmowaniu świata i jego zagadnień przez myśl angielską na progu ostatniej wojny.

Myśl światopoglądowa angielska czasu ostatniej wojny jest kontynuacją i częścią wszechludzkich wysiłków światopoglądowych w pewnej epoce stanowiącej niejako następną falę w rytmie rozwojowym gatunku „homo sapiens". R. H. Wheeler*, filozof amerykański, sugestywnie charakteryzuje tendencje naukowe i filozoficzne naszych czasów jako odwrót od koncepcji mechanistycznych na rzecz koncepcji organicznych. Zainteresowania współczesnej nauki kierują się ku stosunkowi części do całości i całości do części. Część nie jest uważana dzisiaj za coś pierwotnego genetycznie, jak to głosiły koncepcje mechanistyczne; genetycznie pierwszą jest całość. Dzięki temu panuje w świecie jedność planu, rządzą nim prawa powszechne, obowiązujące w zakresie każdej dyscypliny naukowej. W fizyce całościowe ujęcie kieruje uczonych ku badaniu systemów pól, ku traktowaniu natury fizycznej jako organizmu; w psychologii operuje się pojęciem „Gestalt" nie mówiąc o tym, że stworzono „całościową psychologię kultury:" w naukach społecznych i politycznych przyjmuje się organiczną koncepcję społeczeństwa a stosunek części jednostki ludzkiej do całości społecznej w teorii i praktyce stał się przedmiotem rozważań i eksperymentów całego świata. Biologia, wysuwająca się dzięki kapitalnym odkryciom na czoło nauk i przez niejednych uznana za królową nauk, trzyma się koncepcji organizmu niemal jako aksjomatu.

Wg Wheeler'a nauki bardziej uściślone dzięki powszechności praw rządzących organiczną całością świata mogą służyć jako wzór metodyczny dla innych, mniej uściślonych nauk. Wymienimy kilka takich powszechnych praw, których wartość dla różnych dziedzin nauki została stwierdzona, jak prawo najmniejszego, najekonomiczniejszego działania, które m. i. znalazło zastosowanie w teorii ruchów falowych; prawa dotyczące minimów i maksimów, prawo podziału przestrzeni, prawo zachowania i przemiany. Inne prawa zaczynają dopiero ujawniać swą uniwersalną wartość, jak np. prawo rządzące podporządkowaniem części — całości, prawo systemów nadrzędnych, powszechne prawo teleologiczne, głoszące, że cokolwiek się dzieje, dzieje się wg zamierzonego planu, prawo uczestniczenia części w całości po podporządkowaniu się tej całości, co daje części wolność itd. Wg. Wheeler'a wszystkie te prawa tworzą powszechny system logiczny świata.

Z chwilą, gdy człowiek odkryje wszystkie prawa rządzące stosunkiem części do całości i zastosuje je w życiu społecznym — zostaną usunięte błędy życia społecznego i współżycia narodów i państw. Aby tak się stało rządy muszą przejść z rąk polityków-ignorantów i dyktatorów-psychopatów w ręce uczonych, którzy znają prawa rządzące społecznymi całościami.

Ale nietylko problemy społeczeństw i polityczne zostaną rozwiązane. Zniknie również rozdźwięk między nauką i religią. Powstanie nowa religia, która jednocześnie będzie wiedzą. Ujawnienie praw logicznych rządzących organiczną całością świata, świadomość, że to co się dzieje jest realizowaniem planu a nie przypadkową kombinacją elementów — dadzą człowiekowi nowe poczucie war-

* Philosophy of Science 1934.

tości życia. Prawa moralne i prawa naukowe będą jedne i te same.

Zanim jednak to nastąpi, twierdzi Wheeler, powtarzać się będą falowania koncepcji mechanistycznych i organicznych świata jako wyraz reakcji ludzkich po nieudałych próbach. Koncepcja organiczna świata bowiem, jeśli nie jest zrównoważona, doprowadza do witalizmu tj. dominowania całości nad częścia. W tej tendencji dopatruje się Wheeler jeszcze w r. 1934 zapowiedzi przyszłej wojny i to w ciągu od 6 do 15 lat.

Swe bardzo daleko idące sądy i przewidywania uzasadnia Wheeler śledząc rozwój nauki od początków naszego stulecia i wyliczając oraz charakteryzując najważniejsze publikacje naukowe. Wkład anglo-amerykański, zwłaszcza na polu biologii, okazuje się uderzająco wielki. Koncepcja organiczna świata wydaje się kongenialna angielskiej umysłowości. Oparta i na doświadczeniu i na teorii zadowala jednocześnie i empiryczne wrodzone skłonności Anglików i pozwala na dedukcje, które nie doprowadzają do rozdźwieków między logiką a wiedzą doświadczalną. Zaspokojone są również w organicznym pojmowaniu świata i inne właściwości umysłowości angielskiej wyrobione przeżyciami stuleci: dążenie do równowagi sił i do kompromisu, uznanie praw jednostki-części w ramach całości - społeczeństwa, którego zadaniem jest udzielanie wolności jednostce. Nawet poszukiwanie religii w prawach naukowych posiada w świecie anglosaskim dawną tradycję sięgającą deistów in freethinkers XVIII stulecia.

Chociaż wypowiedzi w „I believe" są wyznaniami dotyczącymi praktycznej filozofii i nawet forma ich w przeważajacej ilości wypadków jest autobiograficzna, nie trudno stwierdzić, że na ogół opieraja się one na racjonalistycznej koncepcji świata. Zresztą racjonalizm ten jest świadomy. Russel z dużym uznaniem odzywa się o racjonaliźmie XVIII w., który przyniósł okres panowania rozumu po walkach religijnych. Tylko że racjonalizm „I believe" daleki jest od łatwego optymizmu, zwłaszcza optymizmu wychowawczego XVIII wieku. Nauka, wiedza mogą zbawić świat, ale czy świat będzie chciał być zbawiony? Proces wychowania świata przedstawia się jako działanie rozłożone na bardzo długi czas. Aby wychować nowego człowieka trzeba przebudować wszystkie podręczniki i przygotować tysiączne kadry nauczycieli. Trzeba też uzdrowić prasę świata. Sytuacja obecna świata nie wiadomo czy pozwoli doczekać się realizacji planów zakreślonych na kilka pokoleń. Stąd racjonalizm ten jest często elitarny. Oto co mówi Einstein: „Wszelki postęp dokonywuje się przez jednostkę, ale przewodnicy winni być wybierani przez ogół".

Przewodnikami powinni być intelektualiści, a nie t. zw. „ludzie czynu". „Funkcją intelektualisty w społeczeństwie" — mówi Russel — „jest zachowanie chłodnego i nieuprzedzonego sądu w obliczu wszystkich podniet rozpętujacych namiętności".

Intelektualista kierujacy świat na lepsze tory nie może być przedmiotem uwielbienia („hero worship"). „Uwielbienie tłumów" — pisze Forster — „jest dowodem, że wielka ilość ludzi nie umie się zdobyć na własny sąd i dokonywanie własnego wyboru w nieskończonych możliwościach życia. Na kimże zatem ma się oprzeć intelektualista planujący i realizujący przebudowę świata? „Oto istnieje" — pisze dalej Forster — „w każdym kraju i w każdej klasie coś jak zatajone bractwo ludzi wrażliwych, rozumnych i dzielnych, które ujawni się wtedy gdy znajdzie się odpowiedni przewodnik." — Oto dwoista arystokracja świata.

Racjonalizn essay'ów „I believe" posiada nieskończenie więcej wiary w zdolności poznawcze człowieka niż w jego rozumne działanie. Zdając sobie sprawę z możliwości i dobrodziejstw wiedzy czerpie z tej samej

wiedzy dane o granicach ludzkich możliwości zakreślonych przez determinujące czynniki fizyczne, biologiczno-psychiczne i społeczne. Nie są to wprawdzie granice absolutne. Człowiek może świadomie zmienić swe otoczenie, by z kolei ulec wpływom formującym nowych warunków, ale procesy te zachodzą bardzo powolnie i tylko jednostki mogą posiadać większą swobodę przekraczania granic i nie są tak skrępowane czynnikiem czasu.

W kilku wypadkach ujawnia się dalej posunięty sceptycyzm co do swobody rozumnego działania. Einstein podpisuje się pod znanym sądem Schopenhauera: „Człowiek istotnie może robić co zechce, ale nie potrafi określić czego chce". Rebecca West, która w swym essay'u rozpatruje problem okrucieństwa, stwierdza, że okrucieństwo nie da się wyrugować z pośród utrapień ludzkości itd.

Racjonalizm nie jest kierunkiem myślenia ułatwiającym powstawanie systemów filozoficznych; tym mniej skłonności w tym kierunku ujawnia dynamiczny racjonalizm czasów dzisiejszych. O ile racjonalizm XVIII w. był statyczny, gdyż dla niego rozum ludzki był czymś stałym i powszechnym, o tyle racjonalizm stanowiący podstawę wielu wypowiedzi zakłada, że norma rozumu nie jest czymś niezmiennym. Rozum ludzki rozwija się wraz z całym gatunkiem homo sapiens poprzez te przestrzenie czasu, które ujawniła biologia i antrobiologia. Jego przyszłe możliwości i granice są nieznane. Toteż wartość każdego systemu jest relatywna; co więcej tworzenie systemu jest to niejako przejaw kostnienia pojedynczego organizmu, który przebiegł już wszystkie stadia rozwojowe — a więc jakiś kres biologicznego rozwoju jednostki. A poza tym, jak twiedzi Russel, pogląd na świat formują okoliczności i temperament. Toteż nawet filozofia praktyczna ujawniana jest przez wielu autorów z licznymi zastrzeżeniami, z zaznaczeniem, że czynią to pod naciskiem chwili. „Nie wierzę w wiarę" — od tych słów „zaczyna Forster" swe wyznanie wiary. Zbyt wiele ludzkość cierpi od bojujących wiar naszych czasów, wiar, które spekulują na ignorancji mas. Pearl Buck zaś orzeka, że filozofię życiową zaczynamy sobie uświadamiać dopiero w cierpieniu. Ponieważ filozofia życiowa jest przygodą jednostki a nie dobrem powszechnym, a poza tym stwarzają ją okoliczności rozwoju biologicznego — autorzy czują się w prawie a nawet w obowiązku kreślić autobiograficznie dzieje formowania się życiowego credo. Stwarza to zresztą ów ton intymny, daje poczucie zbliżania się ludzi ku sobie, ludzi zagrożonych katastrofą wojenną.

Biologia jest uprzywilejowaną nauką większości współautorów „I believe". Ostentacyjnie oddaje jej palmę pierwszeństwa Wells. „Go first to biologist"; swoją postawę filozoficzną określa zaś jako „stoicyzm oglądany w świetle współczesnej wiedzy biologicznej". Na drugim miejscu stawia Wells psychologię jako naukę najwięcej po biologii dającą wiedzy o człowieku. Pojęciami i słownictwem biologicznym posługują się ci pisarze, których zainteresowania kierują się ku sprawom społecznym. Historia życia na ziemi to zwierciadło, w którym przeglądają się różne kwestie. Terminy takie jak adaptacja, środowisko, mutacje — weszły do słownictwa innych dyscyplin naukowych. Stuart Chase posuwa się tak daleko, że swoje credo podaje nawet jako serię doświadczeń z pogranicza nauk biologii i psychologii wg koncepcji behawiorystycznych. Opowiada o swym zachowaniu w szeregu sytuacji życiowych i analizuje następnie te sytuacje, tak jakby to uczynił biolog i psycholog. Niekoniecznie jednak pociąga za sobą ta supremacja biologii wyznawanie determinizmu biologicznego. Chase rozróżnia w swych decyzjach trzy kategorie: obok decyzji uwarunkowanych biologicznie i decyzji uwarunkowanych społecznie konstatuje istnienie decyzji, które nazywa świadomymi. Świadome są

wszyskie decyzje powzięte dzięki istnieniu nauki.

Nie można znaleźć w książce „I believe" jakiegoś absolutnego przeciwstawiania człowieka naturze. Pojęcie „walki z naturą" zmieniło swój sens o tyle, że jest to dzisiaj cykl wysiłków zdążajacych do harmonijnego współżycia człowieka jako części z całościa-naturą w ramach organicznej jedności. Traci zatem swój sens termin „walka", conajwyżej mówić można o „harmonijnym konflikcie". Konflikt zakłada osiągnięcia pozytywne dla obu stron, stworzenie nowej, doskonalszej, trwalszej równowagi. To pojęcie „harmonijnego konfliktu" upowszechnia się w rozmaitych dziedzinach życia ludzkiego i sprzyja dynamicznemu ujmowaniu w rozwiązywaniu wszelkich problemów. Najszerzej omawia znaczenie „harmonijnego konfliktu" Havelock Ellis, który doszedł do tej koncepcji własną drogą poprzez studia nad kwestią płci.

Konsekwencją organicznego ogarnienia człowieka przez naturę jest afirmacja życia. Wyczuwa się, jak zależy autorom, aby w czasie gdy wojna totalna niszczy biologicznie całe grupy ludzkie, ba nawet zamienia w pustynie lasy i pola, gdy świat zasiany jest milionami zniszczonych form życia, położyć akcent na jego bezcennej wartości. Niedarmo otwierający książkę essay Auden'a posiada motto z poezji Blake'a: „Everything that lives is Holy" („cokolwiek żyje jest święte").

Afirmacja życia nie oznacza skłonności do witalizmu, t. j. koncentracji energii życiowej w ramach jednego organizmu dla jego maksymalnej ekspansji. Tezom rasizmu i faszyzmu propagującym witalizm przeciwstawia się pojęcie harmonijnego konfliktu w ramach demokracji, świadome układanie stosunku części do całości tak, aby udziałem części stała się maksymalna wolność.

To dążenie do harmonizowania życia stało się powodem żywego zainteresowania filozofią chińską reprezentowaną przez Lin Yutang'a i w nieco odmiennej, bardziej dramatycznej formie przez tak silnie związaną swymi badaniami i pismami z życiem Chin amerykańską laureatkę Nobla, Pearl Buck. Lin Yutang jest podejrzliwy w stosunku do wszelkich logizujących systemów filozoficznych. Jest wyznawcą myślenia intuicyjnego opartego o rozsądek, ale jednocześnie posiadającego pewną temperaturę uczuciową. Chodzi mu o powściągliwą, pełną szacunku, temperowaną ironią i humorem postawę wobec życia, daleką od zaborczości myśli zachodniej. Chodzi o poczucie właściwych proporcji między jednostką a ogromem życia. Niedoskonałość człowieka i jego sądów czyni życie tym cenniejszym, czyni je przedmiotem kultu religijnego. Zadaniem nauki nie może być poznanie życia, ale nauka pogłębia nasz podziw dla niego. Dla Lin'a sztuka jest czymś co daje poznać smak życia, religia — szacunkiem dla życia, literatura — ukazuje nam jego cudowność a filozofia określa nasz właściwy rozsądny stosunek do tej najwyższej wartości.

Tę samą religię życia można odnaleźć i u Wells'a, chociaż mówi on o niej w essay'u w nieco innym kontekście, a mianowicie omawiając kwestię nieśmiertelności i osobowości człowieka. Uznając to co my uważamy za naszą osobowość, posiadającą ciagłość istnienia, za rodzaj złudzenia biologicznego, Wells stwierdza, że w każdym indywiduum istnieje część nieśmiertelna, stokroć ważniejsza od tego, co się zwykło określać jako naszą osobowość, a mianowicie nieśmiertelna dusza rasy ludzkiej — „Człowiek w nas". Tej części powinniśmy podporządkować nasze indywidualne istnienie. Wydaje się „że nie trudno byłoby rozwinąć tę tezę, którą Wells nazywa „ścisłym stwierdzeniem biologicznego i logicznego faktu", w system religijny podobny do kultu życia u taoisty Linga.

Psychologia jest następną po biologii nauką, której zdobycze działały

zapładniająco przy formowaniu omawianego światopoglądu. Można zdaje się stwierdzić, że nie wywołują już one takich konfliktów jak w początkach naszego stulecia, gdy człowiek zdał sobie sprawę z roli podświadomości w jego życiu. A poza tym nastąpiło przesunięcie zainteresowań ku psychologii grupy, psychologii kultury, wrescie ku dynamicznemu pojmowaniu osobowości. Praktyczne zastosowanie znajduje zatem psychologia w naukach społecznych i wychowaniu. Wytworzył się również cały szereg punktów stycznych między psychologią a biologią oraz wymiana metody badań. Stosunek życia podświadomego do świadomego przestał być zagadnieniem dręczącym. Podświadomość człowieka stała się źródłem jego możliwości rozwojowych, zwłaszcza wobec przyjęcia czasu biologicznego, wg którego ogarniane przez nas dzieje naszej kultury są czymś jak wiosną pierwsze drgnienie pąka. W praktyce uznaje się oczywiście jako czynnik nie do pominięcia zarówno wpływy dziedziczne jak i wpływy dzieciństwa, jak również pewną sumę dyspozycji indywidualnych określanych jako temperament. Psychologia społeczna i psychologia kultury, pojmowane na ogół organicznie, dorzucają inne czynniki determinujące, ale kwestia determinizmu czy indeterminizmu psychologicznego utraciła, przynajmniej narazie, swe ostrze. Organiczny wzór logiczny wspólny wszystkim dyscyplinom zdeprecjonował pomiar jako punkt wyjścia dla sądów naukowych i tworzenia praw. Krytyka metodologiczna Campbell'a orzekająca, że koncepcja prawa naukowego jest pierwotna i konieczna zarówno dla wykonania doświadczenia i stworzenia narzędzia do pomiarów — a pomiar jest czynnością wtórną sprawdzającą i wysubtelniającą — pozwala na większą swobodę w formowaniu hipotez a tym samym na pewne działanie nawet poza granicami określonymi przez czynniki determinujące.

Zarówno biologia jak i psychologia przenikają się i współpracują z naukami społecznymi: socjologią, polityką i ekonomią. Problemem centralnym jest stosunek części do całości, jednostki do społeczeństwa. Wagę kwestii społecznych zdają się doceniać wszyscy partycypanci książki, gdyż w tych kwestiach koncentruje się dzisiaj problem człowieczeństwa. Jest to przedmiot troski zarówno naukowców jak i literatów. „Uważam za człowieka straconego" — pisze Tomas Mann „pisarza zdradzającego sprawę ducha przez odmowę udziału w pokonywaniu i rozstrzyganiu ludzkich problemów, które w chwili dzisiejszej pojawiają się w sferze polityki". Wojna (a pamiętajmy, że autorzy stoją dopiero w obliczu katastrofy) posiada wciąż jeszcze niemal wyłącznie aspekt ideologiczny — pojawiają się nawet głosy, że jest to jej jedyny aspekt, że ekonomiczny aspekt wojny jest złudzeniem (Russel). Stąd może zagadnienia ekonomiczne rzadko są poruszane na kartach książki i to zawsze marginesowo, w korelacji z zagadnieniami społecznymi i politycznymi.

Obrona demokracji przeciw totalizmowi wytwarza naturalną tendencję adwokatowania praw jednostki i przeciwstawiania się witalizmowi. Auden, wbrew powszechnym tendencjom organicznym, posuwa się aż do twierdzenia, że „społeczeństwo składa się z pewnej liczby jednostek żyjących w pewien szczególny sposób w danym czasie i w danym miejscu — całością organiczną zaś jest tylko człowiek". Niemniej, jak pisze Strachey: „niema możliwości wycofania się jednostki ze społeczeństwa i tworzenia własnego życia." Absentowanie się grozi zgubą jednostce a retrogresja postępu — całemu światu. Absurdem jest wyrobrażanie sobie życia ludzkiego inaczej jak w społeczeństwie w jakimkolwiek okresie istnienia ludzkości. Julian Huxley zgadza się z tą koniecznością ale zastrzega, że podporządkowanie się człowieka społeczeństwu nie może w żadnym razie opierać się na przekonaniu, że społe-

czeństwo posiada jakieś doskonalsze wartości niż te, które ujawniają tworzące to społeczeństwo jednostki ludzkie. Jednostka może wierzyć, że się poświęca dla kraju, dla jakiejś prawdy, dla sztuki czy miłości. Przez swe poświęcenie swą ofiarą stanie się jeszcze bardziej sobą, a jednocześnie poświęcenie i ofiara jednostek nadają wartość sprawie, dla której zostały poniesione.

Nawet marksiści starają się znaleźć wyjście dla jednostki z determinizmu klasowego. Harold Laski składając swe wyznanie wiary marksisty mówi: „Ludzie na ogół myślą pojęciami, które zostały bądź stworzone, bądź zniekształcone w doświadczeniach ich klasy społecznej. Ich pojęcia słusznego działania są uformowane na podstawie tych doświadczeń. Jednostki mogą wyjść poza nie". Auden proponuje następujące kryterium dla stosunku między jednostką a społeczeństwem, wychodząc z założeń biologicznych, że historia życia na ziemi to zdobywanie kontroli nad środowiskiem i wolność w jego ramach: „Zadaniem społeczeństwa jest stworzenie jaknajwiększych możliwości wyboru powołania — dla składających je jednostek. Tylko ten człowiek jest dobry, który odnalazł swe powołanie. Człowiek taki będzie z kolei wytwarzał dobra moralne przez wprowadzanie zmian pozwalających na większą swobodę działania. Z tych dóbr moralnych np. idei, odkryć, reform itd. wypływają dobra naturalne w postaci: dcbrobytu, umniejszenia obciążenia pracą itd. Formując nowe powołania społeczeństwo zmienia własną formę, jest dynamiczne, żyje. Jeśli tego nie czyni — nie spełnia swego zadania wobec jednostek, zamiera".

Ten sam akcent na obowiązki społeczeństwa wobec jednostek ludzkich i na znaczenie jednostek kładą również i Wells i Russel. Oto co pisze Wells: „nie wierzę w sensowność podporządkowania chociażby na jedną jotę czyjejś inteligencji i woli największemu szczęściu możliwie największej liczby ludzi czy woli większości czy innej podobnej fikcji; nie jestem demokratą tego rodzaju. Świat ten i jego przyszłość nie należą do ludzi słabych ani egoistów. Nie istnieje on dla mas, ale dla najlepszych. A ten, kto jest najlepszy dzisiaj, będzie kimś najzwyklejszym jutro". Radykalizm społeczny Wells'a w sprawach ekonomicznych, jego wystąpienia przeciwko nacjonalizmowi i wojnie mają na celu przekształcenie obecnego świata, w którym faworyzowani są głupcy, trutnie i sadyści". Zdaniem Russel'a ostateczne zwycięstwo nigdy nie należy do fanatyka, który stara się utrzymać najwyższy stan napięcia emocjonalnego wśród mas ludzkich. Linię postępu utrzymuja ci rozsądni, którzy jak Erazm Rotterdamski w czasie rozłamu religijnego świata między zwolenników Lutra i Loyoli — pozostali neutralni. Zadaniem tych, którzy zachowują trzeźwość sądu, jest powstrzymywanie świata, gdy zdąża ku klęsce. Jak widać, elitaryzm jest cechą zbieżną obu myślicieli.

Marksistowskie wyznanie wiary składa dobry dziesiątek pisarzy. Jednak zakres przyjęcia doktryny Marksa, jej interpretacją, wreszcie motywy jej akceptowania wskazują na to, ze socjalizm angielski daleki jest od ortodoksji i wykazuje wiele odchyleń, zwłaszcza w dobie wojny, gdy marksizm stał się jedyną poważną alternatywą ideologii faszystowskiej po bankructwie liberalizmu. Najbliższym ortodoksji wydaje się Haldane. W swym nader zwartym stacatto pisanym wyznaniu wiary podaje, że skoro od teoretycznej postawy uczonego przeszedł do czynnego życia politycznego, znalazł najwięcej sensu i poświęcenia wśród bojujących marksistów a najtrafniejszy komentarz otaczającej go rzeczywistości w dziełach Karola Marksa, zarówno w zakresie zagadnień ekonomicznych jak i politycznych. Rozczarowanie wywołane nieuczciwą polityką rządu brytyjskiego i egoizm warstw posiadających przyspieszyły ten proces. Marksizmu nauczyć się można tylko w działaniu. Jako tekst udowadniający, że

jest istotnie marksistą, uważa Haldane przyjęcie przez siebie doktryny, że państwo jest w istocie swej produktem walki klas a celem jego jest utrzymanie u szczytu władzy jednej z klas. W społeczeństwie najfundamentalniejszą kwestią jest metoda produkcji. Kapitalizm miał swe wielkie dni, gdyż był bardziej wytwórczy od feudalizmu. Teraz się przeżył i im prędzej otrzyma cios łaski — tym lepiej dla świata. Każdy system ekonomiczny stwarza własny system myślenia, praw etycznych i własną politykę. Mimo tego twierdzenia Haldane nie uważa siebie za zwolennika determinizmu ekonomicznego. Wg niego wolność polega na uznaniu konieczności. „Człowiek, który zdaje sobie sprawę, że miasto jego ulegnie trzęsieniu ziemi, bądź opuszcza je, bądź buduje sobie dom, który nie ulegnie zniszczeniu".

Marksizm Harolda Laski'ego, o którym była już mowa z okazji jego koncesji na rzecz jednostek w kwestii determinizmu społecznego, również znalazł potwierdzenie i umocnienie w jego wieloletniej działalności politycznej i wychowawczej. Sytuacja świata — zdaniem Laski'ego — wymaga rądykalnych posunięć, nastały bowiem czasy przewidziane przez Marksa, w których panuje całkowity rozdźwięk między warunkami produkcji a siłami, które w niej biorą udział. Ci, którzy kierują produkcją, mogą utrzymać swe pozycje tylko jako przywilej a nie w wyniku sił działających faktycznie w procesie produkcji. Toteż gradualizm fabianizmu przewidujący stopniową nacjonalizację różnych dziedzin życia gospodarczego wydaje się Laski'emu spóźniony. Miał on swój sens w czasach gdy system kapitalistyczny był u zenitu swych możliwości, teraz zaś, gdy kapitalizm rozkłada się — trzeba radykalniejszej zmiany podstaw społecznych. Inaczej agonia kapitalizmu okaże się niebezpieczna. Trudności ekonomiczne, z jakimi walczy kapitalizm chociażby w konkurencji międzynarodowej, uniemożliwia mu wszelkie koncesje, dzięki którym był tolerowany. Walka pójdzie na noże.

Inaczej motywuje swój akces do grupy marksistów labourzysta John Strachey. Szukając ideologii, któreby można przeciwstawić faszyzmowi, wysuwa obok marksizmu światopogląd chrześcijański i stara się udowodnić, że chrześcijaństwo i marksizm spotykają się jako sprzymierzeńcy w walce z próbą wskrzeszenia starożytnego niewolnictwa. Strachey'a nie interesuje strona dogmatyczna. Istotniejsza dlań jest koncepcja humanitarna chrześcijaństwa. „Doktryna chrześcijańska o nieskończonej wartości istoty ludzkiej była manifestacją protestu przeciwko niewolnictwu, jako podstawowej instytucji, na której opierał się świat starożytny". Dlatego chrześcijaństwo rozsadziło gigantyczną strukturę imperium. Tę samą walkę przeciwko niewolnictwu prowadzi marksizm. Powodem zgorszenia dla chrześcijanina jest postawiona przez marksistów teza walki klas. Jeżeli się jednak weźmie pod uwagę, że klasa posiadająca stanowi nie więcej niż 5—10% w społeczeństwach — to opanowanie władzy przez 90—95% będzie wielkim posunięciem w kierunku zjednoczenia ludzkości. W zasadzie więc i chrześcijaństwo i marksizm mają ten sam cel. W łonie Strachey'a ujawnia się pewna tendencja, która wskazuje na przyjmowanie przezeń walki klas jako malum necessarium. W czasach jednej wojny trudno mówić o drugiej wojnie.

Poza tym starają się obaj z Laski'ym wpoić w czytelnika przekonanie, że gospodarka kapitalistyczna staje się absurdem z punktu widzenia praw ekonomicznych a dalsze jej istnienie będzie powodować narastanie konfliktów. Aby uzdrowić gospodarkę konieczny jest inny rozdział dochodu społecznego i socjalizacja wielkich ośrodków produkcji, lokomocji i energii.

Ambicję przezwyciężenia marksizmu rości sobie naukowy humanizm, którego rzecznikiem w książce „I believe" jest Lancelot Hobgen. Występuje on

jako rzecznik nauki, której przysługuje, zdaniem jego, głos decydujący w przebudowie świata. Socjalizm — stwierdza na wstępie — jest od wczesnej młodości jego przekonaniem społecznym, gdyż „żaden system, w którym kredyt i przemysł są własnością prywatną, nie wykorzysta w pełni zdobyczy nauki dla zaspokojenia potrzeb ogółu. Dalej Hobgen kreśli bardzo sugestywnie rozłam, jaki panuje wśród socjalistów angielskich, rozłam, który różni socjalizm angielski od kontynentalnego. Jeden odłam socjalistów angielskich przyjmuje twierdzenie liberałów, że dobrobyt należy mierzyć ilością i różnorodnością dóbr, które konsument może nabyć. Kwestią sporną z liberałami jest tylko to, że nierówność siły nabywczej i okresy bezrobocia uniemożliwiają masom dokonanie wyboru w wyprodukowanych dobrach. Natomiast ten odłam socjalizmu nie interesuje się tym jak kapitalistyczne społeczeństwo wykorzystuje zdobycze nauki. Nawet jeśli taki socjalizm dochodzi do władzy — przemysł produkuje te same dobra co uprzednio.

Znacznie bliższy przekonaniom Hobgen'a jest socjalizm t. zw. „utopijny" Owen'a i Morris'a propagujacy wytwarzanie odmiennych dóbr takich, które konsument powinien wybrać. Nauka dzisiejsza pozwala już zrealizować utopie Owen'a i Morris'a. Faktem jest, że nowe żródła energii i inne wynalazki umożliwiają położenie kresu nędzy. Trzeba tylko odpowiedniej inicjatywy społecznej. Wiedza dzisiejsza ofiaruje światu Nową Umowę Społeczną. Należy uznać, że podstawą porozumienia i współpracy między współobywatelami winny być naukowe badania potrzeb ludzkości, poszukiwanie źródła dla ich zaspokojenia i równie naukowe dociekania, o ile istniejące instytucje społeczne opóźniają wykorzystanie tych źródeł, dla zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb. Tymczasem skrajni socjaliści albo zajmują się propagandą „pruskich mistycznych ideałów Hegla" (Marks) albo analizą zjawisk, które nie nadążają za postępem nauki. Naukowy humanizm Hobgen'a nie odrzuca socjalizmu. ale pragnie go widzieć współżyjącym w zgodnym stadle ze zwycięsko kroczącą naprzód wiedzą. Aby tak się stało, musi oczywiście nastąpić całkowita reforma wychowania oraz uwzględnienie dwóch dróg w polityce: jednej zmierzającej do federacji państw pragnących pokoju i dodrobytu chociażby za cenę wyrzeczenia się ambicji imperialistycznych, z drugiej do rozdrobnienia państw przez systen samorządów lokalnych, gdyż mniejsze grupy ludzkie łatwiej zrealizują swą naukową reorganizację.

Wachlarz poglądów społecznych opartych o różne odcienie socjalizmu możnaby jeszcze rozszerzyć; na ogół jednak nie napotykamy nowych pomysłów — u autorów angielskich „I believe" przeważa w problematyce społecznej kierunek, któryby można określić jako naukowy socjalizm. Aby znaleźć koncepcje odmienne sięgnąć należałoby do współautorów nie Anglików. Ponieważ jednak wykraczałoby to poza temat artykułu, ograniczę się do skreślenia kilku uwag, których celem będzie zaznaczenie różnic między anglosaskim punktem widzenia a kontynentalnym. Wyjąwszy essay Maritain'a, wszystkie wypowiedzi cudzoziemców, a więc Ludwiga, Manna i Jules Romain wydają się w zestawieniu z wypowiedziami grupy anglosaskiej bardzo literackie, a jeśli chodzi o kwestie społeczne i polityczne — niejako zawieszone w próżni, niezwiązane z życiem i jego doświadczeniami. Wydaje się że pobyt na emigracji, oderwanie od środowiska naturalnego tłumaczy ten brak konkretności. Maritain'a wyłączam spośród wymienionych cudzoziemców, gdyż jego katolicyzm i filozofia tomistyczna stwarzają mu ten grunt pod nogami, którego brak pozostałym. Credo Maritain'a jest również innego porządku niż wypowiedzi grupy anglosaskiej. Jest tak wielkiego kalibru i zakłada przebieżenie takiej drogi w stratosferze

metafizycznej, że aż wieje od niego chłodem. Światopoglądowa myśl angielska nie żegluje w te sfery, nie tworzy tak symetrycznych, tak pełnych konstrukcji. Dodać również należy, że Maritain jest niejako zawodowym filozofem. Bertrand Russel, jedyny w grupie anglosaskiej, który mógłby do tego tytułu rościć pretensje, wydaje się przy Maritain'ie niekonsekwentny i niepełny w swoich sądach. Kto zna jego zmienność zainteresowań i śledzi zakręty jego myśli w różnych publikacjach zależnie od potrąceń i impulsów, jakie nań oddziaływały ze strony rozmaitych odkryć naukowych, przyzna, że twórczy dyletantyzm jest nadal charakterystycznym rysem myśli angielskiej.

Słowo „wiara" czy słowo „credo" wywołuje przede wszystkim skojarzenia z religią. Większość współautorów książki „I believe" starała się określić swój stosunek do takich pojęć jak „Bóg", „nieśmiertelność duszy", wreszcie do religii ortodoksyjnej. Większość z pośród tej większości dokonywała tego na drodze autobiograficznej. Wyznania te bądź mają charakter negacji, bądź dalekie są od ortodoksji. Oto jak Arthur Keith sądzi o tych wypowiedziach: „Z pośród meżczyzn i kobiet, którzy współpracowali w tej książce, nikt nie pojmuje Stwórcy — Boga. Jedynego, wszechmocnego i osobowego — jako posiadajacego te formy i atrybuty, jakie mu przypisuje księga Genezis. Jeżeli zakładają istnienie Boga, to przyznają mu jakąs wszechprzenikającą, tkwiącą we wszechświecie naturę. Daleki jestem jednak od głoszenia, że Bóg antropomorficzny umarł; conajwyżej możemy powiedzieć że dogorywa. My, ludzie, stoimy na słabych nogach. Większość z nas wciąż domaga się Boga utworzonego na nasz wzór i podobieństwo — Boga, który mógłby nam przyjść z pomocą, gdy skierujemy się do niego w modlitwie. Potrzeba emocjolnalna powołuje go do życia".

Stosunek do religij ortodoksyjnych nie jest na ogół ani wrogi ani bardzo bojowy. W całym szeregu wypowiedzi chrześcijaństwo otoczone jest szacunkiem, jako historyczny czynnik postępu — tylko że rolę jego, przynajmniej jeśli chodzi o awangardę, należy uważać za odegraną. Natomiast kościołowi wtedy się należy przeciwstawić, gdy występuje w obronie przestarzałych form społecznych. Pochodnię w sztafecie postępu pochwycił już kto inny. Zdobycze psychologii nie pozwalają racjonalistycznej myśli angielskiej zapominać o potrzebach uczuciowych i imaginacyjnych człowieka, zwłaszcza w chwili gdy rozpoczynająca się wojna wytwarza depresję uczuciową. Czymże zadosyćuczynić poczuciu krzywdy i braku równowagi, jak odeprzeć lęk? Gdzie jest uroda życia, która wynagrodzić może tyle rozczarowań, tę ślimaczą wędrówkę człowieka poprzez bezmiary czasu biologicznego?

U kogoś o temperamencie naukowym, o ciekawości badacza zbliżenie do wielkiej tajemnicy życia, zapewnia nas Einstein, budzi uczucia podobne do religijnych. Dla innych świadomość uczestniczenia w wielkim dziele naukowej przebudowy świata może się stać źródłem nieskończonej satysfakcji. Dla wszystkich głównym źródłem szczęścia są drudzy ludzie, zwłaszcza jeśli są to jednostki twórcze, kierownicze. Bo natura ludzka jest w najgłębszej swej istocie społeczna i każdy z nas organicznie jest ze społeczeństwem związany.

Aktualności wojennej i ewentualnościom powojennym poświęcono na kartach „I believe" stosunkowo niewiele miejsca. Dowodzi to ostrożnoci współautorów, którzy, nie mając jeszcze perspektywy i dostatecznej wiedzy o faktach, nie chcieli parać się robotą dziennikarską. Niemniej książka powstała z oddechu wojny w roku poprzedzajacym ją i w czasie gdy u nas rozpoczęlą się już zmora okupacji. W szeregu podskryptów wyczuwa się, nawet bez wzmianki ze strony autorów, że wojna się już rozpoczęła. Pobrzmiewa ton zawodu

i rozczarowania, boć łudzono się, że katastrofie może się uda zapobiec.

W całym szeregu sądów, zwłaszcza przy planowaniu przebudowy „świata, znajdujemy in nuce dzisiaj powstające instytucje z UNO włącznie".

Problematyka książki „I believe" jest oczywiście o wiele bogatsza niż to, co zostało wspomniane, w ramach artykułu. Urokiem książki jest obcowanie z ludźmi o różnych temperamentach i horyzontach. Nie było jednak moim celem referowanie zawartości treściowej ani krytyka literacka książki, ale uwypuklenie chociażby kilku rysów światoplądu angielskiego z okresu ostatniej wojny. Moim osobistym przekonaniem jest, że książka „I believe" nie daje pełnego wglądu w światopogląd Anglików, gdyż gromadzi wypowiedzi o zbieżnych przekonaniach. Niemniej należy do książek, które należałoby u nas uprzystępnić.

Antoni Prejbisz.

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO
(styczeń-luty-marzec 1946)

ROZPRAWY I ARTYKUŁY

PRZEGLĄDY

Cena zeszytu . . . . zł. 50.—
Prenumerata kwartalna . . . . . . zł. 150.—

Konto PKO Warszawa I—926

Konto Nar. Banku Polskiego — Jelenia Góra
Wyd. „Nauka i Sztuka".

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości
do recenzji w dwu egzemplarzach.

Artykuły do druku muszą być pisane
na maszynie, względnie zostaną przepisane
na koszt autora.

Cena ogłoszeń: Od 1 wiersza wys. 1 mm szerokości szpalty petitowej
złotych 20.

Zakłady Graficzne W. I. N. W. — Oddział w Jeleniej Górze — NF. 4038.

ZAKŁADY GRAFICZNE WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO-WYDAWNICZEGO
ZG
W.I.N.W.